

STRESZCZENIE SZCZEGÓŁOWE

Streszczenie szczegółowe (dokładne) „Pana Tadeusza”

Adam Mickiewicz

maturapolski.pl — darmowe opracowania lektur

Księga I — Gospodarstwo

Poemat otwiera inwokacja: narrator, oddalony od ojczyzny, woła „Litwo! Ojczyzno moja!”, porównując ją do utraconego zdrowia, i prosi Matkę Boską Częstochowską, Ostrobramską oraz nowogródzką o opiekę — przywołując w pamięci pagórki, łąki nad Niemnem, pola bursztynowego świerzopu i białej gryki, sady i grusze na miedzach. Z tego krajobrazu wyłania się obraz dworu szlacheckiego: drewnianego, lecz podmurowanego, bielonego, otoczonego topolami, ze stodołą, stogami i wciąż otwartą bramą — znakiem dostatku i gościnności.

Przed ganek zajeżdża dwukonna bryka. Wysiada z niej młody panek, który po dziesięciu latach wraca z dalekiego miasta, gdzie kończył nauki. Dom zastaje pusty; sam otwiera drzwi i biegnie po komnatach, rozpoznając stare sprzęty i obicia, „mniej wielkie, mniej piękne” niż w dzieciństwie. Na ścianach wiszą te same portrety — Kościuszkę w krakowskiej czamarcie, przysięgający „że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów”; Rejtan żałosny po stracie wolności, z nożem zwróconym do łona i z księgami Fedona i Katona; Jasiński z Korsakiem na płonących szanćach Pragi. Stary zegar kurantowy, pociągnięty za sznurek, gra Dąbrowskiego mazurek.

Szukając swojego dziecięcego pokoju, panicz wchodzi do komnaty, która zmieniła się w „mieszkanie kobiece” — fortepian, porzucone nuty, biała sukienka na poręczu krzesła, donice z geranium, lewkonią, astrami i fiołkami. Za oknem, w miejscu dawnego ostępu pokrzyw, świeży ogródek z trawą angielską i miętą, ze świeżo podlewanymi grządkami; na piasku ślad bosej, drobnej nóżki, „odgadniesz, że w biegu chybkim”. Gdy zadumany pochyla się nad fiołkami, na parkanie staje młoda dziewczyna w białej, krótkiej sukience, z włosami zwiniętymi w drobne strączki papilotów; spostrzegłszy kogoś w dole, klaszcze w dłonie, zeskakuje „jak biały ptak” i po opartej o ścianę desce wpada przez okno do komnaty. Dopiero w lustrze dostrzega młodzieńca — krzyczy boleśnie i znika, on zaś, zmieszany, sam nie wie, czy spotkanie ma go „śmieszyć, czy wstydzić, czy cieszyć”.

Na folwarku gościem zajmuje się pan Wojski, daleki krewny i przyjaciel domu, który w nieobecności gospodarza urządzał właśnie wieczerzę dla liczного towarzystwa. Wita podróżnego serdecznie i zwraca się do niego: „Dobrze mój Tadeuszu” — narrator dopowiada, że młodzieniec otrzymał Kościuszkowskie imię na pamiątkę urodzenia w czasie wojny. Wojski oznajmia, że stryj „myśli wkrótce sprawić ci wesele”: od kilku dni zjeżdża się towarzystwo na sądy graniczne, aby zakończyć dawny spór z panem Hrabią; przybyli już Podkomorzy z żoną i córkami, młodzież poluje w lesie, starsi i panie oglądają żniwa.

Słońce, „czerwone jak pożar na dachu”, zapada za las; sierpy i grabie milkną — u Sędziego praca kończy się ze dniem, bo „Pan świata wie, jak długo pracować potrzeba”. Z lasu wraca całe

towarzystwo w ścisłym, milczącym porządku: dzieci z dozorcą, Sędzia z Podkomorzyną, Podkomorzy z rodziną, panny pół kroku przed młodzieżą. Nikt nikogo nie ustawia, lecz każdy „mimowolnie porządku pilnował” — Sędzia chowa dawne obyczaje, ucząc, że „tym ładem domy i narody słyną, z jego upadkiem domy i narody giną”. Tadeusza wita krótko, lecz z prawdziwym uczuciem: daje rękę do pocałowania, całuje w skroń, a łzy, które ociera wylotem kontusza, zdradzają miłość do synowca.

Z pól, łąk i pastwisk ciągną do dworu owce, tyrolskie cielice z mosiężnymi dzwonkami, rżące konie; wszystko bieży do studni, której skrzypiące drewniane ramię rozlewa wodę w koryta. Sędzia — utrudzony, lecz wierny zasadzie „oko pańskie konia tuczy” — sam idzie obejrzeć oborę.

Tymczasem w sieni Wojski sprzecza się ze starym Woźnym Trybunału, Protazym, który pod nieobecność marszałka wieczery kazał wynieść stoły z domu i ustawić je w ruinach pobliskiego zamczyska. Tłumaczy się brakiem dostatecznie obszernej izby i wygodną bliskością piwnic, lecz po mrugnięciach widać, że ma „inne, ważniejsze przyczyny”. Sędzia, nieco zażenowany, prowadzi gości do pustek.

Narrator dopowiada genezę zamku, oddalonego o dwa tysiące kroków: okazałej, „poważnej ogromem” budowli, dziedzictwa starożytnej rodziny Horeszków. Ostatni dziedzic zginął w „czasie krajowych zamieszków” — sformułowanie ezopowe, za którym kryje się odniesienie do konfederacji targowickiej i rozbiorów. Dobra Horeszków zniszczyły sekwestry rządu, niedbała opieka i wyroki sądu; część spadła krewnym po kądzieli, resztę rozdano wierzycielom. Zamku nikt nie chciał, dopóki bogaty młody Hrabia, daleki krewny Horeszków, wróciwszy z podróży nie upodobał sobie murów, „tłumacząc, że gotyckiej są architektury” — choć Sędzia z dokumentów dowodził, że architekt był majstrem z Wilna. Nagle i Sędziemu zachciało się zamku — i tak rozpoczął się proces ciągnący się przez kolejne instancje, oś sporu, który zwołał obecne towarzystwo na sądy graniczne.

Wieczera odbywa się w wielkiej, sklepionej sieni zamkowej — z podłogą wysłaną kamieniem, sarnimi i jelenimi rogami na ścianach z napisami o łowach i z wrytymi klejnotami herbowymi myśliwych; na sklepieniu jaśnieje herb Horeszków, Półkozic. Goście zasiadają w obyczajowym porządku: najwyższe miejsce zajmuje Podkomorzy, obok niego kwestarz-bernardyn, dalej Sędzia. Mnich odmawia krótki łaciński pacierz, mężczyznom podają wódkę, towarzystwo w milczeniu pożera chłodnik litewski. Tadeusz prawem gościa siada między pannami, lecz między nim a stryjem zostaje puste krzesło, jakby na kogoś oczekiwane; Sędzia raz po raz spogląda ku drzwiom, młodzieniec idzie za jego wzrokiem i — zamiast zabawiać urodziwą Podkomorzankę i nalewać jej wina — nie odrywa myśli od tego pustego miejsca, snując domysły, wśród których króluje jedna postać, „jak lilia jezior skroń białą wznosząca nad wodę” — wspomnienie porannej dziewczyny.

Po trzeciej potrawie Sędzia, poprawiwszy wyloty kontusza, wygłasza długą, programową naukę o grzeczności. Skarży się, że młodzież posyłana do stolic ma „więcej książkowej nauki”, lecz cierpi na brak szkół „uczących żyć z ludźmi i światem”. Wspomina własną dziesięcioletnią służbę na dworze Wojewody, ojca Podkomorzego, który „z opieki nie wypuścił, aż człowiekiem zrobił”. Grzeczność, dowodzi, „nie jest nauką łatwą ani małą”: prawdziwa grzeczność staropolska nie polega na zręcznym wierzgnięciu nogą i uśmiechu do każdego, lecz na umiejętności rozróżnienia winnej każdemu odmiany — innej dla dziecka, innej między mężem a żoną, innej dla sługi. Dawniej rozmowa u panów była „historią żyjącą krajową”, a w niej szlachcic czuł, że wszyscy o nim wiedzą, więc obyczaję trzymał pod strażą; dziś, gorzko ironizuje, „każdy gdzie chce wchodzi, byle nie szpieg rządowy i byle nie w nędzy” — jak Wespazjan nie wachający pieniędzy, tak teraz „szanują przyjaciół jak pieniądze Żydzi”. Mowa zmierza powoli do grzeczności wobec płci nadobnej i do „wspaniałego domów sojuszu”; nagłym zwrotem głowy i surowym spojrzeniem Sędzia daje znak Tadeuszowi, że przychodzi do wniosków — wyraźnie kieruje rzecz pod jego adres.

Wnioski przerywa Podkomorzy, brząkając w złotą tabakierę. Cieszy się, że teraz „mniej zgorszenia” niż dawniej, i wspomina pierwsze nadejście mody francuskiej, gdy „panicze młode z cudzych krajów wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów”, prześladując „Boga, przodków wiarę, prawa i obyczaje, nawet suknie stare”. Maluje, jak do Oszmiańskiego powiatu zajechał pan Podczaszyc — pierwszy w Litwie chodzący po francusku — w dwukolnej „karyjulce” z dwoma pieskami zamiast lokajów i z chudym Niemczyskiem w pończochach i kłamrowych trzewikach na koźle; chłopci żegnali się, mówiąc, że „jeździ wenecki diabeł w niemieckiej karecie”. Podczaszyc obiecywał reformować, cywilizować i konstytuować, głosił francuski wynalazek, „iż ludzie są równi” — choć, zauważa Podkomorzy, „o tym dawno w Pańskim pisano Zakonie, i każdy ksiądz toż samo gada na ambonie”. Sam zaś, mimo równości, wziął tytuł markiza; gdy moda się zmieniła, przechrzcił się na demokratę, pod Napoleonem przyjechał z Paryża baronem — „gdyby żył dłużej, może z barona przechrzciłby się kiedyś demokratą”, bo „co Francuz wymyśli, to Polak polubi”. Maskarada zapustna, którą prorokuje, miała zwiastować „wielki post — niewolę”. Z ulgą dodaje, że dziś Napoleon „nie daje czasu szukać mody i gawędki”, że znów grzmi oręż i „o Polakach tak na świecie głośno; jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita!”. Ciszej zwraca się do siedzącego obok bernardyna, ojca Robaka: „słyszałem, żeś zza Niemna odebrał wiadomość; może też co o naszym wojsku wie Jegomość?”.

Robak odpowiada chłodno, „obojętnie”, że polityka go nudzi, list jest sprawą zakonną, „bernardyńską”, i nie wypada o tym mówić u wieczerzy — „są tu świeccy, do których nic to nie należy”. Zerka przy tym zezem ku innemu gościowi: kapitanowi Rykowowi, staremu rosyjskiemu żołnierzowi z bliskiej kwatery, którego Sędzia „przez grzeczność” zaprosił. Ryków, jadąc smacznie i mało rozprawiając, podnosi głowę na wzmiankę o Warszawie i mówi po polsku, dobroduszenie: „Wy Polaki, ja Ruski: teraz się nie bijem, jest armistycjum, to my razem jemy, pijem”; przytacza ruskie przysłowie „z kim się biję, tego lubię; gładź družkę jak po duszy,

a bij jak po szubie". Zapowiada, że wojna jednak będzie — adiutant sztabu kazał Majorowi Płutowi gotować się do marszu, pójść na Turka albo na Francuza. „Oj ten Bonaparte figurka! — bez Suwarowa to on może nas wytuz” — i zaczyna gawędzić o czarach: jak Bonaparte zmieniał się w lisa, Suwarów w charta, Bonaparte w kota, Suwarów w kuca — „tak były czary przeciw czarów”. Nie kończy, bo wnoszą czwartą potrawę i otwierają się boczne drzwi.

Wchodzi nowa osoba — młoda, przystojna kobieta w wykwintnej różowej sukni jedwabnej z dekoltem i koronkowym kołnierzykiem, włosach pozwijanych w pukle przeplatane wstęgami, z brylantem świecącym „jak gwiazda w komety warkoczu” i pozłocistym wachlarzem rozsypującym snopy iskier. Wszyscy ją witają — widać, że znają wszyscy oprócz Tadeusza; szeptało, że strój zbyt galowy „na wieś i na dzień powszedni”. Biegnie tak szybko, że nóżek pod krótką suknią oko nie chwyci — „jako osóbkę, które na trzykrólskie święta przesuwają w jasełkach ukryte chłopięta”. Aby dosiąść się do zostawionego między Sędzią a Tadeuszem miejsca, zręcznie przeciska się między ławami; w biegu falbaną zaczepia o czyjeś kolano, ślizga się i mimowolnie wspiera ramię na Tadeuszu. Grzecznie go przeprosza i siada — nic nie je, jedynie wachluje się, kręci trzonkiem wachlarza, poprawia brabancki kołnierzyk, muska pukle i pęki wstąg.

Cisza, którą wywołało jej zjawienie, trwa cztery minuty; potem na końcu stołu odzywają się szmery, a wreszcie głośna rozmowa: mężczyźni rozsądzają dzisiejsze łowy, Asesor z Rejentem coraz uparciej kłócą się o kusego charta — rodzi się spór o Kusego i Sokoła zapowiedziany w nagłówku księgi.

Sędzia półgłosem przeprosza nową sąsiadkę, że nie czekano z wieczerzą: „goście głodni, chodzili daleko na pole”. Tadeusz przygląda się jej i utwierdza się w przekonaniu, że to TA dziewczyna z poranku — tłumaczy sobie różnice (wzrost, długie kruczoczarne sploty zamiast krótkich jasnych) ubiorem i światłem zachodu, a w jej twarzy „znajduje” oczy i usta, których nie zdążył wcześniej dostrzec; różnica wieku go nie peszy, bo „młodzieńcowi młoda jest każda kobieta”. Narrator wtrąca portret samego Tadeusza: ma blisko dwadzieścia lat, kształcił się w Wilnie pod surowym dozorem księdza, przywiózł na wieś „duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne, ale razem niemałą chętkę do swawoli”; rodzina Sopliców — „krzepcy, otyli i silni, do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni” — odbija się w nim wiernie. Ojciec w testamencie chciał go widzieć w wojsku, lecz stryj-Sędzia nagle ten plan odmienił, kazał wrócić i ożenić się, obiecując mu na początek małą wieś, a potem cały majątek.

Sąsiadka zaczyna z Tadeuszem rozmowę po francusku — wypytuje o nowe książki, autorów, malarstwo, muzykę, taniec, rzeźbiarstwo; znajomością wszystkich tych dziedzin tak go onieśmiela, że jąka się „jak żaczek przed nauczycielem”. Litując się, schodzi na lżejsze tematy wiejskiego pożycia i zabaw; w pół godziny są poufali, dochodzi do żartów. W końcu stawia przed nim trzy gałeczki z chleba — trzy osoby na wybór; Tadeusz bierze najbliższą sobie,

Podkomorzanki marszczą się, sąsiadka śmieje się, lecz nie wyjaśnia, którą szczęśliwicę gałka oznaczała.

Na drugim końcu stołu spór o charty wybucha na dobre. Rejent Bolesta — dawny adwokat, przezwany kaznodzieją, „bo zbyt lubił gesta” — z palcami wyciągniętymi po stole odgrywa pościg: jak razem z Asesorem puścili charty „jakoby dwa kurki spuszczone u jednej dwururki”, jak Sokół „rączy pies, lecz zagorzalec” wysadził się przed Kusym, jak szarak-gracz robił dwa susy w prawo, dwa w lewo, a jego Kusy — „cap!”. Słowo „cap!” Rejent wrzeszczy tuż nad uchem Tadeusza, ten z Telimeną odstrychają od siebie głowy „jako wierzchołki drzewa rozerwane wichrem”, a ich ręce leżące blisko siebie pod stołem nagle uciekają wstecz i twarze oblewa wspólny rumieniec. Tadeusz dla zatuszowania wstaje w obronie Kusego: piękny pies, jeśli równie chwytny. To rozzłoszcza Asesora — drobnego, szczupłego człowieka „z żądłem w języku”, niegdyś bogacza, który strwonił schedę i majątek bratni „figurując w wielkim świecie”, a teraz wszedł w służbę rządu i z całej psiarni został mu jeden chart. Gładząc faworyty, z jadowitym uśmiechem rzuca: „chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu” i zwraca się o rozstrzygnięcie do „pańskiej cioci” — pani Telimeny, która „mieszkała w stolicy” i „lepiej zna się na łowach niż myśliwi młodzi”. Słowo „ciocia” spada na Tadeusza jak grom: wstaje zmieszany, patrzy na rywala „coraz srożej”.

Awanturę przerywa Podkomorzy — dwukrotnie kicha, słyszy „wiwat!”, po czym dzwoni w złotą tabakierę oprawną w brylanty, z portretem króla Stanisława w środku (dar samego króla dla jego ojca, którym Podkomorzy „godnie ją piastował”). Brzęk znaczył: będę mówił. Solwuje posiedzenie sporu „na jutro, na pole” — jutro Hrabia ze swymi myśliwymi zjedzie, ruszą wszyscy, panie i panny też, „zrobim na urząd wielkie polowanie”; podaje tabakierę Wojskiemu, jakby zapraszając.

Wojski Hreczecha, dotąd milczący na ostrym końcu stołu, długo waży szczyptę w palcach, zażywa, kicha „aż cała izba rozległa się echem”, potrząsa głową i z gorzkim uśmiechem dziwi się, że w gronie tylu panów „mają sądzić się spory o charcim ogonie”. Przywołuje, co rzekłby na to stary Rejtan — „wróciłby do Lachowicz i w grób się położył” — albo wojewoda Niesiołowski, który w zamku Worończańskim trzyma najlepsze ogary, dwustu strzelców i sto wozów sieci, a sam siedzi „jak mnich na swym dworze” i Białopiotrowiczowi samemu odmówił polowania. Za jego czasów „zwierzem szlacheckim” zwano dzika, niedźwiedzia, łosia i wilka; pan, który by sypał śrut cienki w strzelbę albo gonił szaraka, ściągnąłby na siebie hańbę. Charty trzymano, owszem — bo z łowów wracając, paniczne popuszczali smycze za przygodnym zającem, dla zabawy, „a rodzice ledwie raczyli widzieć”. Konkluduje godnościowo: „Nazywam się Hreczecha, a od króla Lecha, żaden za zającami nie jeździł Hreczecha” — i odmawia udziału w jutrzejszym łowach. Mowa kończy się salwą śmiechu młodzieży.

Wstanie od stołu odbywa się w obyczajowym porządku: pierwszy idzie Podkomorzy, kłaniając się na trzy strony; Sędzia podaje rękę Podkomorzynie, Tadeusz Telimienie, Asesor Krajczance,

Rejent na końcu Wojskiej Hreczeszance. Tadeusz odprowadza damy do dworu, a potem prowadzi młodzież na nocleg do stodoły, jak nakazuje gospodarski zwyczaj — sam pomieszany, zły i niewesoły, bo słowo „ciocia” brzęczy mu w uchu „jako naprzykrzona mucha”. Chciałby u Woźnego wybadać, kim jest Telimena, ale go nie znajduje.

W pół godziny we dworze jest „głucho jak po zadzwonieniu na pacierz w klasztorze”; tylko Sędzia, „jak wódz gospodarstwa”, obmyśla na jutro polowanie i zabawę, wydaje rozkazy ekonomom, wójtom, gumiennym, ochmistrzyni, strzelcom, stajennym, przeglądaienne rachunki, dopiero wtedy każe Woźnemu się rozbierać. Protazy odwiązuje mu pas słucki, lity, „z jednej strony złotogłów w purpurowe kwiaty, na wywrót jedwab czarny posrebrzany w kraty” — pas dwustronny, „złotą na dzień galowy, a czarną w żałobie”. Składając go, tłumaczy, dlaczego przeniósł stoły do zamczyska: skoro o ten zamek toczy się sprawa, „kto gości prosi w zamek na wieczerzę, dowodzi, że posiadłość tam ma albo bierze” — uważa, że wieczerzą wzięli zamek prawnie w posiadanie. Sprytny manewr palestrancki w cieniu kindersztuby. Powołuje się nawet na dawne precedensy: „pamiętam za mych czasów podobne wypadki”.

Sędzia już śpi. Woźny cicho siada przy świecy i wyjmuję z kieszeni książeczkę, „która mu jak Ołtarzyk Złoty zawsze służy” — trybunalską wokandę, listę spraw, które sam głosem wywoływał albo o których się dowiedział. Prostym ludziom zda się to spisem imion, jemu zaś — galerią „obrazów wspaniałych”: Ogiński z Wizgirdem, Dominikanie z Rymszą, Radziwił z Wereszczaką, Giedroń z Rdułtowskim, Obuchowicz z kahałem, „Maleski z Mickiewiczem” (autorski uśmiech narratora), a na końcu Hrabia z Soplicą. Przy czytaniu widzi sam siebie — w żupanie białym i granatowym kontuszu, z ręką na szabli — jak woła „uciszcie się!”. Marząc i kończąc pacierz, zasypia „ostatni w Litwie woźny trybunału”.

Narrator wykonuje szeroki zwrot: takie były spory i zabawy „śród cichej wsi litewskiej, kiedy reszta świata we łzach i krwi tonęła”. „Ów mąż, bóg wojny” — Napoleon, otoczony chmurą pułków, „wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych” — ciska gromy „w Piramidy, w Tabor, w Marengo, w Ulm, w Austerlitz”; sława jego czynów idzie od Nilu ku północy i odbija się o Niemen jak o skały, bo „mury żelaza” rosyjskich szeregów bronią Litwy przed wieścią, która dla Rosji „straszna jak zaraza”. Mimo to wieści przeciekają — przyjmuje je dziad żebrzący chleba, bez ręki lub nogi: oględnie zerka, czy we dworze nie ma „rosyjskich żołnierzy, ani jarmulek, ani czerwonych kołnierzy”, po czym wyznaje, że jest legionistą i „przynosi kości stare na ziemię ojczystą”. Sadzają go za stół, słucha cała rodzina; opowiada „dziwniejsze od baśni historyje” — jak generał Dąbrowski na lombardzkim polu zbiera rodaków, jak Kniaziewicz „z Kapitolu rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów” wydartych potomkom cesarów, jak Jabłonowski z legią naddunajską wojuje „aż kędy pieprz rośnie, gdzie się cukier wytapia” (Saint-Domingue), gromiąc Murzynów, a wzdychając do kraju.

Po takich opowieściach chłopcy znikali z domów — lasami i bagnami, ścigani od Moskali, skakali w Niemen i wynurzali się na brzegu Księstwa Warszawskiego pod okrzykiem „Witaj

nam kolego!"; wskakując na wzgórek z kamienia, Moskałom przez rzekę wołali „Do zobaczenia!”. Tak przekradli się Gorecki, Pac, Obuchowicz, Piotrowski, Obolewski, Rożycki, Janowicz, Mierzejewscy, Brochocki i Bernatowicze, Kupść, Gedymin i inni — porzucając rodziców, ziemię i dobra zabierane „na skarb carski”. Czasem przybywał kwestarz z obcego klasztoru i, gdy bliżej poznał pany dworu, pokazywał gazetę wyprutą ze szkaplerza, z liczbą żołnierza, nazwiskiem każdego wodza legionu i wieścią o zwycięstwie lub zgonie. Dom brał wtedy żałobę, lecz nie ujawniano po kim — okolica zgadywała: „cichy smutek panów lub cicha radość była gazetą ziemianów”.

Takim tajnym kwestarzem był i ksiądz Robak. Często rozmawiał z Sędzią osobno; po jego wizytach po sąsiedztwie szła nowina. Postacią zdradzał, że „nie zawsze w kapturze chodził i nie w klasztorzym zestarzał się murze”: nad prawym uchem miał bliznę szerokości dłoni z wyciętej skóry, w brodzie świeży ślad lancy lub postrzału — „ran tych nie dostał pewnie przy czytaniu mszału”. Przy mszy, gdy obracał się do ludu ze słowami „Pan z wami”, skręcał się „jakby prawo w tył robił za wodza rozkazem”, a liturgiczne formuły wyrzucał „jak oficer przed szwadronem”. Bardziej znał sprawy polityczne niż żywoty świętych: w mieście powiatowym odbierał listy, których nie otwierał przy obcych, wysyłał posłańców „nie wiadomo gdzie i po co”, nocą wymykał się do dworów, szeptał ze szlachtą, w karczmach rozprawiał z chłopami — „zawsze o tym, co się w cudzych krajach działo”. Teraz, choć Sędzia już godzinę śpi, Robak idzie go budzić — „pewnie ma jakieś nowiny”.

Księga II — Zamek

Krótką apostrofa otwiera księgę: kto z nas nie pamięta lat, gdy „młode pacholę, ze strzelbą na ramieniu”, szło na pole bez płotów i miedz, „bo na Litwie myśliwiec jak okręt na morzu” — czyta niebo jak prorok, słucha ziemi jak czarownik. W lirycznym obrazie: derkacz w trawie jak szczupak w Niemnie, schowany w niebie skowronek, orzeł straszący wróble „jak kometa cary”, jastrząb wiszący „jak motyl na szpilce” i spadający „jako gwiazda spadająca”. Narrator wzdycha: kiedyż Bóg pozwoli wrócić „z wędrówki” i służyć w jeździe, „która wojuje szaraki”, albo w piechocie „która nosi broń na ptaki”, nie znając innych rynsztunków niż kosa i sierp ani innych gazet niż „domowe rachunki”.

Nad Soplicowem wschodzi słońce; promienie przez szpary stodoły kładą się złotymi pręgami na sianie, „jak z warkocza wstęgi”, i drażnią usta śpiących „jak dziewczę kłosem budzące kochanka”. Trzykroć gęga gąsior, odpowiadają mu kaczkę, indyki, ryczy bydło wyganiane w pole. Młodzież wstaje, tylko Tadeusz śpi twardo — po wczorajszym zamieszaniu długo nie mógł zasnąć. Wpada ksiądz Robak z węzlastym paskiem powieszonych ogórków, wykrzykuje „Surge puer!” i rubasznie wywija paskiem nad barkami młodzieńca.

Na dziedzińcu już wrzawa: konie, bryki, trąby, otwarte psiarnie. Chartów „zgraja wesoło skowycze” — biegają w cwał, kładą szyje pod obroże; wszystko wróży dobre łowy. Podkomorzy daje znak. Szczwacze ruszają sznurem, za bramą rozsypują się w rząd. W środku jadą obok siebie Asesor i Rejent — ci, którzy „na siebie patrzyli ze wstrętem” — lecz rozmawiają przyjaźnie „jak ludzie honoru idący na rozstrzygnięcie śmiertelnego sporu”: Rejent prowadzi Kusego, Asesor Sokoła. Z tyłu damy w pojazdach, młodzieńcy cwałują przy kołach gawędząc z paniami.

Ksiądz Robak chodzi po dziedzińcu, kończąc pacierze; raz po raz spogląda na Tadeusza, marszczy się, kiwa palcem. Gdy Tadeusz podjeżdża, bernardyn „palcem po nosie dawał mu znak groźby”, ale na żadne pytania nie raczy odpowiedzieć — nasuwa kaptur i kończy modlitwę. Tadeusz, niczego nie pojawiawszy, dołącza do gości.

Myśliwi nagle przystają, dają sobie znaki milczenia, oczy ku kamieniowi, nad którym stoi Sędzia — wypatrzył zwierza. Ręką tłumaczy rozkazy; wszyscy stoją, środkiem pola kłusują powoli Asesor z Rejentem. Tadeusz wyprzedza ich i staje obok stryja. Sędzia pokazuje mu szaraka skrytego pod kamieniem: „biedny zając, płaszcąc się... okiem czerwonym spotkał myśliwców wejrzenie i jakby urzeczony, czując przeznaczenie, ze strachu od ich oczu nie mógł zwrócić oka, i pod opoką siedział martwy jak opoka”. Rośnie kurz; pędzą Kusy i Sokół, „tuż Asesor z Rejentem razem wrzaśli z tyłu: »Wyczha, wyczha!«” — psy i ludzie znikają w kłębach pyłu.

W tym właśnie momencie pod zamkowym lasem ukazuje się pan Hrabia. Wiadomo, że nigdy nie stawia się o naznaczonej porze; i dziś zasnął, więc gniewnie zrzędził na sługi i pędzi do myśliwych cwałem. Surdut angielskiego kroju, biały, długi, połami trzepocze na wietrze; za nim sługi w czarnych grzybkowatych kapelusikach, kurtkach, butach stryflastych i białych pantalonach — „nazywają się w jego pałacu dżokeje”. Gdy czereda zlatuje na błonia, Hrabia widzi zamek od strony porannej i nie wierzy, że to ten sam: poranek go odświeżył i upiększył — wieża „zdała się dwakroć wyższa, bo stercząca nad mgłą ranną”, dach z blachy złoci się od słońca, w kratkach tłuką się resztki szyb wybitych „łamiąc promienie wschodu w tęczach rozmaitych”; niższe piętra otula mgła, kryjąc rozpadliny i szczyby. Krzyk myśliwych odbity od ścian zdaje się dochodzić z zamku — „przysięgłbyś, że pod mgły zasłoną mury odbudowano i znów zaludniono”.

Narrator dorzuca portret Hrabiego. Lubił widoki „niezwykłe i nowe”, zwał je romansowymi i głowę miał romansową — „w istocie był wielkim dziwakiem”: nieraz pędząc za lisem zatrzymywał się i patrzył w niebo „jak kot, gdy ujrzy wróble na wysokiej sośnie”, błąkał się po gaju bez psa i strzelby „jak rekrut zbiegły”, siadał nad ruczajem „jak czapla wszystkie ryby chcąc pozrzeć okiem”. Wszyscy mówili, że „mu czegoś nie dostaje”, a jednak go szanowano: pan z prapradziadów, bogacz, dobry dla chłopów, ludzki dla sąsiadów, „nawet dla Żydów”.

Koń niesie go pod sam próg zamku. Hrabia wzdycha, wyjmując papier i ołówek, kreśli figury (szkicuje ruiny). Wtem o dwadzieścia kroków dostrzega innego miłośnika widoków: stoi z głową zadartą, ręce w kieszeniach, „liczył oczyma kamienie” — to Gerwazy. Hrabia musi go kilka razy zawołać, nim ten usłyszy. Gerwazy — szlachcic, „pozostały ostatni z Horeszki dworzanów”, starzec wysoki, siwy, o twarzy „zmarszczkami pooranej, posępnej, surowej”. Dawniej słynął wesołością; od bitwy, w której zginął ostatni dziedzic zamku, „odmienił się” — od lat nie był na kiermaszu ani weselu, nikt nie słyszał już jego żartów ani nie widział uśmiechu. Wciąż nosi dawną liberię Horeszków — emblemat wierności rodzinie, której już nie ma.

Kurtę ma żółtą z galonem (dziś żółtym, dawniej złotym), naszywaną herbowymi Półkozicami — od czego okolica i jego samego przezwała Półkozicem. Zwą go też Mopankiem (od bezustannie powtarzanego przysłowia) i Szczerbem (od szczerb w łysinie), ale prawdziwe jego nazwisko brzmi Rębajło. Siebie tytułuje Klucznikiem, bo ten urząd piastował na zamku; do dziś nosi za pasem pęk kluczy uwiązany na taśmie ze srebrnym kutasem, „choć nie miał co otwierać, bo zamku podwoje stały otworem” — wynalazł tylko dwoje drzwi, sam je naprawił i bawi się ich codziennym odmykaniem. Mieszka w jednej z pustych izb zamku; do Hrabiego na łaskawy chleb iść nie chciał, bo „wszędzie tęsknił i czuł się niezdrowym, jeżeli nie oddychał powietrzem zamkowym”.

Spostrzegłszy Hrabiego, zrywa czapkę i kłania się krewnemu swoich panów, schylając łysinę „naciętą od licznych kordów jak nasieka”. Pyta wprost: „Czyż to prawda, mopanku, że pan grosza skąpisz na proces i ten zamek Soplicom ustąpisz?”. Hrabia, znudzony, przyznaje, że chce dziś sprawę zamknąć i przyjąć warunki sądowej zgody. Gerwazy wybucha: „Zgoda i Soplicowie? Mopanku, panisko, pan żartuje?” — chwyta strzemień i wciąga Hrabiego do zamku, „niech no pan obaczy”.

W progu sieni starzec zaczyna opowieść. Tu dawni panowie siadali w krzesłach po obiedzie, „godzili spory włościan”, prawili ciekawe historie, młodzież zaś biła się w palcaty i ujeżdżała tureckie bachmaty. W brukowanej sieni „nie znajdziesz pan tyle kamieni, ile tu pękło beczek wina w dobrych czasach”; na chorze grała kapela, trąby grzmiły „jak w dniu sądnym”, a wiwaty szły porządkiem: pierwszy za króla, potem za prymasa, za królową, za szlachtę i Rzeczpospolitą, „a na koniec po piątej szklanicy wypitej — »Kochajmy się«, aż do poranku, gdy stały już cugi do odwozu gości.

Idą dalej; Gerwazy w milczeniu wodzi wzrokiem, raz kiwa głową „jakby chciał mówić: »Wszystko się skończyło«,” raz machnięciem ręki odpędza wspomnienie. Zatrzymują się na górze, w niegdyś zwierciadlanej sali — dziś z pustymi ramami po wydartych lustrach i oknami bez szyb, z krążgankiem wprost naprzeciw bramy. Tu zakrywa twarz rękami; odsłania ją z wyrazem żalości i rozpacz. Trzęsie wzniesioną prawicą i wyjawia Hrabemu rzecz, której ten nie wiedział: w jego żyłach „krew Horeszków płynie” — jest krewnym Stolnika po matce-

łowczyni, urodzonej z drugiej córki kasztelana, wuja jego pana. „Słuchaj pan historii swej własnej rodzinnej, która się stała właśnie w tej izbie, nie innej”.

Opowieść Gerwazego o ostatnim z Horeszków staje się sercem całego wątku zemsty. Stolnik — „pierwszy pan w powiecie, bogacz i familiant” — miał jedyną córkę, „piękną jak anioł”; zalecało się jej wielu szlachty i paniąt. Wśród nich był Jacek Soplica, kłótnik i paliwoda zwany żartem Wojewodą — w istocie człowiek znaczny, bo „rodzinę Sopliców miał jakby w dowództwie” i trzystu ich braci szlachty „kreskami rządził wedle woli”, choć sam posiadał tylko kawałek roli, szablę i „wielkie wąsy od ucha do ucha”. Stolnik często wzywał go i ugasał w pałacu, zwłaszcza przed sejmikami, ze względu na jego stronnictwo. „Wąsał” wzbіл się w dumę i zaczął sobie roić zięciostwo; przyjeżdżał coraz częściej nieproszony, „w końcu u nas jak w swoim domu się zagnieździł”, aż gdy miał się oświadczać, podano mu do stołu czarną polewkę — ceremonialną odprawę. Stolnikówna podobno miała Jacka w oku, lecz przed rodzicami głęboko taila.

Rzecz działa się „za Kościuszki czasów”; Stolnik popierał prawo trzeciego maja i już zbierał szlachtę na pomoc konfederatom, gdy nagle Moskwa w nocy opasała zamek. Ledwie zdążono wypalić z moździerza na trwoę i zaryglować podwoje. W zamku byli wówczas: Stolnik, pani, panienska, Gerwazy, kuchmistrz i dwóch pijanych kuchcików, proboszcz, lokaj i czterech hajduków. Bronili się ze strzelb przez okna; ksiądz proboszcz, pani, panienska i panny nadworne podawały broń, „trzech było strzelców, a szedł ogień nieustanny”. Trzykrotnie Moskale dotarli pod drzwi i trzykrotnie cofali się, zostawiając zabitych pod lamusem. O poranku Stolnik wesół wyszedł na ganek i z każdego strzału kładł Moskala — „czarny kaszkiet w trawę padał”. Postanowił zrobić wycieczkę, porwał karabelę i, obróciwszy się do Klucznika, zawołał: „Za mną, Gerwazy!”. W tej chwili padł strzał spod bramy; Stolnik zająknął się, zaczerwienił, zbladł, chrząknął krwią — kula trafiła go w pierś. Słaniając się, „palcem ukazał na bramę”. Gerwazy spojrział: na cel poznał „tego łotra Soplicę — po wzroście i po wąsach”; „jego to postrzałem zginął Stolnik, widziałem!” — zabójca jeszcze trzymał strzelbę wzniesioną, „jeszcze dym szedł z rury”. Klucznik dwa razy dał ognia i oba razy chybił — „czy ze złości, czy z żalu źle mierzył”. Wrzask kobiet; pan nie żył.

Gerwazy zalewa się łzami; resztę dopowiada krótko. Stałby bezprzytomny nad ciałem, ale na odsiecz przyszedł Parafianowicz „z Mickiewiczami dwustu z Horbatowicz” — szlachtą liczną, dzielną, „która od wieka nienawidzi Sopliców”. Stolnik nie zostawił syna, „który by zemstę poprzysiągł na grobie”, lecz miał wiernych sług: Gerwazy w krwi rany pańskiej obmoczył swój rapier zwany Scyzorykiem (sławny „na każdym sejmie, targu i sejmiku”) i przysiągł „wyszczerbić go na Sopliców karkach”. Ściagał ród na sejmach, zajazdach i jarmarkach: „dwóch zarąbał w kłótni, dwóch na pojedynku; jednego podpalił w drewnianym budynku” przy zajeździe z Rymszą na Korelicze — „upiekł się tam jak piskorz” — a tych, którym uszy obciął, „nie policzył”. Jeden tylko nie dostał jeszcze pamiątki: „rodzoniutki braciszek owego wąsala” —

żyje, jest „szanowany w powiecie, ma urząd, jest Sędzią!”, a swoimi kopcami tyka krawędzi zamku Horeszków. Konkluzja brzmi jak ślub: „póki Gerwazy ma choć za grosz duszy” i tyle siły, żeby ruszyć małym palcem Scyzoryk wiszący na ścianie, „Soplica tego zamku nie dostanie!”.

Reakcja Hrabiego jest charakterystyczna dla jego romansowej głowy: zachwyca się, że mury „skrywają taki skarb” — „tyle scen dramatycznych i tyle powieści!”. Żałuje, że Gerwazy nie przywiódł go w noc i nie ma „daru opowiadania”; zauważa, że w Anglii, Szkocji i Niemczech każdy zamek lordów i grafów „był teatrem mordów”, a „w Polsce pierwszy raz słyszę o takim wypadku”. Ogłasza, że krew Horeszków każe mu „zerwać wszelkie z Soplicą układy, choćby do pistoletów przyszło lub do szpady” — „honor każe”. Gerwazy w milczeniu idzie za nim. Przed bramą Hrabia, już na koniu, kończy myśl pół-szeptem do siebie: „szkoda, że ten Soplica stary nie ma żony lub córki pięknej” — kochając ją i nie mogąc otrzymać, miałby w tej powieści „nową zawilość: tu serce, tam powinność — tu zemsta, tam miłość!”. Sygnał, że romansowa próżność Hrabiego jest motorem równie ważnym co cześć rodu — i że los wkrótce mu dostarczy obu zawilości.

Spina ostrogi, koń niesie go ku dworowi, lecz mijając ogród zatrzymuje się przy płocie. Otwiera się jeden z najśłynniejszych opisów epopei. Sad — rzędy drzew owocowych, między nimi grędy: „kapusta, sędziwe schylając łysiny, siedzi i zda się dumać o losach jarzyny”; bób „wysmukły obraca na nią tysiąc oczu”; kukurudza podnosi „złotą kitę”; otyły harbuz „wtoczył się jak gość między buraki czerwone”. Na przykopach „jakby na straży w szeregach konopie, cyprysy jarzyn”, których woń zabija owady, a liść nie przepuszcza żmii. Maki z białawymi badyłami „myślisz, iż rojem usiadły motyle... z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni”; w środku „jak pełnia pomiędzy gwiazdami” krąży słonecznik „od wschodu do zachodu kręci się za słońcem”.

Pod płotem długi pagórek ogórków, „okryty grzędami jakby kobiercem fałdzistym”. Pośrodku idzie dziewczyna w bieli, w słomianym kapeluszu, od którego powiewają „dwie wstążki różowe i kilka puklów światłych, rozwitych warkoczy”. Tonie po kolana w majowej zieleni; nie tyle stąpa, ile „pływa po liściach”. Z koszykiem na ręku schyla się po owoce, „prawą rękę podniosła niby do chwytania, jako dziewczę, gdy rybki w kąpieli ugania bawiące się z jej nóżką”. Hrabia, zachwycony „tak cudnym widokiem”, milknie i ręką zatrzymuje nadjeżdżających towarzyszy, sam wyciągając szyję „jak dziobaty żuraw z dala od stada, gdy odprawia czaty”.

Zachwyt przerywa szelest na plecach: nad Hrabią staje ksiądz Robak z węzlastymi sznurkami w dłoni i krzyczy z udanym gniewem: „Ogórków chcesz Waś — oto masz ogórki! Wara, panie, od szkody; na tutejszej grzędzie nie dla Waszeci owoc, nic z tego nie będzie”. Pogrozi palcem, poprawia kaptur i odchodzi. Hrabia śmieje się i klnie razem; gdy wzrokiem wraca w ogród, dziewczyna już mignęła „śród okienka” tylko różową wstążką i białą sukienką. Drogę jej zdradza zielony liść jeszcze drżący po potrąceniu nogą, „jak woda, którą ptaszek skrzydłami rozkroił”, a na miejscu, gdzie stała, koszyk z rokity wywrócony dnem do góry, „pogubiwszy

owoce na liściach", kołysze się jeszcze wśród zielonej fali. Bernardyn dwa razy z rzędu wchodzi w drogę zauroczeniu Hrabiego (znak groźby do Tadeusza przy polowaniu, sznurki w sadzie) — strzeże obu chłopców przed splątaniem, którego znaczenia jeszcze nie znamy.

Z domu, dotąd cichego, zaczynają płynąć szmer, gwar, krzyk wesóły „jak w ulu pustym, kiedy weń wlatują pszczoły” — wracają myśliwi, służba krząta się przy śniadaniu. Mężczyźni jak weszli — w zielonych strojach myśliwskich — z talerzami i szklankami chodzą po pokojach, jedzą stojąc, opowiadają o flintach, chartach i szarakach; tylko Podkomorstwo i Sędzia siadają do stołu, panny szepczą w kątku. „Była to w staropolskim domu moda nowa”: przy śniadaniach Sędzia, choć nierad, pozwalał na nieporządek, lecz nie pochwałał.

Narrator przerywa się apostrofą na pochwałę polskiej kawy. W domu porządnym sprowadza ją „osobna niewiasta, kawiarka”, która z miasta albo z wicin bierze najlepsze ziarno i zna „tajne sposoby gotowania trunku, który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu, zapach moki i gęstość miodowego płynu”. Śmietaną z rana sama lekko zgarnia kwiat z mleczarni — i wlewa w osobny garnuszek pod każdą filiżankę, „aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek”. Tace ogromne, malowane w kwiaty, imbryki blaszane, filiżanki z saskiej porcelany. Panie starsze mają już za sobą kawę i biorą się do „drugiej potrawy”: gorącego piwa bielonego śmietaną, w którym pływają gruzły posiekanego twarogu. Dla mężczyzn — wędliny domowe, „uwędzone w kominie dymem jałowcowym”: półgęski, kumpie, skrzydliki ozoru; na deser zrazy. „Takie bywało w domu Sędziego śniadanie”.

Dwie izby rozdzielają się tematycznie. W jednej starszyzna mówi o gospodarstwie i „nowych coraz sroższych ukazach cesarskich”, Podkomorzy waży krążące pogłoski o wojnie i wyciąga wnioski polityczne, Wojska zabawia Podkomorzynę kabałą z kart w sinych okularach. W drugiej młodzież rozprawia o łowach „spokojniej niż zwykle”, bo Asesor i Rejent siedzą naprzeciwko siebie mrukliwi i gniewni — spór o Kusego i Sokoła rozsądzić niepodobna: zając wpadł w niezżętą jarzynę chłopską, Sędzia kazał dojeżdżaczy zatrzymać na miedzy, psy wróciły same i nikt nie wie, czy zwierz w paszczy Kusego, czy Sokoła, czy obu razem.

Stary Wojski przechodzi z izby do izby, do żadnej rozmowy się nie miesza, „widać, że czym innym zajęta miał głowę”. Nosi skórzaną plackę: czasem zatrzyma się, długo dumając, i — zabija muchę na ścianie.

Tymczasem Tadeusz z Telimeną stoją w drzwiach między izbami i szepczą sami. Tu wreszcie dochodzi do wyjaśnienia, które młodzieńcowi „ulżyło sercu”: ciocia Telimena jest bogatą panią, nie jest z nim kanonicznie spokrewniona zbyt blisko, ba — „niepewno nawet, czy ciocia Telimena jest synowca krewną”; Sędzia zwie ją siostrą tylko dlatego, że wspólni rodzice tak ich kiedyś tytułowali w dzieciństwie mimo różnicy wieku, a potem, gdy żyła w Petersburgu, „wyrządziła Sędziemu niezmierne usługi” — stąd „przed światem lubił, może z próżności, nazywać się bratem”, czego ona „przez przyjaźń nie wzbrania”. W jednej krótkiej chwili

wymieniają jeszcze wiele innych wyznań — symetria z porannym koszykiem Zosi: gdy Hrabia traci z oczu jedną dziewczynę, Tadeusz tym mocniej przylega do drugiej kobiety.

Z izby na prawo Rejent rzuca jakby mimochodem słowo na Asesora, ale celuje w nieobecnego Hrabiego: polowanie nie mogło się udać, „jeszcze na pniu stoi zboże”, Hrabia zaś, „chowany w obcych krajach od dzieciństwa”, powiada, że to barbarzyństwo polować bez „artykułów ustaw, przepisów urzędu”, nie szanując kopców, zabijać liniejącego lisa, dopuszczać, by charty „uszczuły, a raczej zamęczyły” kotną zajęczą samicę „w runi” — i że pod tym względem „cywilizacja większa u Moskali”, gdzie polowanie reguluje ukaz cara, policja i kara.

Telimena chwytą podaną piłkę i wachlując ramiona batystową chusteczką popisuje się petersburską anegdotą. Mieszkała w pałacyku na daczach nad Newą — narrator uściśla w nawiasie: „dacza wioskę znaczy”. Jej spokój zatruwał „mały czynownik siedzący na śledztwie”, trzymający charty: „Co to za męczarnie, gdy blisko mieszka mały czynownik i psiarnie!”. Pewnego ranka „chart u nóg mych zadławił mojego kochanka Bonończyka!” — ulubionego, „rozumnego, żywego jak wiewiórka” pieska, prezentu „od księcia Sukina” (komiczne nazwisko, autorska szpila). Na widok martwego psinki dostała mdłości, spazmów, palpacji — szczęściem nadjechał właśnie Kiriło Gawrylicz Kozodusin, „wielki łowczy dworu”. Każe przyciągnąć urzędnika za uszy i grzmi „piorunowym głosem”: „Jak śmiesz szczuć wiosną łanią kotną tuż pod carskim nosem?”. Czynownik zaklina się, że zwierzę uszczuły wygląda mu „na psa, nie na jelenia”, lecz Kozodusin oburza się, że ktoś śmie znać się lepiej od carskiego jegermajstra; wzywają policmajstra do spisania śledztwa. Ten „powinność służby swej rozumiał”: odwiódłszy nieszczęśnika na bok, „po bratersku” radzi mu przyznać się do winy, by grzech zgładzić. Wyrok: charty „poszły na powrozy”, czynownik na cztery tygodnie do kozy; „nawet wiem z pewnością, że sam cesarz śmiał się”. Anegdota — pod pozorem światowego dowcipu — pokazuje absurd rosyjskiego porządku, gdzie urzędnik woli przyznać, że pinczer to łania, niż się sprzeciwić wielkiemu łowczemu.

Śmiech rozlewa się po obu izbach. Sędzia, który grał właśnie w mariasza z bernardynem i miał zadać „wyświeconym winem” coś ważnego (Robak „ledwo dyszał”), słucha z zadartą głową, z kartą w górze gotową do bicia; po zakończeniu opowieści odkłada „pamfila” i kwituje: „Niech tam sobie kto chce chwali Niemców cywilizacją, porządek Moskali; niechaj Wielkopolanie uczą się od Szwabów prawować się o lisa i przyzywać drabów... na Litwie, chwała Bogu, stare obyczaje”. Zwierzyny dosyć dla siebie i sąsiedztwa, zboża dosyć — nikt nie będzie robić śledztwa o ogara, „a na morgach chłopskich broń robić polowanie”. Ekonom z drugiej izby dorzuca: pan tak drogo płaci chłopom za stratowane zboże, że chłopci sami są radzi, gdy chart wpada w jarzynę — „kopa oddana, jeszcze talar w przydatku”. Reszty argumentów gdzieś tonie w dziesięciu naraz rozgovorach, anegdotach i sporach.

Tadeusz z Telimeną, zapomnieni, „pamiętali o sobie”. Ona ciszy głos, on udaje, że nie dosłyszy w tłumie rozmów — pretekst zbliżenia. Przylega do niej tak, że „uczuł twarzą lubą gorącość jej

skroni", wstrzymanym oddechem chwyta jej westchnienia, okiem łowi „wszystkie jej wzroku promienie”.

Wtem między ich usta wpada „naprzód mucha, a za nią tuż Wojskiego placka”. Narrator przerywa się dygresją humorystyczną. Na Litwie jest „gatunek much osobny, zwanych szlacheckimi” — barwą zwykle, lecz pierś szerszą i brzuch większy mają „od gminnych”, brzęczą huczniej, „tkankę przebija pajęczą”, a wpadłszy w sieć trzy dni bzykają, sam na sam mocując się z pajakiem. Wojski wywnioskował, że to one są „dla rodzaju muszego, czym dla roju matki”, że z ich wybiciem „zginą owadów ostatki” — ochmistrzyni i pleban nie wierzyli, lecz Wojski nie odstąpił. Właśnie taka mu nad uchem zadzwoniła; dwukrotnie chybił, trzecim machnięciem omal nie wybił okna, mucha rozpaczliwie rzuciła się między twarze sąsiadującej pary — i tam dosięgła jej Wojskiego prawica. Cios tak tęgi, że „dwie odskoczyły głowy jak rozdarte piorunem dwie drzewa połowy”; oboje uderzyli się o uszaki drzwi, „oboju sine zostały się znaki”. Komiczny prefekt cnoty — anioł stróż w postaci łowcy much rozdziela parę dokładnie tak samo, jak Robak rozdzielił przed chwilą Hrabiego z Zosią.

Szczęściem nikt nie patrzył: dotąd „żywa, głośna, lecz dosyć porządna rozmowa zakończyła się nagłym wybuchem hałasu”. Narrator porównuje rozmowy do polowania: jak strzelcy zaciągający na lisa nagle podrywają dzika i cała kniej trzaska — tak rozmowa pomyka, „aż natrafi na przedmiot wielki, jak na dzika”. Tym dzikiem stał się znów spór o charty Rejenta z Asesorem — krótko trwał, „lecz zrobili wiele w jedną chwilę”. Wyczerpali trzy zwyczajne części sporu: „przycinki, gniew, wyzwanie — i szło już do pięści”. Z drugiej izby wszyscy ruszają „na kształt bystrej fali”, przeze drzwi unosząc parę stojącą na progu „podobną Janusowi, dwulicemu bogu”.

Pojedynek rozdziela kwestarz Robak — „człowiek stary, lecz krępy i bardzo pleczysty”. Gdy szermierze grozili sobie gestami, on raptem porywa obu z tyłu za kołnierze, „dwakroć uderzywszy głowy obie mocne jedną o drugą, jako jaja wielkanocne”, rozkrzyżowuje ramiona „na kształt drogowskazu” i ciska Asesora i Rejenta w dwa kąty izby; po czym z rozłożonymi rękami krzyczy: „Pax, pax, pax vobiscum — pokój z wami!”. Przez szacunek dla osoby duchownej nikt nie śmie lajać mnicha, a po takiej próbie sił też ochoty nie ma; Robak „wcale tryumfu nie szukał, ani groził kłótnikom więcej, ani fukał”, poprawia kaptur, ręce zatyka za pas i cicho wychodzi. To trzecia w krótkim odstępnie scena, która jego mnisi habit demaskuje: blizny, gesty wojskowe przy mszy, a teraz pięść godna sierżanta — nikt jeszcze nie rozumie, kim jest Robak naprawdę.

Plac zajmują Podkomorzy, Sędzia i Wojski. Stary Wojski, „jakby przebudzony z głębokiego dumania”, kręci węża, poprawia kapotę; w oczach iskrzy mu się ów blask, który postrzegano u niego zawsze „kiedy o łowach gadano”. Macha placką jak ksiądz kropielnicą, potem podnosi jej trzonek „jak łaskę marszałkowską” — nakazuje milczenie. Programowa mowa: gorszącą kłótnią dwóch pierwszych myśliwych powiatu odstrasza i tak słabo do łowów ciągnącą młodzież, „na

której Ojczyzny nadzieje". Przywołuje, kogo niegdyś widziały lasy litewskie — Rejtana w obławie, Jerzego Białopiotrowicza, szlachcica Żegotę, który „kulą z pistoletu w biegu trafiał kota”, Terajewicza idącego na dziki tylko z piką, Budrewicza chodzącego „z niedźwiedziem w zapasy”. A spory godziły się tak, że obierano sędziów polubownych i stawiano zakład: „Ogiński sto włók lasu raz przegrał o wilka; Niesiołowskiemu borsuk kosztował wsi kilka!”. Wojski proponuje to samo, a od siebie obiecuje ściskając stryja za kolana, że uprosi Sędziego, by „nie bronił dojeżdżaczowi, choćby po pszenicy gonił”.

Strony chwytają zakład. Rejent stawia konia z rzędem i zobowiązuje się zapisać Sędziemu „w salarium” pierścień; w razie czego — przed ziemskim urzędem. Asesor stawia złote obroże jaszczurem wykładane, z kółkami i smyczem jedwabnym — prezent od księcia Dominika z polowania z marszałkiem Sanguszką i generałem Mejenem, gdzie „bezprzykładną w dziejach polowania sztuką uszczuli sześć zajęcy pojedynczą suką”. Książę Radziwiłł, „nie mógł dosiedzieć na koniu”, objął sławną charcicę Kanię, trzykroć w głowę pocałował i, klepnąwszy po pysku, oznajmił: „Mianuję cię odtąd księżną na Kupisku” — tak „Napoleon daje wodzom swoim księstwa od miejsc, na których wielkie odnieśli zwycięstwa”. Anegdota magnacka i komplement dla Napoleona w jednym oddechu.

Telimena, znudzona swarami, zarzuca na głowę czerwony kaszemirowy szal, bierze koszyczek z kołką i córeczkę Podkomorstwa za rękę: „Panowie, jak widzę, chcecie zostać w pokoju, ja idę na rydze; kto łaska, proszę za mną”. Tadeusz milczkiem rusza za nimi. Sędzia, widząc w tym sposób na rozjęcie sporu, ogłasza grzybobranie z nagrodą: „kto z najpiękniejszym rydзем do stołu przybędzie, ten obok najpiękniejszej panienki usiedzie. Sam ją sobie wybierze. Jeśli znajdzie dama, najpiękniejszego chłopca weźmie sobie sama”.

Księga III — Umizgi

Hrabia wraca do siebie, lecz w drodze co chwila zatrzymuje konia, „głową w tył kręcąc, w ogród się wpatrywał”. Wciąż mu się zdaje, że z okienka mignęła „tajemnicza, bieluchna sukienka”, że coś lekkiego upadło z wysoka i mignęło „pomiędzy zielonymi ogórki, jako promień słoneczny wykradły z chmurki”. Zsiada, odprawia sługi i sam „po kryjomu” rusza ku ogrodowi — wciska się przez otwory w parkanie „jak wilk do obory”. Trąca suchy agrest; ogrodniczka, spłoszona, ogląda się, lecz nie spostrzega nikogo i biegnie w przeciwną stronę. Hrabia, „skacząc jak żaba”, przyczołguje się przez końskie szczawy i łopuchy, wytyka głowę spod liścia — i widzi „cudne widowisko”.

Narrator opisuje miejsce. W tej części sadu między wiśniami posiano zboże w gatunkach umyślnie zmieszanych: pszenica, kukurudza, bób, jęczmień wąsaty, proso, groszek, krzewiny i kwiaty — ogródek dla domowego ptactwa, wynalazek ochmistrzyni Kokosznickiej, z domu Jendykowiczówny. Pomysł stanowił „epokę w domowym gospodarstwie”: gdy kogut na warcie

ujrzy w niebie jastrzębia, krzyczy — i kury, gęsi, pawie, gołębie chronią się w tym zbożowym lasku. Dziś jastrzębia nie ma, tylko letnia pożoga; ptaki leżą w murawie i kąpią się w piasku.

Pomiędzy główkami ptasimi sterczą ludzkie — odkryte, z włosami „krótkie, jak len białe”: wiejskie dzieci. W środku — dziewczyna o głowę wyższą, z dłuższymi włosami. Tuż za nią paw rozprzestrzenił obręcze piór „w różnofarbną tęczę”, w której „wianek pawich oczu” świeci dookoła białych główek „jak wianek gwiazd”. Wokół kukurydza, angielska trawica srebrzysta w paski, koralowy szczyr, zielony ślaz — „kratą ze srebra i złota plecioną, powiewną od wiatru jak lekka zasłona”. Nad tym wszystkim wisi „jak baldachim jasna mgła motylów, zwanych babkami” — z poczwórnymi przezroczystymi skrzydełkami. Dziewczyna powiewa szarą kitką „podobną do piór strusich pęku”, oganiając niemowlęce główki od „złotego motylów deszczu”; w drugiej ręce coś złocistego, rogatego — „kształt złotego rogu Amaltei”, naczynie do karmienia dzieci.

Słyszac szelest, dziewczyna podnosi głowę. Hrabia stoi o cztery grzędy od niej i nisko się kłania. Zerwała się lecieć „jak kraska spłoszona”, lecz dzieci, „przelekłe podróżnego wniściem i ucieczką dziewczyny”, wrzasnęły okropnie. Wraca więc — „jak niechętny duch, wróżka przyzwany zaklęciem” — siada na ziemi, najkrzykliwsze bierze na łono, drugie głaszcze ręką i pieszczoną mową. Gdy się uspokoiły, tłumaczy im, patrząc spod oka na nieznanego: „Czy to pięknie tak krzyczeć? Czy to grzecznie? Ten pan się zalęknie. Ten pan nie przyszedł straszyć; to nie dziad szkaradny, to gość, dobry pan, patrzcie tylko jaki ładny”. Sama zerka — Hrabia uśmiecha się mile, ona „postrzegła się, umilkła, oczy opuściła, i jako róży pączek cała się spłoniła”. Tymczasem on rzeczywiście „był piękny pan: słusznej urody, twarz miał pociągłą, blade lecz świeże jagody, oczy modre, łagodne, włos długi, białawy”; na włosach po pełzaniu „listki ziela i kosmyki trawy, zieleniły się jako wieniec rozpleciony”.

Wybucha grandilokwentną tyradą w stylu romansowym: „O ty, jakimkolwiek uczczę cię imieniem, bóstwem jesteś czy nimfą, duchem czy widzeniem!”; domyśla się, że to „wzgardzony miłośnik, jaki pan możny, albo opiekun zazdrośnik, w tym cię parku zamkowym jak zakłątą strzeże”, deklaruje się jako „wybawiciel” — „jak rządysz sercem moim, tak rządz mym ramieniem”. Wyciąga ramię. Ona „z rumieńcem dziewiczym, ale z rozweselonym obliczem” słucha, „jak dziecię lubi widzieć obrazki jaskrawe”, nie pojmując słów; w końcu pyta prosto: „Skąd tu pan przychodzi? I czego tu po grzędach szuka pan dobrodziej?”. Hrabia, zmieszany, zniża ton: szukał drogi prościej do dworu, „na śniadanie późno”. Dziewczyna z chłopskim rozsądkiem wskazuje ścieżkę między murawą i pyta, czy „tędy”, choć dwór widać „o tysiąc kroków, jak na dłoni” — i sama wprawia Hrabiego w lekko komiczne położenie. On chce ciągnąć rozmowę: gdzie panna mieszka, dlaczego jej nie widział we dworze, czy to ona w tym okienku. Myśli sobie: „jeśli nie jest heroiną romansów, jest młodziuchną, prześliczną dziewczyną; zbyt często wielka dusza, myśl wielka ukryta w samotności, jak róża wśród lasów rozkwita; dosyć ją wynieść na świat, postawić przed słońcem”. Ogrodniczka powstaje w

milczeniu, podnosi jedno dziecko, drugie bierze za rękę, kilkoro „zaganiając jak gąski” idzie dalej; odwracając się prosi jeszcze go z odrobiną kpiny: „Czy też pan nie może rozbiegłe moje ptastwo wpędzić nazad w zboże?”. „Ja, ptastwo pędzać?” — krzyczy Hrabia z oburzeniem, ona zaś znika za drzewami. Jeszcze chwilę z szpaleru „przeświecało coś jakby oczu dwoje”. Hrabia długo stoi sam; dusza jego, jak ziemia po zachodzie, „barwy brała ciemne”, marzenia mają „bardzo nieprzyjemne” odcień. Sam nie wie, na kogo się gniewa — „mało znalazł, nadto się spodziewał”.

Wymarzona „nimfa tajemna” okazała się wiejską pasterką: „prawda, że twarz ładną, kibić miała wysmukłą, ale jak nieskładną”, a pulchne rumieńce „malują zbyteczną, prostacką szczęśliwość; znak, że myśl jeszcze drzemie, że serce nieczynne”. Odpowiedzi „tak wiejskie, tak gminne” dokończyły dzieła. „Moja nimfa tajemna pono gęsi pasie!” — krzyczy z rozczarowaniem. Z nimfą zniknęło i całe przezrocze: „te kraty urocze złote, srebrne — niestety, więc to była słoma?”. Snop trzymany w jej ręku, brany za pęk strusich piór, okazał się „snopkiem uwiązanej trawami mietlicy”; złocista konewka, „ów rożek Amaltei”, to po prostu marchewka — pożerana chciwie przez wiejskie dziecko. „Po uroku, po czarach, po dziwie!”. Narrator dopowiada paralelę: jak chłopiec, gdy dmuchnie na puchaty kwiat cykorii, widzi w ręku „nagą łodygę szarozielonawej trawy” — taka jest urodzona pomyłka romansowej wyobraźni.

Hrabia wciska kapelusz na oczy i wraca przez jarzyny, kwiaty i agrest; przeskoczywszy parkan, odetchnął. Boi się, że ktoś go zauważył („mówił o śniadaniu”), więc wraca okrężnie i wychodzi na gościniec, „jak złodziej od spichlerza” odwracając głowę od ogrodu. Na prawo widzi gaj, gdzie po murawie między brzozowymi pniami snują się „dziwne kształty” — czarne i białe, w długich szatach lub kapeluszach jak obręcze, z welonami ciągnącymi się „jak komet ogony”. Wszyscy schylają się ku ziemi „jak gdyby wybijać pokłony”, milczący, „głęboko zadumani”. Hrabia widzi w nich „obraz elizejskich cieni”; nie znając wiejskiego zwyczaju, nie domyśla się, że to towarzystwo na uroczystym grzybobraniu — Sędziowi rozsądni goście włożyli na kontusze opończe płócienne i słomiane kapelusze, „stąd biali wyglądają jak czyścicowe dusze”. Hrabia, „zdziwiony niezmiernie”, biegnie do gaju.

Następuje katalog grzybów. Chłopcy biorą *lisice* — „godło panieństwa”, bo „czerw ich nie zjada”; panienki dybią na *borowika*, „grzybów pułkownika”; wszyscy polują na *rydza*, mniej sławnego, ale najsmaczniejszego — „świeży, czy solony, czy jesiennej pory, czy zimą”. Wojski zaś, na przekór wszystkim, zbiera *muchomory*. Inne grzyby, „pospólstwo pogardzone w braku”, służą za karmę zwierzętom i okrasę gajów: *surojadki* „jako czareczki różnym winem napełnione”, *koźlak* jak dno kubka, *lejki* jak szampańskie kieliszki, *bielaki* jak „mlekiem nalane filiżanki saskie”, *purchawka* jak pieprzniczka. Tych „w zajęczym lub wilczym języku” znanych, „nieochrzczonych przez ludzi”, nikt nie tyka — choć, dorzuca narrator z naganą, łamać ich nogą i tak nie wolno, „tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie”.

Telimena „ni wilczych, ni ludzkich nie zbiera”; roztargniona, znudzona, „z głową w górę zadartą” — co dało Rejentowi pretekst do żartu, że szuka grzybów na drzewie, a Asesorowi do złośliwszego równania jej do „samicy, która miejsca na gniazdo szuka w okolicy”. Wymyka się ku samotnemu wzgórkowi z kamieniem, spod którego bystry strumień „bez ruchu, bez wrzawy, niewidzialny” szepce jak dziecko w kolebce z firankami z liści majowych. To jej *Świątynia dumania*. Rzuca na trawnik czerwony jak krwawnik szal i, „podobna pływaczce”, kładzie się wzdłuż na nim z francuską książką o welinowych stronicach — „nad alabastrowymi stronicami księgi wiły się czarne pukle i różowe wstęgi”. Z dala wygląda — przyznaje narrator z ironią — „jak pstra gąsienica, gdy wypełźnie na zielony liść klonu”.

Tylko Tadeusz, z bocznym strzelaniem okiem, „nie śmiejąc iść prosto, przysuwał się bokiem” — porównany do strzelca skradającego się do dropi w ruchomej gałęzistej szopie, ze strzelbą złożoną pod końską szyją „niby to bronę włóczy, niby jedzie miedzą”. Lecz uprzedza go sam Sędzia: przeciąwszy mu drogę, idzie do źródła w białym sarafanie i słomianym kapeluszu, w ręku ogromna laska. Siada przed Telimeną na kamieniu, wsparty oburącz na słoniowej gałce trzciny, i zaczyna sprawę.

Niespokoi go los Tadeusza: jest bezdietny, „ten dobry chłopczyna” to jego jedyna pociecha i przyszły dziedzic, „już mu też czas obmyśleć los, postanowienie”. Brat Jacek, ojciec Tadeusza, „dziwny człowiek, zamiarów jego trudno dociec, nie chce wracać do kraju, Bóg wie gdzie się kryje, nawet nie chce synowi oznajmić, że żyje, a ciągle nim zarządza”: najpierw chciał chłopaka w legionach, potem zgodził się, by został i ożenił. Sędzia upatrzył partię: Anna, starsza córka Podkomorzego, „piękna i posażna”. Telimena na te słowa „zbladła, złożyła książkę, wstała nieco i usiadła”.

Replikuje gniewnie: czy macie Boga w sercu, „talent zakopać w lasach i na grzędzie”, „grykosiejem zrobić”? Trzeba go „na wielkim świecie przetrzeć” — do stolicy, do Warszawy, najlepiej do Petersburga, gdzie ona „pewnie tej zimy pojedzie dla sprawy”. Tam ma „wpływy”, wprowadzi go w „najpierwsze domy”, dostanie urząd, order — „to najlepszy kreacji sposób”.

Sędzia zgadza się, że młodemu „nieźle się trochę przewietrzyć” — sam za młodu jeździł „w Piotrkowie, w Dubnie, nawet do Warszawy” jako palestrant — i chciałby wysłać synowca „prosto jak wędrowca, jak czeladnika, który terminuje lata”. Ale wyraźnie odcina się od orderów: „ranga moskiewska, order — co to za znaczenie?”. Liczy się, jak u dawnych panów, „ród, dobre imię albo urząd, lecz ziemski, przyznany wyborem obywatelskim, nie zaś czymś tam faworem”.

Telimena niecierpliwie kwituje: „tym lepiej, więc go jako wojażera wyślij”. Tu jednak Sędzia, „skrobiąc smutnie głowę”, odkrywa drugą trudność — i z nią właściwą stawkę całej rozmowy. Jacek nie wypuszcza syna z opieki: przysłał mu „właśnie na kark bernardyna Robaka”, przyjaciela brata, „który przybył z tamtej strony Wisły” i „wszystkie wie jego zamysły”. O losie

Tadeusza już zdecydowano: ma się ożenić — i to z Zosią, wychowanką Telimeny. „Oboje dostaną, oprócz fortunki mojej, z łaski Jacka wiano w kapitałach”, bo cały „prawie fundusz” Sędzia ma „z łaski jego”. Trzeba ich z sobą poznać; „czas by już Zośkę wreszcie wydobyć z zamknięcia, bo wszakci to już pono wyrasta z dziecięcia”. To pierwszy wyraźny sygnał, że spotkanie Tadeusza z dziewczyną w bieli z poranku nie było przypadkiem domowym — Jacek z Robakiem zaaranżowali je z dala, jako element starannie projektowanej naprawy.

Telimena „zdziwiona i prawie wylękała”, podnosząc się na szalu, „odpędza jak owad nieprzyjemne słowa”. Wybuchła: o Tadeusza niech radzą sami — „zróbcie go ekonomem lub w karczmie posadźcie” — „ale do Zosi? Co waćpaństwu do Zosi? Ja jej ręką rządę, ja sama!”. To, że Jacek dawał pieniądze na jej wychowanie i wyznaczył „pensyjkę roczną”, „jeszcze jej nie kupił”. Tu pada zdanie, na które Sędzia „się zapłonił” i mocno głową potakuje — bo wie, że Telimena trafia w nerw: „Hojność państwa dla nas nie jest bez powodu; winni coś Soplicowie dla Horeszków rodu”. Po raz pierwszy w streszczeniu pada otwarcie myśl, że pieniądze Jacka są długiem honorowym wobec rodu Stolnika, a Zosia — ostatnią dziedziczką tej krwi. Telimena domyka: była jej piastunką, „jedyną Zosi opiekunką”, i nikt prócz niej „nie będzie myślał o jej szczęściu”. Gdy Sędzia próbuje pytania, „a jeśli ona w tym zameściu znajdzie szczęście? jeśli Tadeuszka podoba?”, odpowiada wzgardliwie: „podoba, nie podoba — to mi rzecz ważna!”. Zosia, dowodzi, „nie jest z lada wsi, lada szlachcianka” — idzie z jaśnie wielmożnych, jest wojewodzianką, „rodzi się z Horeszkówny; małżonka dostanie!"; tyle starań włożono w jej wychowanie, „chybaby tu zdziczała”. Po tej burzy Sędzia, „udobruchany”, przyjmuje rekuzę: wycofuje się ze swatu, „odpisuję Jackowi, że nie z mojej winy nie dojdą Tadeusza z Zosią zaręczyny”, a sam już ze swojej strony „pono z Podkomorzym zagai swatowstwo” Tadeusza z Anną. Telimena ostygła i nagle bije w odwrot: „ja nic nie rekużuję, braciszku, pomału!” — jeszcze za wcześnie, są zbyt młodzi, „rozpatrzmy się, czekajmy”; tylko niech Tadeusza nikt nie namawia, nie przymusza, „bo serce nie jest sługa, nie zna, co to pany, i nie da się przemocą okuwać w kajdany”. Pozostawia sobie wszystkie ruchy: i Zosię, i wstęp do serca Tadeusza. Sędzia odchodzi zamyślony.

Tadeusz, „udając, że szukanie grzybów tam go zwabia”, podchodzi z jednej strony; Hrabia — z drugiej. Hrabia stał cały czas za drzewami i, dobywszy z kieszeni papier i ołówek (które „zawsze miał z sobą”), rozpiął kartkę na wygiętym pniu i szkicował: „Jakbyś umyślnie grupował: ten na głazie, ta w trawie; grupa malownicza! głowy charakterowe! z kontrastem oblicza!”. Telimena, choć dawno znana mu z domu Sędziego, dopiero teraz, w plenerze i napięciu sporu, „nabrała mocnych, żywszych niż zwykle rumieńców” — i Hrabia rozpoznaje w niej „model swojego obrazu”.

Kłęka, podaje pejzaże i wygłasza popis grzecznej skruchy: śledził jej kroków, ale przerwał świętą chwilę dumania. Telimena ocenia szkice „tonem grzecznej, lecz sztukę znającej osoby” — chwali talent, ale wzdycha za prawdziwymi tematami: „O, szczęśliwe nieba krajów włoskich!

różowe cesarów ogrody, klasyczne Tyburu spadające wody, straszne Pauzylipu skaliste wydroże! To, Hrabio, kraj malarzów! U nas, żal się Boże... dziecko muz w Soplicowie oddane na mamki umrze pewnie". Zachowa pejzaże dla albumu.

Wokół rozmowy — kontrpunkt narratora — ciągnie się las litewski: „czeremchy opłatane dzikich chmielów wieńcem, jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem, leszczyna jak menada z zielonymi berły"; głóg w objęciu kalin, ożyna „czarne usta tuląca do malin"; pośrodku „para nad całą leśną gromadą wzniesiona": brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym grabem; sędziwe buki, topole-matrony i pięćsetletni dąb „włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty, wspiera się jak na grobów połamanych słupach na dębów, przodków swoich, skamieniałych trupach".

Tadeusz nudzi się i zżyma; gdy katalog rozmowy przechodzi do pomarańczy, cyprysów, oliwek, kaktusów, aloesów, mahoni, fig — wybucha. W botanicznym ogrodzie wileńskim widział te „wschodnie i południowe drzewa", lecz „któreż równać się może z drzewami naszymi?". Cytryna to „kobieta mała, brzydka, lecz bogata"; aloes ma liście „jak konduktor palki"; cyprys — „drzewem nie smutku, lecz nudy", na grobie jak „lokaj Niemiec we dworskiej żałobie, nieśmiejący rąk podnieść". A polska brzezina — „jako wieśniaczka, kiedy płacze syna, lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy po ramionach do ziemi strumienie warkoczy! Niema z żalu, postawą jak wymownie szłocha!". Wbiją Hrabiemu szpilkę: skoro maluje, niech maluje drzewa wokół siebie, „prawdziwie, będą z pana żartować sąsiedzi, że mieszkając na żyznej litewskiej równinie, malujesz tylko jakieś skały i pustynie".

Hrabia broni klasycystycznej doktryny: „piękne przyrodzenie jest formą, tłem, materią; a duszą — natchnienie", sztukmistrz „musi ulecieć w sfery ideału!". Wylicza, że do pejzażu „trzeba punktów widzenia, grupy, ansamblu i nieba — nieba włoskiego!"; poza Włochami pejzażystami pierwszej mocy byli tylko Brejgel (zaznacza pedantycznie: „lecz nie van der Helle, ale pejzażysty: bo są dwaj Brejgele") i Ruisdael. Telimena dorzuca Orłowskiego, polskiego malarza „strawiwszego życie w Petersburgu", co zawsze tęsknił do kraju — narrator z lekkim sarkazmem nazywa to „Sopliców chorobą": „im oprócz ojczyzny nic się nie podoba".

Tadeusz triumfalnie się przyłącza: niebo włoskie, „błękitne, czyste — wszak to jak zamarzła woda; czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?". I wygłasza może najślynniejszy mickiewiczowski opis chmur — jesienna chmura „pełnie jak żółw leniwa, ulewą brzemienna"; gradowa „jak balon szybko z wiatrem leci, krągła, ciemnobłękitna, w środku żółto świeci"; codzienne białe chmurki, „zrazu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi", gdy wiatr „jak sokół do kupy je pędzi", dostają „krzywych karków, rozpuszczają grzywy", przelatują „jak tabun rumaków po stepie", aż „z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle, tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie cicho, z wolna po niebios błękitnej równinie". W trakcie deklamacji Tadeusz „jedną ręką pokazał im chmurę, a drugą ścisnął z lekka rączkę Telimeny" — gest

sygnaturalny, w którym mickiewiczowska wzniosłość i drobny flirt idą równo. Hrabia, niczego nie domyślając się, kładzie papier na kapeluszu i sięga po ołówek, gotów szkicować chmury.

Przerywa to „przykry dla uszu” dzwon dworski. Hrabia komentuje go z patetyczną melancholią: „Tak to na świecie wszystko los zwykł kończyć dzwonem!... Rachunki myśli wielkiej, plany wyobraźni, wylania się serc czułych — gdy spiż z dala ryknie, wszystko miesza się, zrywa, mąci się i niknie!”; pyta Telimenę „cóż zostaje?” i otrzymuje teatralną odpowiedź: „Wspomnienie!”. Telimena wręcza mu na osłodę „urwany kwiatek niezabudek”, którego on całuje i przypina do piersi. Równolegle dla Tadeusza między listowiem przewija się „coś białego: była to rączka jak lilija”; chwytając ją, „usty po cichu utonął w niej jak pszczoła w liliji kielichu” — i pod ustami znajduje zimno: klucz i biały listek zwinięty w trąbkę. Schowa wszystko do kieszeni. Nie wie, co znaczy klucz; „mu to owa biała kartka wytłumaczy”. Telimena gra na trzy strony naraz.

Dzwon okazuje się obiadowy — zwołuje gości z grzybobrania. Z gaju ciągnie gromada z krobeczkami i koszykami z chustek, panny niosą borowika „jako wachlarz zwiniony” i wiązki *opieniek* i *surojadek*; Wojski ma muchomora; Telimena „z próżnymi rękami” — z nią panicznie. Obiad zaczyna się w porządku znajomym z wieczerzy (Podkomorzy na najwyższym, pacierz bernardyna, chłodnik litewski), ale ciszej: stronnictwa Asesora i Rejenta myślą o jutrzejszym zakładzie, Hrabia i Tadeusz „obadwa radzi z siebie, obadwa szczęśliwi, obaj pełni nadziei, więc niegadatliwi”; Hrabia opuszcza dumne wejrzenie na niezabudkę, Tadeusz po kryjomu sprawdza, czy klucz nie uciekł, i pociera w kieszeni nieprzeczytaną kartkę. Telimena patrzy na Tadeusza, Hrabiego i Asesora „tak, jak ptasznik patrzy w sidło, kędy szczygły zwabia, i razem w pastkę wróblą”. Sędzia służy Podkomorzemu węgrynzem i szampanem, „ściska za kolana”, lecz „widać, że czuł jakieś tajemne kłopoty”.

Tok obiadu przerywa wpadający gajowy. Nie zważając, że pora obiadowa, dopada do pana i, ledwie złapawszy oddech, rzuca jedno zdanie: „Niedźwiedź, mospanie!”. Reszty wszyscy się domyślają: zwierz wyszedł z *matecznika* i przemyka się ku zaniemeńskiej puszczy — trzeba go natychmiast ścigać. Stół pęka w chór rozkazów. Sędzia: „Na wieś! konno, setnika! jutro na brzask oblawa, lecz na ochotnika; kto wystąpi z oszczepem, temu wytrącić dwa szarwarki i pięć dni pańszczyzny”. Podkomorzy każe pędzić po jego dwie sławne „pjawki” — psy *Sprawnika* i *Strapczyne* (imiona wzięte ironicznie od rosyjskiego sprawnika i adwokata — żartobliwy nick na biurokrację) — zawiązać w miechu i przystawić. Asesor po rusku do chłopca: „Wańka! tasak mój sanguszkowski pociągnąć na brusku”, sprawdzić, „czy kula jest w każdym ładunku”. „Strzelby, mieć na pogotowiu! Ołowi, ołowi! Formę do kul mam w torbie” — wojenny zamęt. Sędzia dorzuca: dać znać plebanowi, by jutro rano w kaplicy leśnej odprawił króciuchną mszę „świętego Huberta” — patrona myśliwych.

Po rozkazach milczenie; oczy wszystkich szukają wodza i schodzą się na sędziwej twarzy Wojskiego — „znak, że szukają wodza i oddają Wojskiemu buławę”. Stary wyciąga z zanadru złoty łańcuszek z grubym jak gruszka zegarkiem i ogłasza: „Jutro — pół do piątej, przy leśnej

kaplicy stawia się bracia strzelcy, wiara obławnicy". Wychodzi z gajowym obmyślić łowy. Reszta dnia schodzi na kuciu koni, karmieniu psów, czyszczeniu broni; do wieczery mało kto zasiada. Nawet stronnictwa Kusego i Sokoła „przystały dawnym wielkim zatrudniać się sporem" — Rejent i Asesor pobrawszy się pod ręce wspólnie szukają ołowiu. Wszyscy idą spać wcześniej.

Księga IV — Dyplomatyka i łowy

Księgę otwiera szeroka apostrofa do drzew Białowieży, Świtezi, Ponar, Kuszelewa — „rówienników litewskich wielkich kniaziów". Pod ich cieniem leżał na niedźwiedziej skórze Giedymin, słuchając mądrego Lizdejki i kołysany szumem Wilejki marzył o żelaznym wilku — i z bożego rozkazu zbudował Wilno, „co w lasach siedzi jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi". Stąd wyszli Olgierd i Kiejstut, „równie myśliwi wielcy jak sławni rycerze"; sen myśliwski odkrył przyszłość: „Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów". Do litewskich kniej „ostatni przyjeżdżał na łowy ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy" — ostatni Jagiellon. Narrator wzywa drzewa po imieniu — Baublisa, „w którego ogromie wiekami wydrążonym dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem", gaj Mendoga pod farnym kościołem, ukraińską lipę Hołowińskich nad Rosią, „pod której cieniami sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami". Z goryczą dorzuca, że „kupiecka lub rządowa, moskiewska siekiera" pożera te pomniki, „nie zostawia przytulku ni leśnym śpiewakom, ni wieszczom" — wbrew lipie czarnoleskiej Jana i kozackiemu dębowi-gaduli, które natchnęły poetów. Wyznanie autobiograficzne: „błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy za chybioną zwierzynę", upolował w tej ciszy „dumań" tyle, ile inni zwierzyny — wokół niego srebrzył się siwobrody mech złany czarną jagodą, czerwieniły się wrzosiste pagórki „strojne w brusznice jakby w koralów paciórki", a w górze gałęzie „jak zielone, gęste, niskie chmury", nad nimi wichler szalał „nieruchomo nad sklepem" jak „morze wiszące" — opis programowy dla całej księgi.

Na dole otwiera się obraz matecznika — „jak ruiny miast": wywrót dębu jak zrąb, gałęziste kłody jak ścian i kolumn obłamy, „w środek tarasu zajrzeć straszno: tam siedzą gospodarze lasu — dziki, niedźwiedzie, wilki", a u wrót „kości na pół zgryzione jakichś nieostrożnych gości". Z trawy wymykają się „dwa rogi jelenie jak dwa wodotryski", żółty pas zwierza „mignie jak promień gasnący między lasem". W ciszy stuka dzięcioł „jak dziecko, gdy schowane woła, by go szukać"; wiewiórka „z kitką nad oczyma jak pióro nad szyszakiem kirasyjera" gryzie orzech, miga jak błyskawica i wpada w pień „jak wracająca w drzewo rodzime dryjada". Z gęstwy wyłania się para — dziewczyna z krobeczką bruśnic „świeżych jako jej usta rumiane" i młodzieniec naginający leszczynę „chwytą w lot migające orzechy"; usłyszawszy rogi i psy, „znikają nagle z oczu jako leśne bogi". Anonimowi statyści idylli — emblemat litewskiego lasu, który jutro zostanie wstrząśnięty obławą.

W Soplicowie ruch, rzenie koni, trąby — lecz Tadeusz, „ubrany padłszy w łóżko, spał jak bobak w norze”. Słońce, wpadające przez wycięte w okiennicy serce, kładzie mu „słupem ognistym” na czoło; on, broniąc się blasku, kręci się jeszcze, gdy stukanie wyrywa go ze snu. Czuje się „rzeźwym jak ptaszek”, uśmiecha się sam do siebie, rumieni, wzdycha — wspomnienia wczorajszego dnia. Spogląda w okno — i w słupie światła widzi dwoje szeroko otwartych oczu, „małą rączkę niby wachlarz”, palce „czerwieniące się na wskroś jakby rubinowe”, roztulone usta, „zębki jak perły wśród koralów”, lica „same całe jak róże się płonią”. I wreszcie — moment grozy i rozkoszy — schylona twarzyczka. Tadeusz, „drżąc z bojaźni i radości”, poznaje: włos krótki, jasnozłoty, „w drobne, jako śnieg białe, zwity papiloty” — to TA dziewczyna z parkanu z pierwszego dnia. Zosia, nie Telimena. Dopiero teraz prawdziwie widzi, kogo szukał.

Zjawisko zrywa się przestraszone łoskotem, słychać tylko trzykrotne stukanie i głos: „Niech pan wstaje, czas na polowanie. Pan zasnął”. Tadeusz pcha okiennicę tak gwałtownie, że trzaska o ściany — wyskakuje, nic nie dostrzega; tylko parkan ogrodowy z chmielowymi wieńcami delikatnie się chwieje. Stoi długo, palec przy ustach, „jakby do wspomnień dawnych uśpionych w nim pukał”; w końcu, gryząc palec do krwi, krzyczy: „Dobrze, dobrze mi tak!”. Spóźnione rozpoznanie własnej pomyłki: te wszystkie uwiedzenia Telimeny, klucz, listek — kierowane były nie do tej, której naprawdę pragnął. Pierwsze ostrze ironii fabuły zwraca się przeciw młodemu Sopliczycowi.

We dworze pusto „jak na mogilniku”. Tadeusz nadstawia ucho, łowi z wiatru od puszczy odgłosy trąb i wrzasków, wskakuje na osiodłanego konia i jak opętany pędzi ku karczmom przy kaplicy, gdzie mają zebrać się obławnicy. Stoją tam dwie karczmy „po dwóch stronach drogi, oknami wzajem sobie grożące jak wrogi” — stara, z prawa należna dziedzicowi zamku, w której rej wodzi Gerwazy, i nowa, postawiona „na złość zamkowi” przez Soplicę, gdzie pierwsze miejsce ma Protazy.

Nowa nieciekawa; stara warta opisu. Zbudowana wedle wzoru „wymyślonego od tyryjskich cieśli”, potem przez Żydów rozniesionego po świecie — „od Żydów dziedziczym”. Z przodu jak korab Noego, „czworogranna skrzynia” z parami zwierząt, ptactwa i owadów (czyli stodoła); z tyłu, „na kształt dziwnej świątyni”, przypomina gmach Salomona stawiany przez „hiramskich na Syjonie cieśli”. Dach „pogięty jako kołpak żydowski podarty”, kolumny krzywe „jako w wieży pizańskiej”, łuki gotyckie z drzewa, ozdoby ciesielskie „krzywe jak szabasowych ramiona świeczników”, na końcu gałki „cyces” jak na łbach modlących się Żydów. „Słowem, z daleka karczma chwiejąca się, krzywa, podobna jest do Żyda, gdy się modląc kiwa: dach jak czapka, jak broda strzecha roztrzęsiona, ściany dymne i brudne jak czarna opona, a z przodu rzeźba sterczy jak cyces na czole”. W środku karczma „jak żydowska szkoła”: ciasne izbice dla podróżnych pań i panów oraz wielka sala, wzdłuż której biegnie „wielonożny stół wąski, drewniany” ze stołkami „jak dzieci do ojca”.

Niedziela; po porannej mszy w kaplicy do Jankiela schodzą się chłopci, chłopki i drobna szlachta — ekonom siedzi z osobna. Przy każdym czarka siwej wódki, szynkarka biega z butlą. Pośrodku „arendarz Jankiel” w długim szarafanie zapiętym srebrnymi haftkami, jedną rękę za czarny jedwabny pas, drugą gładzi „siwą brodę”; rzuca rozkazy okiem, wita gości, zagaja rozmowy, zażegnuje kłótnie, „lecz nie służył nikomu — tylko się przechadzał”. Stary, „powszechnie znany z poczciwości”, od lat dzierżawi karczmę i nikt — „ze włości ani ze szlachty” — nie zaniósł nań skargi do dworu: trunki dobre, „rachunki ostrożne, lecz bez oszukaństwa, ochoty nie zabraniał, nie cierpiał pijaństwa”; wielki miłośnik zabaw, u niego wesele i chrzciny, w każdą niedzielę zwołuje wiejską muzykę z basetlą i kozicami.

Sam jest muzykiem — cymbalistą; chadzał niegdyś po dworach grając „uczenie”, śpiewał czystą polszczyznę pieśni narodowe, przywoził „kołomyjki z Halicza, mazury z Warszawy”. Z każdej zaniemeńskiej wyprawy wracał z nową. Wieść głosi, że to on pierwszy przywiózł i upowszechnił w tym powiecie „ową piosenkę sławną dziś na całym świecie, a którą po raz pierwszy na ziemi Auzonów wygrały Włochom polskie trąby legionów” — Mazurek Dąbrowskiego. „Talent śpiewania bardzo na Litwie popłaca”: Jankiel zrobił majątek i, „sył zysków i chwały, zawiesił dźwięcznostrunne na ścianie cymbały”; osiadł z dziećmi w karczmie i zajął się szynkiem — wprowadzenie postaci, która w finałowych księgach odegra rolę kapłana pamięci narodowej.

Jankiel jest też podrabinkiem w pobliskim mieście i „domowym doradcą”; zna handel zbożowy i wicinny, „miał także sławę dobrego Polaka”. On pierwszy zgodził kłótnie, „często nawet krwawe”, między dwiema karczmami — bo obie wziął w dzierżawę; szanują go i stronnicy Horeszków, i Sopliców. „Przed Jankielem tłumili dawne urazy Gerwazy, groźny ręką, i Protazy, językiem”. Dziś Klucznika nie ma — poszedł na obławę pilnować młodego Hrabiego — i jego miejsce, „pokucie”, zajmuje ksiądz Robak. Jankiel okazuje mu wyraźny respekt: gdy spostrzega ubytek w szklance, sam podbiega i każe dolewać lipcowego miodu. Słysząc, że znali się „kiedyś w cudzych krajach”; Robak chadza do karczmy nocą i „tajnie z Żydem się naradza o ważnych rzeczach” — krąży nawet plotka o przemyśle, „lecz potwarz ta niegodna wiary”.

Robak rozprawia wpół głośno, otoczony szlachtą, która chyli nosy ku jego tabakierze i „kicha jak moździerz”. Tabakierka jest narzędziem perswazji: za pomocą każdego kichnięcia kwestarz zręcznie steruje rozmową. Skołuba zachwala tabakę („prawdziwa bernardynka, pewnie z Kowna rodem”), Robak prostuje: pochodzi z Jasnej Góry, robią ją paulinowie w mieście „cudami wślawionej Bogarodzicy Panny, Królowej Korony Polskiej... zowią Ją dotąd i Księżną Litewską — koronę jeszcze dotąd piastuje królewską... lecz na Litewskim Księstwie teraz syzma siedzi!”. Wątek polityczny zaczyna się od pobożnego dygresji. Wilbik pyta z niepokojem, czy prawda, że Francuz wszedł do Częstochowy i chce kościół rozwalić — „bo to wszystko w Litewskim stoi Kuryjerze”. Robak gładko dementuje: Napoleon, „katolik najprzykładniejszy”, „papież namaścił, żyją z sobą w zgodzie”; ze srebra częstochowskiego oddano „na skarb narodowy, dla ojczyzny, dla Polski”, bo „skarbcem ojczyzny zawsze są Jego ołtarze”. W

Warszawskim Księstwie stoi już sto tysięcy wojska polskiego — i nieprzyjemnie pyta zebranych: „a któż wojsko opłaci? czy nie wy, Litwini? Wy tylko grosz dajecie do moskiewskiej skrzyni”.

Wilbik wybucha: „Kat by dał, gwałtem od nas biorą”. Chłopek pokornie skrobie się w głowę, że szlachcie „bieda przez połowę”, a „nas drą jak na łyka”. Skołuba rzuca na to obelżywym „cham!”, wywodząc, że chłop „przywykł jak węgorz do odarcia”, a *urodzonym* wielmożnym dziś szlachectwa „przeczą, każą drabować papiery, papierem szlachectwa próbować”. Wybucha komiczny spór o pochodzenie: Juraha gardzi „patentami”, bo jest „z kniaziów” („niechaj Moskal w las idzie pytać u dębiny, kto jej dał patent rosnąć”); Żagiel mu odgryza, że tu „znajdzie pono mitry w niejednym domu”; Podhajski zarzuca komuś krzyż w herbie jako „aluzyję, że w rodzie bywał neofita”; Birbasz protestuje, że on z tatarskich hrabiów ma krzyże nad herbem Korabia; Mickiewicz (autorska puenta) krzyczy: „Poraj z mitrą w polu złotym, herb książęcy, Strykowski gęsto pisze o tym”. Genealogiczna kłótnia, w której każdy szlachcic odwołuje się do własnej historii, grozi rozsądzić zebranie.

Robak ratuje sytuację tabakierą: częstuje wszystkich po kolei, cisza zapada w gwarze kichań. Korzystając z przerwy, ciągnie dalej: „Oj, wielcy ludzie od tej tabaki kichali! Czy uwierzycie państwo, że z tej tabakiery, pan generał Dąbrowski zażył razy cztery?”. Wszyscy oniemiają. Robak zmyśla — albo i nie — anegdotę: pod Gdańskiem, gdy generał miał coś pisać i bał się, że uśnie, zażył, kichnął, dwakroć klepnął kwestarza po ramieniu i rzekł: „Księżę Robaku, księżę bernardynie, obaczmy się w Litwie może nim rok minie; powiedz Litwinom, niech mnie czekają z tabaką częstochowską, nie biorę innej tylko taką”. Mowa wzbudza takie zadziwienie, że karczma chwilę milczy; potem powtarzane wpół ciche słowa — „Tabaka z Polski? Częstochowa? Dąbrowski? Z ziemi włoskiej?...” — łączą się nagle w jednogłośny okrzyk: „Dąbrowskiego!”. Wszyscy się ściskają — „chłop z tatarskim hrabią, Mitra z Krzyżem, Poraje z Gryfem i z Korabią” — i jeden plemienny zgiełk żąda „Wódki, miodu, wina!”. Tabaka okazała się przezrystą polityczną komunią.

Robak nie pozwala emocji uciec na bok: znów bierze tabakierkę w obie ręce, kichnięciem zmiesza melodię i pokazuje, „co się wewnątrz tabakierki dzieje”. Na denku — malowana armia maleńka „jak rój much”, a w środku „człowiek na rumaku, wielki jako chrząszcz”, spinający konia ku niebiosom, z jedną ręką na cuglach, „drugą u nosa”. „Wielki to człowiek, cesarz, ale nie Moskali, ich carowie tabaki nigdy nie bierali” — i pcha rozmowę z Napoleonem w samym środku. Cydzik dziwi się jednak: „a w kapocie? Ja myślałem, że wielcy ludzie chodzą w złocie”. Rymsza odgryza się: Kościuszko, „naczelnik naszego narodu”, chodził w „krakowskiej sukmanie, to jest czamarce”; Wilbik prostuje, że „zwano taratatką”, Mickiewicz dorzuca, że „tamta z frędzlami, ta jest całkiem gładką” — i wybuchają nowe swary o kroje strojów narodowych.

Robak znów zbiera rozmowę „do swojej tabakiery jako do ogniska” i opowiada bitwę pod Austerlitz: „Co Francuzi strzelą, to Moskale pułkami jak trawa się ścielą; co pułk spadnie, to

cesarz zażyje tabaki". Aleksander z bratem Konstantym i cesarzem niemieckim Franciszkiem „w nogi z pola", a Napoleon „spojrzał na nich, zaśmiał się i otrząsnął palce". Konkluzja, skierowana wprost do słuchaczy: „jeśli kto z panów będzie w wojsku cesarza, niech to sobie wspomni". Skołuba żali się, że co święto „Francuzów nam wróżą, a Moskał jak nas trzymał, tak trzyma za szyję — pono nim słońce wnidzie, rosa oczy wyje".

Tu pada kluczowy, polityczny passus Robaka: „Babska rzecz narzekać, a żydowska rzecz ręce założywszy czekać, nim kto w karczmę zajedzie i do drzwi zapuka. Z Napoleonem pobić Moskałów nie sztuka". Jużci Szwabom „skórę trzy razy wymłócił", Prusactwo zdeptał, Anglików wyrzucił za morze — Moskałom też wygodzi. Tylko jeśli Litwa założy ręce, „Napoleon sam wszystkich pobiwszy, nareszcie powie: »Obejdę się ja bez was, kto jesteście?«". Zaproszenie gościa nie wystarczy: „Trzeba czeladkę zebrać i stoły pownosić, a przed ucztą potrzeba dom oczyścić z śmieci — oczyścić dom, powtarzam, oczyścić dom, dzieci!". To pierwsze otwarte, choć wciąż alegoryczne, wezwanie do przygotowania powstania, by zbiegło się z marszem Napoleona.

Szlachta jeszcze nie rozumie: „jak to ksiądz rozumie? Jużci my wszystko zrobim, tylko niech ksiądz dobrodziej jaśniej się wysłowi". Tu jednak Robak wytknął głowę przez okno: „dziś czasu nie mamy; potem o tym obszerniej". Jutro będzie w mieście powiatowym, do każdego zajedzie „po kweście". Szlachta odprowadza go zaproszeniami i przysłowiami: do Niehrymowa („szczęśliwy człowiek, jako kwestarz w Niehrymowie"), do Zubkowa („półsztuczek płótna, masła faska, baran lub krówka — szczęśliwy człowiek, trafił jak ksiądz do Zubkowa"), do Skołuby, do Pucewicz („żaden bernardyn głodny nie wyszedł z Pucewicz") — żywy katalog gościnnej kresowej szlachty. Robak już jest za drzwiami, bo przez okno ujrzał Tadeusza pędzącego gościńcem w cwał, „bez kapelusza, z głową schyloną, bladym, posępnym obliczem", bodąc i kropiąc konia biczem. Bernardyna „bardzo zmieszał ten widok"; spieszy za młodzieńcem do wielkiej puszczy, która „jako oko sięga, czerniła się na całym brzegu widnokręga".

Tu narrator otwiera słynny opis matecznika. „Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy, aż do samego środka, do jądra gęstwiny?". Rybak zna tylko brzegi morza; myśliwiec krąży „koło puszczy litewskich łoża, zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice" — wewnętrzne tajemnice „wieść tylko albo bajka wie". Aby przejść za bory i podszyte knieje, trzeba zmagać się z „wałem pniów, kłód, korzeni, obronnym trzęsawicą, tysiącem strumieni i siecią zielsk", przebrnąć przez „kopcami mrowisk, gniazdami os, szerszeniów, kłębami węzowisk". Dalej „małe jeziora, trawą zarosłe na poły, tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą (wielkie jest podobieństwo, że diabły tam siedzą)". Woda „plamista rdzą krwawą, z wnętrza dymi, zionąc woń plugawą", drzewa wkoło „łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore, brzydkimi grzybami brodate, siedzą wokoło wody jak czarownic kupa grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa".

Za mgłą rozpościera się — jak głosi „wieść gminna” — żyzna okolica, „główna królestwa zwierząt i roślin stolica”. Tam, „jak w arce Noego”, chowa się „z wszelkich zwierząt rodu jedna przynajmniej para dla płodu”. Pośrodku — w odwzorowaniu społeczeństwa szlacheckiego — „mają swoje dwory dawny Tur, Żubr i Niedźwiedź, puszcza imperatory”; wokół „Ryś bystry i żarłoczny Rosomak jak czujne ministry”; dalej „jak podwładni szlachetni wasale, mieszkają Dzikie, Wilki i Łosie rogale”; nad głowami „Sokoły i Orłowie dzicy, żyjący z pańskich stołów dworscy zauszniczy”. Te „pary patryjarchalne” wysyłają dzieci „dla osad za granicę lasu”, a same „nie giną nigdy bronią sieczną ani palną, lecz starzy umierają śmiercią naturalną” na cmentarzu w głębi: „niedźwiedź, gdy zjadłszy zęby, strawy nie przeżuwa”, „jeleń zgrzybiały”, „zając sędziwy”, „orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi, że zamknięty na wieki już gardła nie żywi” — wszyscy idą umrzeć tam, gdzie nikt nie zajdzie. „Stąd to w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości, nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości” — wytłumaczenie ludowej zagadki, do której narrator wraca jak do ostatecznego sekretu lasu.

W tej zwierzęcej stolicy panują „dobre obyczaje, bo rządzą się sami; jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci, nie znają praw własności, która świat nasz klóci, nie znają pojedynków ni wojennej sztuki”. Żyją „jak ojce w raju” — dzikie i swojskie razem, „w miłości i zgodzie”; nawet człowiek niebrojny przeszedłby między nimi spokojnie, „one by nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia, jakim w owym ostatnim szóstym dniu stworzenia ojce ich pierwsze... patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły”. Strzeże ich Trud, Trwoga i Śmierć; zabłąkane ogary uciekają „skowycząc z obłąkanym wzrokiem”, a u nóg pana drżą jeszcze długo „strachem opętane”. „Te puszcza stołeczne, ludziom nieznane tajniki, w języku swoim strzelcy zowią: *mateczniki*” — definicja terminu na końcu opisu, jak gdyby narrator ujawniał dopiero teraz, dlaczego trzeba było zejść tak głęboko.

Sam niedźwiedź dostaje od narratora wesołą, ironiczną apostrofę: „Głupi niedźwiedziu! gdybyś w mateczniku siedział, nigdy by się o tobie Wojski nie dowiedział”. Skusiły go pasieki albo dojrzały owies; wyszedł na brzeg puszczy, leśniczy zaraz wytropił, „obsaczniki, chytne szpiegi” znalazły jego popas i nocleg. Teraz Wojski z obławą zamyka mu odwrót od matecznika.

Cisza; myśliwi w nieruchomych szeregach „natężają ucha”, słyszą tylko „muzykę puszczy”. Wojski klęka i ziemię uchem pyta — strzelcy patrzą na niego jak „w twarz lekarza wzrok przyjaciół czyta wyrok życia lub zgonu”. „Jest! jest!” — wyrzeka półgłosem. Po chwili wszyscy słyszą: jeden pies wrzasnął, potem dwadzieścia, „doławiają się, wrzeszczą, wpadły na trop, grają”. Granie krótkie, „częste, ucinane, zjadłe” — psy gonią na oko, doszli zwierza; „śród ogarów grania słyhać coraz to częściej jęk psiego konania”. Niesubordynacja: strzelcy łamią stanowiska, mimo że Wojski objeżdża konno z krzykiem, „że jeżeli z miejsca zejdziesz, dostanie w grzbiet smyczem!”. Trzy strzelby naraz huknęły; ryk niedźwiedzia — „okropny, boleści, wściekłości, rozpacz” — wypełnia las. „Jeden Wojski w żalości, krzyczy, że chybiono”: zwierza

wymyka się ku polom, gdzie zostali na ostatnich stanowiskach Wojski, Tadeusz, Hrabia i kilku obławników.

Z gęstwy „jak z chmur, wypadł niedźwiedź na kształt gromu”. Wstał na łapach tylnych, ryczy strasząc wrogów, rwie korzenie drzew i wrosłe kamienie, wreszcie „wyłamał drzewo, kręcąc nim jak maczugą”. Rusza wprost na Tadeusza i Hrabiego. Obaj — „niedoświadczeni!” — strzelają jednocześnie i jednocześnie chybiają, „jako dwa konduktory w łono ciemnej chmury”. Chwytają wówczas jeden oszczep „czterema ramiony, wydzielali go sobie”: komizm zazdrosnej młodości w obliczu śmierci. Niedźwiedź skacze, błyskają „dwa rzędy kłów”, łapa z pazurami spada na łeb — paniczowie bledną, w tył uciekają. Zwierz wspina się, „już czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy. Zdarłby mu czaszkę z mózgow jak kapelusz z głowy”.

Ratunek przychodzi z trzech stron naraz. Z boków „Asesor z Rejentem”, z przodu Gerwazy o sto kroków, a z nim — bez strzelby — Robak. „I trzej w jednej chwili jak gdyby na komendę razem wystrzelili”. Niedźwiedź „wyskoczył w górę jak kot przed chartami i głową na dół runął, i czterema łapami przewróciwszy się młynem”, wałąc cielskiem zbił Hrabiego z nóg. Jeszcze ryczał — gdy „rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły” wsiedli mu na uszy, dusząc gardziel.

Tu zaczyna się popis Wojskiego. Chwyta przypięty do taśmy róg bawoli — „długi, cętkowany, kręty jak wąż boa”; oburącz przyciska do ust, „wzdął policzki jak banię, w oczach krwią zabłysnął, zasunął wpół powieki, wciągnął w głąb pól brzucha i do płuc wysłał z niego cały zapas ducha”. Róg „jak wicher wirowatym dechem, niesie w puszcę muzykę i podwaja echem”. W graniu — „łowów historyja krótka”: najpierw „odzew dźwięczący, rzeński — to pobudka”; potem „jęki po jękach skomlą — to psów granie”; gdzieniegdzie „ton twardszy jak grzmot — to strzelanie”. Po pierwszej frazie pada refren, który Mickiewicz powtórzy trzykrotnie jak liturgiczne zaklęcie: „Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało, że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało”.

Dęcie wraca w nowych transformacjach: róg „udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje”, to „w niedźwiedzie gardło ryknął”, to wiatr rozdarło „beczenie żubra”. Po kolejnej pauzie i kolejnym refrenie — wybuch zbiorowy: „jakby w rogu były setne rogi, słysząc zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi, strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry podniósł róg i tryumfu hymn uderzył w chmury”. Trzeci raz pada refren echa; pieśń „ile drzew, tyle rogów” niesie się „z choru do choru”, „coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza, aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!”. Wojski rozkrzyżował ręce, róg opadł, on sam stoi „z obliczem nabrzmiałym, promiennym, jakby natchniony, łowiąc uchem ostatnie znikające tony” — i wybucha „tysiące oklasków, tysiące powińszowań i wiwatnych wrzasków”. Słynna „muzyka rogu” Wojskiego jest osobnym arcyfragmentem; w streszczeniu nie da się go zastąpić, można go tylko obejść.

Powrót na ziemię — do trupa. Niedźwiedź leży „krwią opryskany, kulami przeszyty”; pyski psów dzierżą go pod uszy, „krew czarną wysysał Sprawnik”. Wojski każe wbić w paszcze kij żelazny i rozewrzeć szczęki, kolbami przewrócić zwłoki na wznak; „trzykrotny wiwat uderzył w obłoki”. Wybuchają jednak inne spory — kto zabił. Asesor podnosi do góry „fuzijkę” — niewielką strzelbę, dar od księcia Sanguszki, „nie puści ona na wiatr żadnego ładunku”. Rejent kontruje: to on biegł za niedźwiedziem, mimo zakazu Wojskiego; wyciąga „prawdziwą Sagalasówkę” z napisem *Sagalas London à Bałabanówka* — narrator z erudycyjnym uśmiechem dopowiada, że to robota „sławnego ślusarza Polaka, który robił polskie strzelby, ale je po angielsku zdołał”. Awantura — strony Asesora i Rejenta. „O Gerwazym nie wspomniał nikt, bo wszyscy biegli z boków i, co się z przodu działo, nie postrzegali”.

Wojski godzi to gestem starorzecznym: „teraz przynajmniej jest za co; bo to, panowie, nie jest ów szarak ładaco, to niedźwiedź; tu już nie żal poszukać odwetu, czy szerpentyną, czyli nawet z pistoletu”. Zezwala dawnym zwyczajem na pojedynek i obiecuje opowieść o sąsiadach znad Wilejki — „Domejko i Dowejko” — którzy „do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili” i przysięgli strzelać się „przez niedźwiedzią skórę, prawie rura w rurę”. On był sekundantem; chce opowiedzieć całość — ale historia ta zostanie przerwana („w następnym chunku”) szczuciem kota, jak zapowiada nagłówek książki.

Nim Wojski zaczyna, Gerwazy rozstrzyga spór praktycznie. Z uwagą obchodzi trupa, dobywa tasak, rozcina pysk, w „tylcu głowy, mózgu rozkroiwszy słoje”, wyciąga kulę, ociera, przykłada do ładunku swojej starej, „obwiązanej w sznurki” jednorurki Horeszkowskiej. „Panowie — ta kula nie jest z waszej broni, ona z tej Horeszkowskiej wyszła jednorurki, lecz nie ja wystrzeliłem”. Następuje wstrząsające wyznanie Klucznika: „w oczach mi się ćmiło”, bo prosto na niego biegli obaj paniczowie, a niedźwiedź już sięgał głowy Hrabiego — „ostatniego z Horeszków!... chociaż po kądzieli”. Krzyknął „Jezus Maria!” — i pomoc zesłali aniołowie w postaci „księdza bernardyna. On nas wszystkich zawstydził; oj, dzielny księżyna! Gdym drżał, gdym się do cyngla dotknąć nie ośmielił, on mi z rąk flintę wyrwał, wycelił, wystrzelił: między dwie głowy strzelić! sto kroków! nie chybić! I w sam środek paszczęki! tak mu zęby wybić!”.

Gerwazy dodaje, że w życiu „jednego widziałem człowieka, co mógł takim popisać się strzałem” — z dramatyczną pauzą wymienia: „Ów głośny niegdyś u nas z tylu pojedynków, ów, co korki kobietom wystrzelał z patynków, ów łotr nad łotry, sławny w czasy wiekopomne, ów Jacek, vulgo Wąsał — nazwiska nie wspomnę... Ale mu nie czas teraz dojeżdżać niedźwiedzi; pewnie po same wąsy hultaj w piekle siedzi”. Czytelnikowi domyślającemu się, że Robak to Jacek Soplica, narrator pozwala tu zrównać dwóch strzelców w tej samej dłoni — choć Klucznik tego jeszcze nie wie. Konkluzja brzmi prawie sakramentalnie: „Chwała księdzu! dwom ludziom on życie ocalił — może i trzem”. Bo gdyby „ostatnie z krwi Horeszków dziecko wpadło w bestii paszczę”, Gerwazy by się go nie przeżył. „Pójdź, księżu, wypijemy zdrowie jegomości”.

Próżno szukają. Robak po strzale podskoczył tylko do Hrabiego i Tadeusza; zobaczywszy obu „cali i zdrowi, podniósł ku niebu oczy, cicho pacierz zmówił i pobiegł w pole szybko, jakby go kto łowił” — pierwsza, niewypowiedziana ekspiacja Jacka Soplicy za grzech sprzed ćwierć wieku: tym samym strzałem, który zabił Stolnika, ratuje teraz jego ostatniego krewnego.

Tymczasem na rozkaz Wojskiego rzucono na stos „pęki wrzosu, suche chrusty i pniaki”; ogień bucha, szara sosna dymu rozszerza się „w górze na kształt baldakimu”, oszczepy ustawiono w koziołki, brzuchate kociołki na grotach. Z wozów wieziono jarzyny, mąki i pieczone, i chleb. Sędzia otwiera puzderko zamczone z białymi główkami flaszek, wybiera największy kufel kryształowy — gdańską wódkę, dar od księdza Robaka („napój miły dla Polaka”) — i unosi flaszkę z toastem: „Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, będzie znowu nasze!” — łyka srebrzystego likworu lejąc w koło, „aż na końcu zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu”.

W kociołkach grzeje się bigos. Następuje słynna apostrofa: „W słowach wydać trudno bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną; słów tylko brzęk usłyszysz i rymów porządek, ale treści ich miejski nie pojmie żołądek. Aby cenić litewskie pieśni i potrawy, trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy”. Sama receptura: „siekana, kwaszona kapusta, która, wedle przysłowia, sama idzie w usta”, łonem wilgotnym okrywa części „najlepszego wyszukanego mięsiwa”; w kotle „praży się, aż ogień wszystkie z niej wycisnie soki żywne, aż z brzegów naczynia war pryśnie i powietrze dokoła zionie aromatem”. Strzelcy „zbrojni łyżkami, biegną i bodą naczynie; miedź grzmi, dym bucha, bigos jak kamfora ginie; zniknął, uleciał; tylko w czeluściach saganów wre para jak w kraterze zagasłych wulkanów”.

Po uczcie zwłoki niedźwiedzia kładą na wóz, sami siadają na koń i wracają — radzi wszyscy z wyjątkiem Asesora i Rejenta, którzy „gniewliwsi niż wczora” kłócą się dalej o zalety swojej Sanguszkówki i bałabanowskiej Sagalasówki. Hrabia z Tadeuszem jadą posępni: „wstydzą się, że chybili i że się cofnęli”. Sam Hrabia tłumaczy, że to Tadeusz przeszkodził mu „spotkaniu z zwierzem”; Tadeusz, „silniejszy i do robienia ciężkim oszczepem zręczniejszy”, chciał go „wyręczyć”. Tak prowadzą wymianę zarzutów przez całą drogę.

Wojski jedzie pośrodku „wesół nadzwyczaj i bardzo rozmowny”, żeby dwóch sporów raz zażegnać, dokończa Asesorowi i Rejentowi historii o Dowejce i Domejce — komedii, którą wymyślił „lat temu czterdzieście”. Kłopoty obu pochodziły z „nazwisk podobieństwa”: na sejmiku „daj kreskę Dowejce” zamieniało się w „kreskę Domejce”; toasty mylono; w Wilnie pijany szlachcic poranił Domejkę szablą, a potem, wracając Wilejką promem, „pyta sąsiada, kto on? odpowie: Dowejko — »Czach, czach!« i za Domejkę podciął wąs Dowejki”. Kulminacją było polowanie, gdzie obaj imiennicy strzelili razem do jednej niedźwiedzicy, „już pierwszej niosła z dziesiątek kul w brzuchu” — dojsz kto zabił niepodobna. Krzyk: „Dwóch nas jak dwóch słońc pono zanadto na świecie!”. Chwytają za szerpentyny, potem za pistolety, w końcu „na złość, przysięgli przez niedźwiedzią skórę strzelać się: śmierć niechybna! prawie rura w rurę”.

Wojski miał być sekundantem; obiecuje zgodę, „lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym”.

W nocy Wojski sięga po Wergiliusza („mój przyjaciel Maro”): „skóra zwierza nie jest lada jaką miarą” — wszak królowa Dydo wytargowała sobie u Libów „taki ziemi kawał, który by się wołową skórą nakryć dawał”, i na tym kawałku stanęła Kartagina. O świcie rozłożył wzdłuż rzeki niedźwiedzią skórę „porzniętą na szmaty” jak „most kosmaty” — i postawił Doweykę „na ogonie”, Domeykę „na pysku”. „Pukajcie teraz, choć przez całe życie, lecz póty was nie spuszczę, aż się pogodzicie”. Szlachta związała się ze śmiechu, ksiądz cytował Ewangelię i statuty — „nie ma rady: śmieli się i musieli zgodzić”. Spór zamienił się w „dozgonną przyjaźń”; Doweyko ożenił się z siostrą Domeyki, Domeyko z Doweykówną, majątek podzielili na pół, „a w miejscu, gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek, pobudowawszy karczmę, nazwali Niedźwiadek”. Anegdota z wbudowaną morałem — szlachecki spór da się rozśmieszyć w pokrewieństwo.

Opowieść Wojskiego przerywa zresztą krzyk „Wyczha!” — spod koni wyskakuje szarak; Kusy i Sokół, idące luzem przy koniach, ruszają same w pościg, zanim panowie zdążą poszczuć. Asesor i Rejent chcą natrzeć końmi, ale Wojski grozi: „Wara! stać i patrzeć!”. Następuje miniaturowy obraz gonu jak żmiji: „kot jak głowa, pył z tyłu jakby modra szyja, a psami jak podwójnym ogonem wywija”. Owa żmija jednak rwie się wpół: „głowa już blisko lasu, ogony, gdzie z tyłu”; szarak ucieka w las. Psy wracają „ogłupiałe”, „spuściły uszy, tulą do brzucha ogony”, ze wstydu „nie śmieją wzniesć oczu” i stoją na uboczu. Rejent i Asesor próbują się tłumaczyć: charty nie nawykły bez smyczy, kot źle poszczuty, na takiej roli „chyba psom trzeba wdziać buty”; lecz nikt ich nie słucha — myśliwi świszczą, śmieją się i wracają do gawędzenia o niedźwiedziu. Wojski nawet okiem nie poszedł za zającem, „głowę obojętnie zwrócił” i wraca do swojej Doweyki — wielki spór o charty pozostaje nierozstrzygnięty na zawsze.

Księga V — Klótnia

Telimena w samotnym dworze „zaczyna polowanie” — myślą goni „dwóch zwierząt”: Hrabiego i Tadeusza. Z sofy podnosi się na palce, „rzekłbyś, że podrosła”, odkrywa nieco piersi, „wygięła się bokiem”, pyta o radę zwierciadła. Hrabia młody dziedzic, „już trochę zakochany — cóż? może się zmienić!”, trudno mu będzie ożenić się z „kobietą kilku laty starszą, niebogatą”, bo „krewni” i „świat”. Hrabia blondyn — „blondyni nie są zbyt namiętni”. Tadeusz natomiast „prostaczek! poczciwy chłopczyna! prawie dziecko! raz pierwszy kochać się zaczyna”, więc trudno mu zerwać pierwsze związki, „ma już obowiązki” wobec Telimeny — narrator dorzuca subtelnie złośliwą dygresję, że „mężczyźni, póki młodzi, choć w myślach zmienni, w uczuciach są od dziadów stalsi, bo sumienni”, a „tylko stary pjanica, gdy już spali trzewa, brzydzi się trunkiem”. „Co powiedzą ludzie?” — można im zejść z oczu, zrobić „małą podróż do stolicy, młodego chłopca na świat wielki wyprowadzić, kroki jego kierować... — użyć świata póki służą

lata". Dla Hrabiego zaś plan jest inny: „podsunąć mu Zosię” — niebogata, „lecz urodzeniem równa, z domu senatorskiego, jest dygnitarzówna”. Wówczas Telimena „miałaby schronienie na przyszłość; krewna Zosi i Hrabiego swatka, dla młodego małżeństwa byłaby jak matka”. Cały rozdział ujawnia jej kalkulacje bez zasłony: każdą partią obstawia jednocześnie.

Po naradzie z sobą woła Zosię z sadu. Następuje drugi z wielkich „Zosiowych” obrazów epopei (po ogrodzie z dziećmi). Zosia w bieli, z odkrytą głową, trzyma sito i karmi ptactwo: „kury szurpate toczą się kłębkami; kogutki czubate, wstrząsając koralowe na głowach szyszaki”, indyk „odęty, sarkając na gderanie swej krzykliwej żony”, pawie „jak tratwy długimi ogony”, srebrzysty gołąb spadający „jak kiść śniegu”. Wokół „okrąg ptactwa krzykliwy, ruchawy, opasany gołębi sznurem, na kształt wstęgi białej, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w pręgi”; szyje chwieją się „na kształt tulipanów wodnych”, „tysiące oczu jak gwiazd błyskają ku Zosi”. Ona sypie z sita „gęsty grad perłowy krup jęczmiennych” — autorska uwaga: te jęczmienne krupy są „godne pańskich stołów, robi się dla zaprawy litewskich rosółów”, Zosia wykrada je z szafy ochmistrzyni „dla swego drobiu, szkodę w gospodarstwie czyni”. Drobnym rys uroczej szkodliwości — Mickiewicz nie idealizuje Zosi „świętą”, a daje jej swawolne dziecko jako naturę.

Słyszac wołanie cioci, „sypnęła razem ptastwu ostatek łakoci” i, „kręcąc sito jako tanecznica bębenek”, zaczyna skakać przez ptactwo „w takt”. Drób tłumnie zrywa się do góry, Zosia „stopami ledwie dotykając ziemi, zdawała się najwyżej bujać między niemi”; przodem płochliwe gołębie białe „leciały jak przed wozem bogini rozkoszy”. Wpada przez okno do alkowy i z krzykiem siada na kolanach cioci, „zadyszana”. Telimena całuje ją i głaszcze pod brodę z radością — „prawdziwie kochała swą wychowanicę” — i przechodzi do nauki: „kochana Zosiu, już też całkiem zapominasz i na stan, i na wiek twój: wszak to dziś zaczynasz rok czternasty. Czas rzucić indyki i kurki; fi! to godna zabawka dygnitarskiej córki!”. Wytyka „opaloną okropnie pleć, czysta Cyganka” i parafialne ruchy; zapowiada wprowadzenie na świat. Gdy Zosia wybucha radością („od czasu, jak tu żyję z kury i indyki, jeden gość, co widziałam, to był gołąb dziki”), wzmianka o Sędzi — który „ciągle pod nos mruczał, że już jesteś dorosła” — daje Telimenie pretekst, by zlekceważyć starszego: „dziaduś, nigdy na wielkim niebywały świecie”. Dzieli się własną filozofią efektu: kto „rośnie na widoku ludzi, efektów nie wzbudzi”, ale jeśli „ukształcona, dorosła panienka nagle ni stąd, ni zowąd przed światem zabłyśnie, każdy się do niej przez ciekawość ciśnie”.

Następuje skrupulatny opis toalety Zosi — autorska pochwała Petersburga we wszystkich szczegółach: kąpiel jak „wróbel w piasku”, flaszki perfum i pomady z biurka Telimeny, gumą namaszczone włosy, papiloty zebrane w dwa sploty, bławatki uplecione „w plecionkę” przyszpilone do głowy „z prawej strony na lewo: kwiat od bladych włosów odbijał bardzo pięknie, jak od zboża kłosów”; pończoszki ażurowe, „trzewiki warszawskie białe, atlasowe”; przez głowę biała sukienka, batystowa chusteczka — „cała wygląda biała jak lilija”. Telimena,

znawczyni, każe jej przejść się wzdłuż i wszerz, gniewa się, zżyma; na dygnięcie wybucha: „ja nieszczęśliwa! Zosiu, widzisz, co to znaczy żyć z gęsmi, z pastuchami! Tak nogi rozszerzasz jak chłopiec — czysta rozwódka!”. Zosia smutno tłumaczy się: „ciotka mnie zamykała; nie było z kim tańczyć”. Ciotka, „z dwojga złego”, woli ptactwo niż dawnych gości — „pleban, co pacierz mruczał lub w warcaby grywał, i palestra z fajkami! To mi kawalery!” — i wskazuje na nową partię: „jest tu Hrabia młody, pan dobrze wychowany, krewny wojewody — pamiętaj być mu grzeczną”.

Pod bramą rzy konie i gwar myśliwych. Wpadają jako pierwsi Tadeusz i Hrabia, naprędce przebrani z kurtek myśliwskich. Telimena sprawuje obowiązki pani, przedstawia siostrzenicę kolejno gościom, „naprzód Tadeuszowi, jako krewną bliską”. Zosia dygnęła, on skłonił się nisko, chciał coś powiedzieć — i niemy stojąc „to płonął, to bladnął”: „uczuł się nieszczęśliwym bardzo — poznał Zosię!”. Po wzroście, włosach „światłych”, głosie zidentyfikował tę samą kibić i główkę z parkanu, „ten wdzięczny głos zbudził go dziś na polowanie”. Druga ironia fabuły dopina się tu mocno: Tadeusz odkrywa, że dziewczyna z papilotów to nie kuzynka Telimeny w sukni, lecz tak właśnie ta dygnitarska córka, której właśnie został przedstawiony.

Wojski, widząc, że Tadeusz „bladnie i że na nogach się ślania”, radzi mu odejść do izby. Zamiast tego Tadeusz wspiera się w kącie na kominku, „oblędne źrenice obracał to na ciotkę, to na siostrzenicę”. Telimena, „nie odgadując wszystkiego”, podbiega: czy zdrow, dlaczego smutny? — żartuje, „napomyka o Zosi”. Tadeusz „nieruchomy, na łokciu oparty, nic nie gadając marszczył brwi i usta krzywił”. Telimena wybucha „ostrymi słowy” wymówek; Tadeusz, „jak żądłem ukłuty”, krzywo spojrzał, „splunął, krzesło nogą odepchnął i z pokoju runął, trzasnąwszy drzwi za sobą”. Sceny „nikt z gości nie uważał oprócz Telimeny”.

Tadeusz biegnie polem „jak szczupak, gdy mu oścień skróś piersi przekole, pluska się i nurtuje, myśląc że uciecze, ale wszędzie żelazo i sznur z sobą wlecze”. „Suwając się przez rowy i skacząc przez płoty”, trafia — „umyślnie, czy przypadkiem” — na ten sam wzgórek, „miejsce, jak wiemy, zwane *Świątynią dumania*”. Tam zastaje Telimenę: „samotna, w myślach pogrążona, od wczorajszej postacią i strojem odmienna, w białiznie, na kamieniu, sama jak kamienna”; twarz w dłoniach, „znać, że we łzach tonie”. Tadeusz „ulitował się, uczuł że go żal porusza”: „głupi! cóż ona winna, że się ja pomylił?”. Wychyla głowę zza drzewa.

Tu jednak następuje jedna z najweselszych scen książki. Telimena zrywa się, „rzuca w prawo, w lewo, skacze skróś strumienia, rozkrzyżowana, z włosiem rozpuszczonym, blada”, upada, kręci się po darni, „chwytając się za pierś, szyję, za stopy, kolana”. Tadeusz, myśląc o ataku, skacze ku niej — a powód jest prozaiczny: mrowisko przy brzezynie, „owad gospodarny”, miało drogę „od stołecznego wzgórka aż po źródła brzegi” akurat przez Świątynię. Mrówki, „znęcone blaskiem bieluchnej pończoszki”, obsiadły ją gęsto. Tadeusz „nie mógł jej swej pomocy odmówić: oczyszczając sukienkę, aż do nóg się zniżył, usta trafem ku skroniom Telimeny zbliżył — w tak przyjaznej postawie, choć nic nie mówili o rannych kłótniach swoich, przecież się zgodzili”.

Sensualna kłótnia załatwiona przez owady — komiczna paralela ratunku Robaka spod łap niedźwiedzia. Dzwonek z Soplicowa wzywa na wieczerzę; Telimena „w prawo pod ogród się skrada”, Tadeusz „na lewo biegł do wielkiej drogi”. W trwodze odwrotu Telimienie „zdało się, że raz spoza krzaka błysła zakapturzona, chuda twarz Robaka”, a Tadeusz „widział dobrze cię białą i długą” — przeczuwał, że to „Hrabia w długim, angielskim surducie”. Obaj świadkowie zostaną wkrótce uruchomieni.

Wieczerza znów w zamczysku — Protazy „nie dbając na wyraźne Sędziego zakazy” znów stoły przeniósł, „kredens zaintromitował”, jak mówi. Goście stają porządkiem; Podkomorzy na najwyższym, Podkomorzyna po prawej Sędziego (na miejscu bernardyna, którego nie ma); Sędzia żegna stół po łacinie; chłodnik zabiela. Po chłodniku raki, kurczęta, szparagi, węgrzyn i malaga. „Nigdy pono... nie pamiętano takiej posępnej wieczerzy” — „rzekłbyś, iż zły duch gościom zasznurował usta”. Powodów cisz wiele. Myśliwi wstydzą się obławy: „jeden kaptur popi, wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip z konopi, przepisał wszystkich strzelców powiatu? O wstydzie!”; trzeba będzie z tym żyć w Oszmianie i Lidzie. Asesor i Rejent „świeżą hańbę swych chartów mieli na pamięci”: w oczach im stoi „niecny kot, omykiem spod gaju kiwając urąga, i tym omykiem ćwiczy po sercach jak biczem”.

Telimena, „pomieszana, zaledwie śmie nań rzucić okiem”, chce zabawić zasepionego Hrabiego — „kwaśnego” jak myślał Tadeusz „z zasadzki” (skoro widział go w lesie). Hrabia jednak słucha jej z czołem podniesionym hardo, zmarszczonymi brwiami, „ledwie nie z pogardą”. Po chwili przysiadła się do Zosi: „nalewa jej do szklanki, talerze przynosi, prawi tysiąc grzeczności, kłania się, uśmiecha, czasem oczy wywraca i głęboko wzdycha”. Demonstracyjność tych zalotów zdradza ich cel: „umizgał się tylko na złość Telimienie”, bo „głowę odwracając niby nieumyślnie, coraz ku Telimienie groźnym okiem błysnie”. Telimena, „ruszywszy ramionami, myśliła: dziwaczy”, lecz „nowym zalotom Hrabiego dość rada” zwraca się do drugiego sąsiada.

Tadeusz „posępny, nic nie jadł, nic nie pił”, oczy wlepione w talerz; gdy Telimena nalewa mu wino, „gniewa się na natrętność”; pytany o zdrowie — „poziewa”. Zaczyna mieć jej za złe niejakiemoralizmem podlotka: „że Telimena zbyt do zalotów skora; gorszy się, że jej suknia tak wcięta głęboko, nieskromnie”. Spojrzawszy w jej rumiane lice, „odkrył od razu wielką, straszną tajemnicę — przebóg! naróżowana!”. Albo róż „w złym gatunku”, albo „się z trafunku przetał”, albo wreszcie — i to jest najznamienniejsza możliwość — sam Tadeusz „w Świątyni dumania, rozmawiając za blisko, omusknął z bielidla karmin lżejszy od pyłków motylego skrzydła”; ona zaś „wracała nazbyt śpieszno z lasu, i poprawić kolory swe nie miała czasu: około ust szczególnie widne były piegi”. Raz odkryta pierwsza zdrada, oczy Tadeusza „jako chytre szpiegi” zaczynają wyliczać dalsze: brakuje dwóch zębów, „na czole, na skroni zmarszczki; tysiąc zmarszczków pod brodą się chroni!”. Czuje, „jak haniebnie być szpiegiem swej kochanki”, lecz „któż sercem władnie?”; daremnie chce „chłód duszy ogrzać znowu jej wzroku

promieniem", bo „już ten wzrok, jako księżyc światły a bez ciepła, błyskał po wierzchu duszy, która do dna krzepła".

Druga pokusa: podsłuchać, co Zosia mówi do Hrabiego. Dziewczyna, „uprzejmością ujęta", najpierw się rumieni, potem już śmiech — mówią o „niespodzianym w ogrodzie spotkaniu, o jakimś po łopuchach i grzędach stąpieniu". Tadeusz „połykał gorzkie słowa", „opiły trucizną zazdrości", siedział „obojętny, a pękał ze złości" — porównany do żmii „dwoistym żądłem zioło zatrute wypija, potem skręci się w kłębek".

Posępność rozlewa się na cały stół. Podkomorzy patrzy na swoje córki — „posażne i nadobne panny", „pierwsze partyje w powiecie" — „zaniedbane od milczącej młodzi". Wojski podsumowuje: „nazywał tę wieczerzę nie polską, lecz wilczą". Stary Hreczecha, „gawęda" z biesiad, sejmików i obław, miał „słuch bardzo czuły" na milczenie; nieprzyjacielem zabitym był fajki, „wymyślonej od Niemców, by nas zczudzoziemczyć": „Polskę oniemić, jest to Polskę zniemczyć". Milczenie budziło go „jak młynarza, gdy stają osie".

Z ukłonu Podkomorzemu i Sędziemu dostaje głos. Wzywa młodzież, by „nie milczeć i żuć: czy my ojcie kapucyni?". Domyśla się powodu: „ta czarnych trosk chmura pono z Robakowego wzniosła się kaptura! Wstydzicie się swych pudeł! Niech was wstyd nie pali"; chybiali sławni strzelcy, „nawet nie zawsze trafiał pan Rejtan nieboszczyk". Co do ucieczki przed niedźwiedziem — wyklada strzelecki kanon: zmykać z nabojem w lufie to „być tchórzem nad tchórze", strzelać na oślep — „rzecz haniebna"; kto „dobrze wymierzy, kto przypuści do siebie zwierza", a chybił, „może się cofnąć bez sromoty, albo walczyć oszczepem — lecz z własnej ochoty, a nie z musu": oszczep jest „nie dla natarcia, ale dla obrony". Konkluduje przestrogą skierowaną do Tadeusza i Hrabiego: „nigdy jeden drugiemu nie zachodzić w drogę, nigdy we dwóch nie strzelać do jednej zwierzyny".

W chwili gdy padło słowo *zwierzyny*, Asesor podszeptał półgębkiem *dziewczyny* — i wybuchnął śmiech. Powtarzano przestrogę z podmienionym słowem, „z kolei": *dziewczyny*, *kobiety* (Rejent), *kokiety* (Asesor) — patrząc na Telimenę „oczyma jak sztylety". Komiczna parodia szybko odsłania właściwą oś sporu: niedźwiedź jest tu metaforą Telimeny, do której strzelają wspólnie wszyscy mężczyźni.

Wojski tego nie chwytając, rad jednak z rozśmieszonego stołu zwraca się do myśliwców z zapowiedzią opowieści: kiedyś, na nalibockich łowach Tadeusza Rejtana posła i księcia Denassowa, „strzelec ocalił dwóch panów" trafnym strzałem do dzika — Klucznik wprawdzie znał tylko jednego takiego strzelca (Jacka), on, Wojski, znał drugiego (Rejtana). Historia ta, jak wiele Wojskiego, zostanie przerwana, zanim padnie pointa.

Sędzia bierze ją w przerwę: wznosi „w ręce Wojskiego" zdrowie Robaka, obiecuje, że niedźwiedź „przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru", a o skórę pokornie się dopomni. „Skórą tą rozrządzimy wedle naszej woli: pierwszy wieniec i sławę już wziął sługa boży; skórę

jaśnie wielmożny pan nasz Podkomorzy temu da, kto na drugą nagrodę zasłużył". Strzelcy zaczynają konkurować — Asesor o Sanguszkównie, Rejent o Sagalasówce. Podkomorzy stwierdza, że „wszyscy równi”; „dwóch dziś odznaczył los niebezpieczeństwem”. Tadeusz, „jako młodszy i jako gospodarza krewny”, ustąpi — „więc *spolia opima* weźmiesz, mości Hrabia: niech ten łup twą strzelecką komnatę ozdabia”.

Komplement spada nie tam, gdzie wymierzony. Hrabia mimowolnie wzrok podnosi po komnacie zamku — „łby jelenie”, „gałęziste rogi, jakby las wawrzynów zasiany ręką ojców na wieńce dla synów”, „rzędami portretów zdobione filary”, „w sklepieniu błyszczący herb Półkoźcie stary” — i naraz „zbudził się z marzeń, wspomniawszy gdzie, u kogo gości: Dziedzic Horeszków, gościem wśród swych własnych progów, biesiadnikiem Sopliców, swych odwiecznych wrogów!”. Zawiesić o Zosię potęguje wybuch. Z gorzkim uśmiechem rzuca: „Mój domek zbyt mały, nie ma godnego miejsca na dar tak wspaniały; niech lepiej niedźwiedź czeka pośród tych rogaczy, aż mi go Sędzia razem z zamkiem oddać raczy”.

Podkomorzy „zadzwonił w tabakierkę” i gładko bierze rzecz w swoje ręce: chwali Hrabiego, że dba „o interesa nawet przy obiedzie”, i otwiera zgodę. Zaczyna „porządnie (jak zwykł zawsze)” wykladać projekt zamiany — zamek na fundum dworskie wynagrodzić ziemią. Słuchacze pochyleni, gdy nagle „ruch niespodziany” w kącie, jak „kłosy schylone wstecznym wiatrem”, przemieszcza wszystkie głowy.

Z małych drzwiczek pod portretem nieboszczyka Stolnika „wysunęła się cicho postać, na kształt mary”: Gerwazy. Poznają go „po srebrzystych na żółtej kurcie Półkoźciach”. Idzie „jako słup prosto, niemy i surowy, nie zdjawszy czapki, nawet nie schyliwszy głowy”; w ręku „błyszczący klucz jakby pugiński”. Otwiera szafę dwóch zegarów kurantowych — „dziwaki stare, dawno ze słońcem w niezgodzie, południe wskazywały często o zachodzie” — i, choć nigdy nie umiał ich naprawić, „dręczył kluczem zegary każdego wieczora”. Akurat „przypadła nakręcania pora”. Zgrzytnęły rdzawe koła; Podkomorzy: „bracie, odłóż nieco twą pilną robotę”. Gerwazy „na psotę” silniej pociągnął drugą wagę: na wierzchu zegaru gil mechaniczny zatrzepotał skrzydłem, „zajękał się i pisał, im dalej, tym gorzej”. Wybuch śmiechu — Podkomorzy: „Mości Kluczniku — lub raczej puszczyku, jeśli dziób twój szanujesz, dość mi tego krzyku”.

Gerwazy nie zlekł się: prawą rękę poważnie kładzie na zegar, lewą wziął się pod bok. „Podkomorzeńku! wolne pańskie żarty, wróbel mniejszy niż puszczyk, a na swoich wiorach śmielszy jest aniżeli puszczyk w cudzych dworach: co Klucznik to nie puszczyk; kto w cudze poddasze nocą wchodzi, ten puszczyk, i ja go wystraszę”. Na okrzyk „za drzwi z nim!” Klucznik zwraca się wprost do Hrabiego: „czy nie dosyć się jeszcze pański honor plami, że pan jadasz i pijasz z tymi Soplicami? Trzebaż jeszcze, aby mnie, zamku urzędnika, Gerwazego Rembajłę, Horeszków Klucznika, lżyć w domu panów moich?”. Klucznik wciąga sprawę na właściwe pole: to nie kłótnia o zegar, to zniewaga wobec Horeszków.

Protazy zrywa się i, „trzykroć: Uciszcie się!”, protokołuje rzecz prawniczo: „Ja, Protazy Baltazar Brzechalski, dwojga imion, generał niegdyś trybunalski, vulgo Woźny, woźnieńską obdukcję robię i wizyję formalną”; wzywa Asesora na śledztwo o „inkursję, to jest o najazd granicy, gwałt zamku, w którym Sędzia dotąd prawnie włada, czego dowodem jawnym jest, że w zamku jada”. Gerwazy: „Brzechaczu! ja cię wnet nauczę!” — wyrywa pęk żelaznych kluczy i, „okręciwszy wkoło głowy, puścił z całej mocy. Pęk żelaza wyleciał jako kamień z procy”; rozwaliliby Woźnemu czaszkę „na ćwierci”, lecz ten zdążył się schylić.

Salwa porwała wszystkich z miejsc. Sędzia krzyczy: „W dyby tego zucha! Hola, chłopcy!” — czeladź rusza ciasnym przejściem między ławą i ścianą. Hrabia jednak „krzesłem w środku zagroził im drogę i na tym szanću słabym utwierdziwszy nogę” woła: „Wara! Sędzio! nie wolno nikomu krzywdzić sługę mojego w moim własnym domu”. Podkomorzy „zycem w oczy” spogląda i odgryza się: „bez waścinej pomocy ukarać potrafię zuchwałego szlachetkę”; „przed dekretem ten zamek za wcześniej przywłaszczasz: nie wać tu jesteś panem, nie wać nas ugaszczasz”. Hrabia odpowiada lekceważąco: „Dość już głupstwa zrobiłem, wdając się z waćpaństwem w pijatyki, które się kończą grubijaństwem; zdacie mi sprawę z mego honoru obraży. Do widzenia po trzeźwu; pójdź za mną, Gerwazy!” — formalne wyzwanie i pełne zerwanie zgody, które właśnie miała się zacząć.

Podkomorzy, „rażony jak gromem”, oparł się o kielich „butlem nieruchomym”, głowę wyciągnął, „usta wpół otworzył”, a kielich w rękę „tak potężnie cisnął, że szkło dźwięknawszy pękło, płyn w oczy mu prysnął”. „Z winem ognia w duszę się nalało”: pierwsze słowo „mleł w ustach”, aż wyleciało przez zęby: „Błaźnie! Grafiatko! ja cię! Tomasz, karabelę!”. Tadeusz wstrzymuje stryja: „czyż się państwu godzi wdawać się z tym fircykiem; czy tu nie ma młodzi? Na mnie to zdajcie” — wyzywa Hrabiego na jutro: „plac i broń wybierzem; dziś uchodź, pókiś cały”.

Awantura zalewa zamkową sień. Przy ostrym końcu stoła latają koło Hrabiego butelki; Telimena, krzyknawszy „Niestety!”, mdleje akurat na jego ramionach „pierś łabędzią na pierś jego złożywszy” — Hrabia, „choć zagniewany, wstrzymał się w zapędzie, zaczął cucić, ocierać”. Po Gerwazym z drugiej strony walą stołki i butelki; gdy czeladź „zakasawszy pięście” rzuca się hurmem, Zosia, „litością zdjęta”, skacze i „na krzyż rozpięte rączęta” zasłania starca. Klucznik wycofuje się, znika pod stół, wyłazi z drugiej strony „jak spod ziemi” z ławą uniesioną „ramiony silnemi”, „okręcił się jak wiatrak, oczyścił pół sieni” i ławą zasłania siebie z Hrabią aż do drzwiczek. Już ma natrzeć ławą jak „taranem murowym”, lecz w ostatniej chwili „ujrzał Wojskiego, uczuł w sercu trwogę”.

Wojski, dotąd „cicho siedzący z przymrużonym okiem”, położył nóż na dłoni „trzonkiem do paznokcia, żelazem zwrócony do łokcia” i, niby się bawiąc, kiwa ręką wpatrzony w Hrabiego. Sztuka rzucania nożów, „straszna w ręcznej bitwie, już była zaniedbana podówczas na Litwie, znajoma tylko starym; Klucznik jej próbował nieraz w zwadach karczemnych, Wojski w niej

celował". „Widać z zamachu ręki, że silnie uderzy", celuje w „ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli". Gerwazy zbladnął, „ławą Hrabiego zakłada, cofa się ku drzwiom" — narrator porównuje go do wilka, który „uszy spuszcza, ogon podtuliwszy, zmyka", zauważywszy w psim zgiełku „myśliwca wpół schylonego, na kolanie wsparty, rurą ku niemu wije i już cyngla tyka". „Łapaj!" — krzyk się powtarza, lecz tryumf krótki: Klucznik wyłazi „nad głowami tłumu" na chór przy organie i „z trzaskiem jął wrywać ołowiane rury", gotów rzucać z góry. Goście jednak już tłumnie uciekli z sieni, słudzy „w ślad panów" pierzchli, „nawet nakrycia z częścią sprzętów się wyrzekli".

Ostatni z placu zszedł — „nie dbając na groźby i razy" — Protazy. Stał za krzesłem Sędziego i „woźnieńskim głosem" do końca ciągnął swoje oświadczenie; dopiero gdy je skończył, „z pustego zszedł pobojuwiska". „Ale wszystkie ławy miały zwichnione nogi; stół także kulawy, obnażony z obrusa, poległ na talerzach zlanych winem, jak rycerz na krwawych puklerzach, między licznymi kurcząt i jendyków ciała, w których piersi widelce świeżo wbite tkwiały".

Następuje krótki obraz nocy w zamku — wprost odsyłający do Dziadów. „Mrok zgęstniał; reszty pańskiej wspaniałej biesiady leżą, podobne uczcie nocnej, gdzie na Dziady zgromadzać się zakłète mają nieboszczyki". Na poddaszu trzykroć krzyknęły puszczyki „jak guślarze", księżyc spadł na stół „niby dusza czyscowa", szczury wyskakują „na kształt potępieńców", w kącie zapomniana butelka szampana „pukła na toast duchom". Zamek Horeszków staje się przestrzenią wywoływania umarłych.

Na drugim piętrze, w sali zwierciadlanej („bez zwierciadeł"), Hrabia stoi na krużganku ku bramie, „surdut wdział na jedno ramię" — drugi rękaw i poły „u szyi sfałdował i pierś surdudem, jakby płaszczem udrapował" (poza Wertherowska). Gerwazy chodzi wielkimi krokami; mówią obok siebie, każdy o swoim. Hrabia: „Pistolety — lub gdy chcą pałasze"; Klucznik: „Zamek i wieś, oboje to nasze". Hrabia: „Stryja, synowca, całe plemię wyzywaj!"; Klucznik wraca do swojego: „Zamek, wieś i ziemie zabieraj pan". I wyklada program: „po co proces, mopanku! sprawa jak dzień czysta: zamek w ręku Horeszków był przez lat czterysta; część gruntów oderwano w czasie Targowicy". Trzeba „najechać, zajechać! Tak było po dawnemu: kto raz grunt posiada, ten dziedzic; wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie". Co do dawnych sprzeczek z Soplicami: „jest na to od procesu lepszy Scyzoryczek; a jeśli Maciej w pomoc da mi swą Rózczkę, to my we dwóch, Sopliców tych porznięm na sieczkę".

Hrabia zachwycony: „plan twój, gotycko-sarmacki podoba się mi lepiej niż spór adwokacki. Wiesz co? Na całej Litwie narobim hałasu wyprawą niesłychaną od dawnego czasu. I sami się zabawim". Dwa lata nudy: „jakaż bitwę widziałem? z chłopami o miedzę!". Wspomina sycylijską przygodę: u pewnego księcia rozbójnicy porwali zięcia w góry, on z wasalami odbił, „dwóch zbójców ręką mą zabiłem", córka księcia padła „ze łzami w jego objęcia", w Palermie palcami wskazywały go kobiety, „nawet wydrukowano romans, gdzie wymieniony jestem po imieniu: *Polak, czyli tajemnice zamku Birbante-rokka*". Pyta praktycznie: „czy są tu ciemnice

w tym zamku?". Klucznik kwituje sucho: „są — ogromne piwnice, ale puste! bo wino wypili Soplice". Hrabia chce uzbroić dzokejów i wezwać wasalów; Gerwazy oburzony: „Kto widział zajazd robić z chłopstwem i z lokajstwem? Mój panie, na zajazdach nie znacie się wcale!". Wąsalów trzeba szukać „w zaściankach, w Dobrzynie, w Rzezikowie, w Ciętyczach, w Rąbankach — szlachta odwieczna, w której krew rycerska płynie, wszyscy nieprzyjaciele zabici Sopliców"; obiecuje „trzystu wąsatych szlachciców". Hrabia ma się wyspać, Klucznik nocą wyruszy do Dobrzyna.

Przed odejściem Hrabia rzuca przez strzelnicę spojrzenie na świecące się jeszcze okna Soplicowa: „Iluminujcie! jutro o tej porze będzie jasno w tym zamku, ciemno w waszym dworze!". Klucznik siada na ziemi pod ścianą; światło księżyca pada na jego łysinę, on „palcem kryślił różne rysy" — snuje plany. Powieki cięży mu sen; modląc się wieczorne pacierze, „między Ojczenaszem i Zdrowaś Maryją, dziwne stały mary": Horeszkowie z karabelami i buzdyganami, „za nimi jeden cichy, posępny cień mignął, z krwawą na piersi plamą" — Stolnik. Gerwazy „wzdrygnął się", żegna się, odmawia „litanię o czyscowych duszach". W drugim śnie widzi zajazd: „Korelicz i Rymsza na czele", a sam siebie „na koniu siwym, z podniesionym nad głową rapierem straszliwym leci, rozpięta na wiatr szumi taratanka, z lewego ucha spadła w tył konfederatka", obala jezdnych i pieszych „i na koniec Soplicę w stodole podpala". Sen wprost prefiguruje finał (i przypomina egzekucję, którą Klucznik już raz dokonał na Korelicze, „upiekł jak piskorz"). „Tak usnął ostatni Klucznik Horeszkowa".

Księga VI — Zaścianek

Świt mglisty, „bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku"; mgła „jak strzecha ze słomy nad ubogą Litwina chatką". Słońce „idzie niewesoło i po drodze drzemie". Za niebieskim przykładem „wszystko się spóźniło na ziemi": bydło ruszyło późno, zająca zdybało „przy późnym śniadaniu"; ptaszek „tuli się do drzewa, głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży i czeka słońca"; nad kałużą „klekce bocian"; na kopach wrony „rozdziawiwszy się ciągną gawędy rozwlokłe", „obrzydłe gospodarzom jako wróżby słoty".

Gospodarze już dawno w polu — żniwiarki ze swoją „piosnką zwyczajną, jak dzień słotny ponurą", kosiarze brząkają w takt o oski; „ludzi we mgle nie widać: tylko sierpy, kosy i pieśni brzmią, jak muzyk niewidzialnych głosy". Pośrodku Ekonom usiadł na snopie zboża, nudzi się, kręci głową i patrzy na gościniec, „kędy działy się jakieś rzeczy nadzwyczajne". Stąd „chłopska furmanka skrzypi, lecąc jak poczta", stąd „szlachecka bryka cwałem tarkoce", z prawej „kilkanaście koni przebiegło w zawód"; „jezdni migają jak duchy", słychać tylko „tętent kopyt głuchy i, co dziwniejsza, szczęknięcie pałaszy". Ekonom „cieszy się i straszy": choć na Litwie spokojnie, dawno chodzą „głuche wieści o wojnie, o Francuzach, Dąbrowskim, Napoleonie" — może to już ta zapowiedź? Biegnie do Sędziego.

W Soplicowie „domowi i goście, po kłótni wczorajszej, wstali z siebie nieradzi i smutni”; ani kabala Wojszczanki, ani mariasz nie idzie. Mężczyźni „palą lulki”, kobiety przy prątkach, „nawet śpią muchy”. Wojski, znudzony ciszą, „idzie pomiędzy czeladkę”; woli „w kuchennej słuchać ochmistrzyni krzyków, grózb i razów kucharza”, aż „jednostajny ruch różnów kręcących pieczenie” wprawi go w marzenie.

Sędzia od rana pisze, zamknięty w izbie; Woźny czeka pod oknem na przyzbie. Skończywszy pozew, Sędzia odczytuje go Protazemu: przeciw Hrabiemu o „skrzywdzenie honoru, zelżywe wyrazy”, przeciw Gerwazemu o „gwałty i razy”, obu wpisuje w „rejestr taktowy do grodu” wraz z kosztami. Pozew „dziś trzeba wręczyć ustnie, oczywiście, nim zajdzie słońce”. Protazy „z miną uroczystą wyciągnął słuch i rękę”, „czuł, że się odmłodził” — porównany do starego żołnierza w szpitalu, który „skoro usłyszy trąbę lub bęben daleki”, „skacze ze szpitala na drewnianej nodze” krzycząc „Bij Moskale!”. Nie wkłada jednak kontusza — to strój paradny; w drogę bierze „szerokie rajtuzy” i kurtkę z polami na guzy, „czapkę z uszami sznurkiem u wierzchu związaną” (na pogodę i słotę), pałkę, idzie piechotą — „bo woźni przed procesem, jak szpiegi przed bojem, muszą kryć się pod różną postacią i strojem”.

Dobrze, że pośpieszył: w Soplicowie „zmieniano kampanii plany”. Do Sędziego wpada zadumany Robak. Skarży się: „Sędzio, to bieda nam z tą panią ciotką, z tą panią Telimeną, kokietką i trzpiotką!”. Jacek, „słyszając, że jest osoba dobra, świat znająca”, dał jej Zosię na wychowanie; ale ona „intryguje, pono Tadeuszka wabi — albo może bierze się do Hrabi; może do obu razem”. Trzeba „obmyślić, jak się jej pozbyć”, by „nie pomieszała twoich prawnych układów”. Tu Sędzia wybucha „z niezwykłym zapalem”: „Z układów kwita, już je skończyłem, zerwałem”. Robak osłupiał: „a to co? gdzie rozum, gdzie głowa? Jaka burda nowa?”.

Sędzia rzuca historię wczorajszej awantury i kwituje: „dosyć zrobiłem głupstwa z porady waszcei, zwołując podkomorskie sądy po raz trzeci. Od dzisiaj nie ma zgody, nie ma, nie ma, nie ma!” — chodząc, tupiąc nogami. „Musi mnie deprekować, albo pojedynek!”. Robak próbuje go uspokoić, wracając do tajemnicy: „Wszak on umrze z rozpaczy! Czyliż Soplicowie nie narobili jeszcze w tym zamku dość złego?”. I oficjalnie odsłania Sędziemu logikę ślubu Jacka. Część gruntów od dziedzica zamku „zabrała i Soplicom dała Targowica”; „Jacek, za grzech żalując, musiał być ślubować pod absolucją, dobra te restytuować: wziął więc Zosię, Horeszków dziedziczkę ubogą, hodować, wychowanie jej opłacał drogo; chciał ją Tadeuszkowi swojemu wyswatać i tak dwa poróżnione domy znowu zbratać, i dziedzicze bez wstydu ustąpić grabieży”. Sędzia wzrusza ramionami: „ja się nawet nie znałem, nie widziałem z Jackiem; ledwie słyszał o jego życiu hajdamackim, siedząc wtenczas retorem w jezuickiej szkole”. Dano mu dobra — wziął; kazano przyjąć Zosię — przyjął, hoduje; „dość mnie nudzi ta cała historyja babia! A potem, czegoż jeszcze wlaź mi tu ten Hrabia? Z jakim prawem do zamku? On Horeszkom dziesiąta woda na kisielu!”.

Wtedy Robak ujawnia — pierwszy raz wprost — drugą tajemnicę, znacznie większą: „Ważne rzeczy, mój bracie! Wojna tuż nad nami! Wojna o Polskę! bracie! Będziem Polakami! Wojna niechybna!“. Kiedy z poselstwem tajemnym biegł na Litwę, „wojsk forpoczty już stały nad Niemnem“; Napoleon zbiera armię, „jakiej człowiek nie widział i dzieje nie pomną“; „obok Francuzów ciągnie polskie wojsko całe, nasz Józef, nasz Dąbrowski, nasze orły białe! Już są w drodze; na pierwszy znak Napoleona przejdą Niemen i — bracie! Ojczyzna wskrzeszona!“. Wszystkie nocne wymykania, listy zza Niemna, kichania nad tabakierą Częstochowską mają teraz swój sens.

Sędzia powoli składa okulary, wpatruje się w księdza, łyzy „zakręciły mu się w oczach“; po dłuższej chwili porywa Robaka za szyję: „Mój Robaku! czy to tylko prawda? Ileż razy zwodzono!... Gadano: już w Koronie, już Prusaka pobił, wkracza do nas! A on co? pokój w Tylży zrobił! Czy ty nie zwodzisz sam siebie?“. Robak: „Prawda — jak Pan Bóg na niebie!“. Sędzia, „błogosławione niechaj będą usta, które to zwiastują“, obiecuje na klasztor „dwieście owiec z braku“ i daje Robakowi w kwestarskim wozie chwalonego wczoraj kasztanka i gniadosza — „proś o co zechcesz, nie odmówię!... Lecz o tym interesie całym z Hrabią daj pokój: skrzywdził mnie, już zapozwałem; czyż wypada?“. Robak ręce załamuje: „To gdy Napoleon wolność Litwie niesie, gdy świat drży cały, to ty myślisz o procesie?“.

Wykłada plan: „Francuzi uderzają z przodu — a gdyby z tyłu zrobić powstanie narodu? Niech no Pogoń zarzy, niech na Żmudzi niedźwiedź ryknie! Ach, gdyby jakie tysiąc ludzi, gdyby choć pięćset z tyłu na Moskwę natarło, powstanie jako pożar wkoło rozpostarło, gdybyśmy my, nabrawszy Moskwie harmat, znaków, zwycięzcy szli powitać wybawców rodaków?“. Wyobraża sobie spotkanie z Cesarzem: „Pyta: pod czyją wodzą? — »Sędziego Soplicy!«. Ach, któż by potem pisać śmiało o Targowicy?“. Sopliców imię „póki Ponarom stać, Niemnowi płynąć, póty w Litwie słynąć“; wnuki pokażą palcem: „oto jest Soplica, z tych Sopliców, co pierwsi zrobili powstanie!“. Plan jest tu w istocie operacyjnym dopełnieniem ślubu pokutnego Jacka — pokuta Soplicy ma być spłacona powstaniem, jak grunty były spłacone wianem Zosi.

Sędzia, „mniej dbając o pochwały świata“, deklaruje: „jestem szlachcic, rad bym plamę domu zmazać; jestem Polak, dla kraju rad bym coś dokazać, choć duszę oddać. W szablę nie byłem zbyt tęgi; wszakże bierali ludzie i ode mnie cięgi“ (wspomina, że na ostatnich sejmikach „wyzwałem i zraniłem dwóch braci Buzwików“). Pyta: „Czy potrzeba, żebyśmy zaraz w pole wyszli?“ — i wylicza zasoby: strzelcy, prochu dostatek, „w plebanii u księdza jest kilka armatek“, a Jankiel „przywiózł w pakach gotowych z Królewca pod sekretem“ groty do lanc, które „mogę wziąć w potrzebie“; szabel nie zabraknie, „szlachta na koń wsiedzie, ja z synowcem na czele, i — jakoś to będzie!“. Robak rzuca się z otwartymi ramionami: „O polska krwi! Prawe dziecię Sopliców! Tobie Bóg przeznacza oczyścić grzechy brata twojego tułacza! Zawszem ciebie szanował; ale od tej chwili kocham cię, jak gdybyśmy bracią sobie byli!“.

Hamuje jednak zapal: jeszcze nie czas, „ja sam wyznaczę miejsce i czas”. Car wysłał gońców do Napoleona prosić o pokój, „wojna nie jest ogłoszona”; lecz ksiązę Józef od pana Biniona, „Francuza, co należy do cesarskiej rady”, wie, że układy „na niczym się skończą”; ksiązę wysłał Robaka „na zwiady, z rozkazem, żeby byli Litwini gotowi” przyjąć Napoleona z żądaniem przywrócenia Polski. „Tymczasem, bracie, z Hrabią trzeba przyjść do zgody. Jest to dziwak, fantastyk trochę, ale młody, pocziwy, dobry Polak: potrzebny nam taki”. Pochwala dziwaków w rewolucjach: „nawet głupi się przydadzą, byle tylko pocziwi i pod mądrych władzą”. Hrabia ma „u szlachty wielkie zachowanie”: „cały powiat ruszy się, jeśli on powstanie”. „Biegnę do niego zaraz!”. Sędzia twardo: „Niech się pierwszy zgłosi, niech przyjedzie tu, niech mnie przeprosi; wszak jestem starszy wiekiem, jestem na urzędzie!”. Robak trzasnął drzwiami, wpadł w powóz „u proga, tnie biczem konie”, „furknęła kałamaszka, ginie w mgły obłokach; tylko kiedy niekiedy kaptur mnicha bury wznosi się nad tumany jako sęp nad chmury”.

Tymczasem Protazy już skrada się ku domowi Hrabiego. Porównany do lisa, który „wiatr nią [kitą] jak wachlarzem ku swym nozdrzom tuli, pyta wiatru, czy strzelcy jadła nie zatruli”. Lawiruje, udaje że „bydło obaczył w szkodzie”, aż skoczył przez płot „i wpadł do konopi”. Tu narrator robi szeroką dygresję — „o konopiach”. W tej zielonej, gęstej, pachnącej krzewinie „jest pewny przytułek zwierzyńie i ludziom”: zając ucieka z kapusty „bezpieczniej niż w chruście” (ani chart go nie zgoni, ani ogar nie wywietrzy „dla zbyt tęgiej woni”); „człowiek dworski, uchodząc kańczuka lub pięści, siedzi cicho, aż się pan wyfuka”; „zbiegli od rekruta chłopci, gdy ich rząd śledzi w lasach, siedzą śród konopi”. Dlatego w „bitwach, zajazdach, tradowaniach obie strony nie szczędzą wielkich usiłowań, ażeby stanowisko zająć konopiane” — pas, który „z przodu ciągnie się aż pod dworską ścianę, a z tyłu, pospolicie stykając się z chmielem, kryje atak i odwrót przed nieprzyjacielem”. Komiczna mowa wojskowa o pasie konopnym staje się przedsmakiem zajazdu.

Sam Protazy w konopiach „uczuł nieco strachu”: przypomniał sobie dwa pamiętne pozwy. Raz zapozwany szlachcic z Telsz, Dzindolet, „oparłszy o piersi pistolet” kazał Woźnemu wleźć pod stół i „psim głosem odszczekać pozew”, a Protazy „musiał co tchu w konopie uciekać”. Później Wołodkowicz, „pan dumny, zuchwały, co rozpędzał sejmiki, gwałcił trybunały”, podał pozew „na sztuki” i z gołym rapierem nad głową krzyczał: „Albo cię zetnę, albo zjedz twój papier!” — Protazy „niby jeść zaczął” i znów do okna, w ogród konopny. Wprawdzie „już wtenczas w Litwie nie było zwyczajem opędzać się od pozwów szablą lub nahajem” — i Woźny zwykle słyszał tylko łajanie; ale Protazy „o tej obyczajów zmianie wiedzieć nie mógł, bo dawno już pozwów nie naszał”. Choć sam się Sędziemu wpraszał, ten dotąd „przez winny wzgląd na lata stare” mu odmawiał; dziś zgodził się „dla naglącej potrzeby”.

Protazy wsuwa ręce w konopie, „jako rybak pod wodą nurkujący płynie”, skrada się do okien — wszędzie pusto — i wchodzi do pałacu „jak w zaklęty gmach”, dobywa pozew i głośno odczytuje

oświadczenie. Wtedy turkot kół; chciał uciekać, ale w drzwiach staje znana osoba: Robak. Obaj się dziwią.

Hrabia wyraźnie „ruszył kędyś z całym dworem i bardzo śpieszył”: drzwi otwarte, na podłodze „dwururki i sztucce, dalej sztenfle, kurki, i narzędzia ślusarskie, którymi rynsztunki poprawiano; proch, papier: robiono ładunki” — zardzewiałe szable bez głów, szpada bez temlaku, „poruszono nawet stare broni składy”. Robak ogląda; idzie na folwark, gdzie znajduje dwie baby — mówią, że pan i dworska drużyna „ruszyli tłumnie, zbrojnie, drogą do Dobrzyna”.

Tu narrator wprowadza obszerny portret zaścianka. „Słynie szeroko w Litwie Dobrzyński zaścianek męstwem swoich szlachciców, pięknnością szlachcianek”. Niegdyś z samego Dobrzyna chorąży „przywiódł królowi Janowi III sześćset zbrojnej szlachty”; „dziś rodzina zmniejszona, zubożała”, musi sama pracować „jako zaciężne chłopstwo”, tylko że „siermięgi nie noszą, lecz kapoty białe w czarne pręgi, a w niedzielę kontusze”; szlachcianki „w drylichach lub perkaliczkach”, „bydło pasą w trzewiczkach”, „żną zboże w rękawiczkach”. Dobrzyńscy „czystej krwi lackiej” — czarnowłosi, „orle nosy”, od czterystu lat na Litwie zachowali mazurską mowę; chrzczą synów od „koronnych” patronów (Bartłomiej, Maciej, na przemian: syn Macieja zawsze Bartłomiej, i odwrotnie), kobiety „Kachny lub Maryny”. Z konieczności rozróżniania powstały *imioniska* — przydomki „od jakiej zalety lub wady”, przyjęte później przez całą okolicę „głupim naśladownictwem”.

Na czele rodziny stoi Maciej Dobrzyński, najbardziej obwoływany. Zwany niegdyś *Kurkiem na kościele* — bo zmieniał stronnictwa „jak kurek za wiatrem”; potem, „z siedemset dziewięćdziesiąt czwartym rokiem”, *Zabokiem*; samemu Dobrzynowi *Królikiem*, Litwinom *Maćkiem nad Maćkami*. Dom jego stoi „między karczmą i kościołem”, panując nad siołem; obraz folwarku oddaje cały archetyp drobnoszlacheckiej zagrody: „brama sterczy bez wrót, ogrody bez płota, niezasiane, na grzędach już porosły brzoźki”, lecz świetlica „z cegły”; dachy „świeciły się, jak gdyby od zielonej blachy, od mchu i trawy”; strzechy gumien „niby ogrody wiszące różnych roślin, pokrzywa i krokos czerwony, żółta dziewanna”; króliki białe ryją w darni; „dwór na kształt klatki albo królikarni”.

Pod tą zielenią widać przeszłość zbrojną. „Pod bramą dotąd w trawie, jak dziecięca głowa, wielka leżała kula żelazna działowa od czasów szwedzkich”; na dziedzińcu „spomiędzy piołunu i chwastu wznoszą się stare szczęty krzyżów” nad poległymi „śmiercią nagłą”; ściany lamusa „pstrokate niby rojem owadów czarnych: w każdej plamie siedzi we środku kula jak trzmiel w ziemnej jamie”; kłamki, ćwieki i haki „albo ucięte, albo noszą szabel znaki” — „probowano hartu zygmontówek”. Nad drzwiami herby Dobrzyńskich zasłoniły „półki serów”. Wewnątrz: pod dachem „cztery ogromne szyszaki, ozdoby czół marsowych”, w których teraz „gołębie gruchając karmią pisklęta”; w stajni „kolczuga wielka nad żłobem rozpięta i pierścieniasty pancerz służą za drabinę”; w kuchni „kucharka bezbożna odhartowała rapiery, kładąc je w piec zamiast rożna”; buńczukiem „łupem z Wiednia, otrzepywa żarna”. „Wygnała Marsa Ceres

gospodarna i panuje z Pomoną, Florą i Wertumnem" — ale „dziś muszą znowu ustąpić boginie: Mars powraca". Klasyczny topos przemiany sielanki w wojnę.

O świecie konny posłaniec biega od chaty do chaty „jak na pańszczyznę". Szlachta wstaje, kobiety zatrzymują, „chłopcy rwą się bić, ale nie wiedzą z kim, o co?"; w plebanii długa, zamieszana rada, aż nie umiając zdań pogodzić postanawia „przełożyć całą sprawę ojcu Maciejowi".

Portret Maćka: „Siedemdziesiąt dwa lat, starzec dziarski niskiego wzrostu, dawny konfederat barski". Pamiętali jego „damaskowaną krzywą karabelę, którą piki i sztyki rzezał na kształt sieczki, i której żartem skromne dał imię *Rózczyki*". Z konfederata stronnikiem królewskim, trzymał z podskarbin Tyzenhauzem; gdy król przyjął Targowicę, „opuścił znowu królewskie stronnictwo" — stąd przydomek *Kurka na kościele*. Przyczyn zmian „na próżno byś macał": może lubił wojnę zanadto, może „bystry polityk, duch czasu zbadywał, i tam siedł, gdzie ojczyzny dobro upatrywał"; pewne, że „nigdy z moskiewską partiją nie trzymał": „na sam widok Moskala pienił się i zżymał", „siedział w domu jak niedźwiedź, gdy ssie łapę w borze". Ostatni raz wojował pod Jasińskim w Wilnie i przy obronie Pragi: „sam jeden skoczył z wałów Pragi bronić pana Pocięja, który odbieżany na placu boju dostał dwadzieścia trzy rany"; wrócili obaj „pokłuci jak sito". Pocięj chciał go wynagrodzić folwarkiem na pięć dymów w dożywocie i tysiącem złotych w złocie, lecz Maciej odpisał: „Niech Pocięj Macieja a nie Maciej Pocięja ma za dobrodzieja". Nie przyjął — żyje z własnych rąk: pszczoły, lekarstwa dla bydła, kuropatwy w siódlach, polowanie.

W Dobrzynie i okolicy „Maciek prostak ubogi był najwięcej czczony"; znał prawo, historię, gospodarstwo, sekrety strzelców, lekarstwa, „nawet (czemu pleban przeczy) wiadomość nadzwyczajnych i nadludzkich rzeczy" — „częściej niż kalendarz gospodarski zgadnie powietrza zmiany". Czy siejba, wiciny, żniwa, proces, układ — „nie działo się w Dobrzynie nic bez Maćka rady". Sam wpływu nie szukał: „klientów swych fukał, najczęściej wypychał milczkiem za drzwi"; wyrzekał zdanie „w niewielu słowach". „Myślano, że dzisiejszej podejmie się sprawy i stanie swą osobą na czele wyprawy": bo „bijatykę lubił niezmiernie za młodu" i „był nieprzyjacielem moskiewskiego rodu".

Akurat „chodził po samotnym dworze, nucąc piosenkę: *Kiedy ranne wstają zorze*", rad z pogody. Mgła „spadała", wiatr ją „muskął, wygładzał, rozścielał na błonie", a słońce „tysiącem promieni tło przetyka, pośrebrza, wyzlaca, rumieni" — porównane do pary tkaczy w Słucku, gdzie „dziewica siedząc w dole krośny ujedwabia" a tkacz „z góry zrzuca jej nitki srebra, złota i purpury". Maciej, „ogrzawszy się słońcem", zakończył pacierz i wyszedł karmić swój dwór: świsnął i z ziemi wytrysnął „rój królików" („jako narcyzy nagle wykwitłe nad trawę, bielą się długie słuchy; pod nimi jaskrawe przeświecają się oczki jak krwawe rubiny, gęsto wszyte w aksamit zielonej darniny"); białopucha trzódka „bieży do starca", łązi po kolanach i ramionach. „On, sam biały jak królik, lubi ich gromadzić wkoło siebie i ręką ciepły ich puch gładzić, a drugą

ręką z czapki proso w trawę miota dla wróblów". Króliki znikają, wróble pierzchają — z plebanii nadchodzą posłowie szlachty.

„Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony" — „Na wieki wieków, amen", po czym Maciej zaprasza ich do izby. Tymczasem wokół domu „szlachty coraz gęściej przybywało" — z kałamaszek, bryczek, pieszo i konno; „już izbę napełnili, kupią się do sieni, inni słuchają, w okna głowami wciśnieni".

Księga VII — Rada

Z kolei rzecz zdaje Bartek, „przezwany Prusakiem od swych spółrodaków" — bo „często na strugach do Królewca chadzał", choć Prusaków „nienawidził okropnie". „Człek podeszły w lata", „w podróżach swych dalekich wiele zwiedził świata", „gazet pilny czytelnik, polityki świadom" — w niebytność Maćka „zwykle przewodził obradom". Kończy mową na cześć Francuzów: „nie jest to marna pomoc. Ja bym na Francuzów spuścił się w czasie wojny, jak na czterech tuzów: lud bitny, a od czasów pana Tadeusza Kościuszki, świat takiego nie miał genjusza wojennego, jak wielki cesarz Bonaparte". I snuje anegdotę: w roku 1806, gdy bawił w Poznańskim u pana Józefa Grabowskiego „polując na małego zwierza", przybiegł posłaniec z listem: „Jena! Jena! Zbito Prusaków na łeb, na szyję, wygrana!". W mieście „landraty, hofraty, komisarze i wszystkie podobne psubraty kłaniają się nam nisko; każdy drży, blednieje, jako owad prusaczy, gdy wrzątkiem kto zleje". A oni z udanym zdziwieniem pytają „o nowinki". Niemcy „spuściwszy nos, do domów, z domów dalej w nogi"; po Wielkopolsce ciągną „wagony i fornalki" z mężczyznami, kobietami, „z fajkami, z imbryczkami, wleką pudła, bety". I wtedy „hejże na koń, pomieszać Niemcom rejteradę! Nuż landratom tłuc w karki, z hofratów drzeć schaby, a herów oficerów łowić za harcaby!". Wpada Dąbrowski z cesarskim rozkazem powstania — „w tydzień jeden tak lud nasz Prusaków wychłostał i wygnał, na lekarstwo Niemca byś nie dostał!". Tak samo, postuluje Bartek, „sprawić Moskwie taką łaźnię".

Maciej stary, słuchając, „głowy nie ruszył ani podniósł wzroku, tylko ręką kilkakroć uderzył po boku, jak gdyby szabli szukał" — na wspomnienie Moskala „zawsze rękę zwracał na lewy bok: zapewne Rózcзки swej macał; i stąd był nazywany powszechnie *Zabokiem*". Wreszcie pyta krótko: „Cicho! Skąd ta nowina pochodzi? Jak daleko Francuzi? Kto nimi dowodzi? Wiele piechoty, jazdy?". Bartek doradza czekać bernardyna Robaka, wysłać szpiegów, „uzbrajać okolicę po cichu", aby Moskalom nie zdradzić zamiarów.

Przerywa go drugi Maciej, „ochrzczony *Chrzczicielem*, od wielkiej maczugi, którą zwał *Kropidelkiem*". Oparty na gałce: „He! czekać? szczeakać? zwlekać? Sejmikować! Hem, trem, brem, a potem uciekać!". „W Prusach nie bywałem; rozum królewiecki dobry dla Prus, a u mnie jest rozum szlachecki. To wiem: że kto chce bić się, niech Kropidło chwyta; kto umierać, ten księdza niech woła, i kwita!". O Robaku z drwiną: „Co mi tam Robak: otóż, my będziemy robaki,

i dalej Moskwę toczyć!". Konkluzja: „Kropić, kropić i kwita!". Wybuchają „Kropić! Kropić!". Popiera go Bartek *Brzytewka* (od „cienkiej szabli") i Maciej *Konewka* (od sztućca z gardłem tak szerokim, „że zeń jak z konwi tuzin kulek lał potokiem"); „Wiwat Chrzyciel z kropidełkiem!". Bartka Prusaka zakrzyczano: „Precz Prusaki tchórze! Kto tchórz, niech w bernardyńskim chowa się kapturze!".

Maciej znów podniósł głowę. „Nie drwijcie z Robaka; znam go, to ćwik klecha, ten robaczek większego od was zgryzł orzecha. Raz go tylko widziałem: ledwie okiem rzucił, poznałem co za ptaszek; ksiądz oczy odwrócił, lękając się, żebym go nie zaczął spowiadać; ale to rzecz nie moja, wiele o tym gadać!" — pierwsza w eposie wskazówka, że Maciek wie, kim jest Robak. „On tu nie przyjdzie; jeśli od niego wyszła ta nowina, to kto wie, w jakim celu: bo to bies księżyna!". Pyta wprost: „Po coście tu przyszli? czego chcecie?". Krzyk: „Wojny! Wojny z Moskałem! Bić się! Hejże na Moskali!".

Prusak wraca jeszcze raz: „Bracia szlachta! Potrzeba rozsądku, ładu i porządku! Chcecie wojny, zróbmy konfederację; obmyślmy, gdzie zawiązać i pod laską czyją?". Tak było w Wielkopolsce — „uzbrajamy szlachtę i włościan, gotowi, Dąbrowskiego czekamy rozkazu; na koniec, hejże na koń! powstajem od razu!".

„Proszę o głos!" — zawołał pan komisarz z Klecka, *Buchman*, „człowiek młody, przystojny, ubrany z niemiecka". Polak, lecz „nie wiedzieć, czy ze szlachty"; „dobry patryjota i pełen nauki, z ksiąg obcych wyuczył się gospodarstwa sztuki", administrował dobrami „porządnie", pisał pięknie. Po dwakroć odchrząknął i wygłasza popis nowoczesnego doktrynerstwa: „preopinanci moi w swych głosach wymownych dotknęli wszystkich punktów stanowczych i głównych, dyskusyjną na wyższe wzniesli stanowisko". Trzeba „w jedno zjąć ognisko" myśli; dyskusja ma „dwie części": dlaczego mamy przedsiębrać powstanie i jak zorganizować władzę. Zaczyna od władzy — „skoro pojmiem władzę, z niej powstania istotę, duch, cel, wyprowadzę". Wykład w duchu Rousseau: „ród ludzki dziki, w lasach rozpierzchniony, skupia się dla wspólnej obrony"; „każdy wolności własnej częśćkę składa dla dobra powszechnego"; rząd „umową się tworzy, nie pochodząc, jak mylnie sądzą, z woli Bożej". Podział władzy jest „skutkiem koniecznym" kontraktu społecznego.

Maciej tnie sucho: „Otóż są i kontrakty! Kijowskie czy mińskie? Owoż i rządy babińskie! Panie Buchman, czy Bóg nam chciał cara narzucić, czy diabeł, ja z waszmością nie będę się kłócić: Panie Buchman, gadaj Waść, jakby cara zrzucić". Chrzyciel dorzuca: „Gdybym mógł podskoczyć do tronu i Kropidłem, plusk, raz cara zmoczyć: aniby go wskrzesili z mocy bożej popi, ni z mocy Belzebuba — ten mi zuch, kto kropi". Brzytewka, „biegając jak cewka od Chrzyciela do Maćka", proponuje: „Marszałek nasz Maciej, a laska Rózcзка — Brzytew idzie pod komendę Rózgi"; Chrzyciel referuje regulamin kowieńskiej brygady: „krótka a węzłowata: strasz, sam się nie strachaj; bij, nie daj się; postępuj często, gęsto machaj: szach, mach!". „Po co tu pisać akta, po co psuć atrament?". „Niech żyje Kurek na Kościele!".

Z kątów wybucha sprzeciw: Buchman: „Ja zgody nigdy nie pochwalam! To mój system!"; ktoś drugi: „Nie pozwalam!". Wpada Skołuba — przybyły z innego zaścianka — protestując w imieniu „obcych": „Cóż to, Państwo Dobrzyńscy! A my, czy to będziemy z pod prawa wyjęci? Kiedy nas zapraszano... mówiono, że nie o Dobrzyńskich, lecz o powiat cały, o całą szlachtę idzie; toż i Robak bąkał, choć nigdy nie dokończył i zawsze się jąkał, i ciemno się tłumaczył". Zaścianków „nas ze dwieście"; trzeba „głosować wszyscy; równa u każdego gałka. Niech żyje równość!". Popierają go Terajewicze, Stypułkowscy, Mickiewicze. Zaczyna się rozłam: „Nie pozwalamy!" vs „Prosiemy!".

Pośrodku Maciec siedzi „jeden niemy, jedna głowa nieruchoma". Naprzeciw Chrzciciel „zwieszony rękoma na maczudze... kręcił, na przemiany w tył, naprzód kiwał, i ustawicznie »Kropić, kropić!« wykrzykiwał". Brzytewka biega wzdłuż izby, Konewka wszerek „od Dobrzyńskich do szlachty: niby to ich godził; jeden wciąż wołał »Golić« a drugi »Zalewać!«". Maciek milczy, „lecz widno, że się zaczął gniewać".

Po ćwierć godziny hałasu „nad tłumem wrzeszczącym, ze środka głów, wyskoczył w górę słup błyszczący: rapier sążnistej długości... miecz teutoński z norymberskiej stali". Krzyk: „To Scyzoryk! Wiwat Scyzoryk, klejnot Rębajłów zaścianku! Wiwat Rębajło, Szerbiec, Półkożic, Mopanku!". Gerwazy przeciska się na środek, „chyląc ostrze na znak powitania przed Maćkiem": „Rózcze Scyzoryk się kłania". Mówi krótko: „Bracia szlachta, Dobrzyńscy! Ja nie będę radził nic a nic; powiem tylko, po com was zgromadził: a co robić, jak robić, decydujecie sami". Słuch chodzi, że „na wielkie rzeczy zanosi się na świecie", ksiądz Robak o tym gadał — „wszakże wszyscy wiecie?". „Wiemy!".

Wykład Klucznika ma kapitalną prostotę: „Gdy cesarz francuski stąd przyciąga, a stamtąd car ruski: więc wojna; car z cesarzem, królowie z królami pójdą za łby, jak zwykle między monarchami. A nam czy siedzieć cicho? Gdy wielki wielkiego będzie dusić: my duśmy mniejszych, każdy swego. Z góry i z dołu, wielcy wielkich, małych mali, jak zacznem ciąć, tak całe szelmstwo się zwali, i tak zakwitnie szczęście i Rzeczpospolita. Nieprawdaż?". Szlachta: „Prawda — jakby z książki czyta!". Chrzciciel kwituje: „Prawda — krop a krop i kwita".

Komedia rady ujawnia w jednej scenie wszystkie rejestry sarmackiej polityki: wojskową dezynwolturę Chrzciela, doktrynerstwo Buchmana, zdrowy rozsądek Prusaka, równościowy bunt obcych zaścianków, milczenie autorytetu Maćka i sprawcze ostrze Gerwazego, który niedostrzeżenie podmienia powstanie polityczne na własną prywatną zemstę.

Konewka błaga: „pod czyją iść wodzą?". Buchman ucina: „niech się głupi godzą, dyskusyje publicznej sprawie nie zaszkodzą". Klucznik kpi z całej idei pisania konfederacji: „wielkie rzeczy robią się w Krakowie lub w Warszawie, nie u nas, w zaścianku, w Dobrzynie; aktów konfederackich nie piszą w kominie kredą, nie na wicinie, lecz na pergaminie. Ma Polska

pisarzy koronnych i litewskich, tak robili starzy; moja rzecz Scyzorykiem wyrzynać". Chrzciciel kibicuje: „Kropidłem pluskać”, Bartek *Szydełko* (od szpadki): „I wykalać Szydłem”.

Klucznik dokonuje teraz dyplomatycznej zamiany. Przypomina słowa Robaka — „wprzód nim przyjmiecie w dom wasz Napoleona, trzeba wymieść śmiecie” — i pyta retorycznie: „Któż jest śmieciem powiatu? Kto zdradziecko zabił najlepszego z Polaków, kto go okradł, zgrabiał? Mamże wam gadać?”. Konewka, Brzytewka, Chrzciciel chórem: „Soplica! łotr! ciemieżyciel! kropić!”; Buchman po nowoczesnemu: „Jeśli zdrajca, więc na szubienicę!”. Krzyk: „Hejże na Soplicę!”. Robakowe wezwanie do oczyszczenia domu — wymierzone przeciw Moskwie — Klucznik zdołał zwrócić przeciw Sędziemu.

Prusak ośmiela się obronić Sędziego. „Na boskie rany, panowie bracia! Czy waść opętany? Że ktoś miał wariata banitę bratem — karać go za brata? To mi po chrześcijańsku!”. Wskazuje na Hrabiego: „są tu konszachty Hrabiego”, bo nieprawda, że Sędzia ciężki dla szlachty: „to wy tylko sami pozywacie go, a on zgody szuka z wami, ustępuje ze swego, jeszcze grzywny płaci”. Sędzia „pierwszy zabraniał, ażeby się chłop przed nim do ziemi nie kłaniał, mówiąc, że to grzech”; sam widział, jak „gromada chłopska siada z nim do stołu”, podatki płaci za włość — „a nie tak jest w Klecku, choć tam waść, panie Buchman, rządysz po niemiecku”. Sędzia „od infimy” znany jako „pocziwe dziecko”; „Polskę kocha nad wszystko, polskie obyczaje chowa”. Ilekroć Bartek wraca z Prus, „chcąc zmyć się z Niemczyzny, wpadam do Soplicowa jak w centrum polszczyzny; tam się człowiek napije, nadysze ojczyzny!”. W Wielkopolsce „nikt podobną fraszką nie śmiał rady mieszać”. Klucznik: „To nie fraszka — łotrów wieszać!”.

Wskazuje na ławę Jankiel — broda „jak wiecha aż do pasa”, w prawej ręce „kołpak lisi”, lewą poprawił jarmułkę. „Nu, panowie Dobrzyńscy! Ja sobie Żydzisko; mnie Sędzia ni brat, ni swat; szanuję Sopliców jak panów bardzo dobrych i moich dziedziców; szanuję też Dobrzyńskich... jako dobrych sąsiadów”. Argumentacja czysto praktyczna: „jeżeli państwo chcą gwałt zrobić Sędziemu, to bardzo źle. Możecie się pobić, zabić — a asesory? a sprawnik? a turma? Bo w wiosce u Soplicy jest żołnierzy hurma, wszystko jegry! Asesor w domu: tylko świśnie, tak wraz przymaszerują”. A jeśli czekać Francuza — „to Francuz daleko, droga duża”; „był w Bielicy, widziałem tam Żydków od samej granicy; słyhać, że Francuz stoi nad rzeką Łososną, a wojna jeśli będzie, to chyba aż wiosną”. „Dwór Soplicowa nie budka kramna, co się rozbierze, w wóz schowa i pojedzie: dwór jak stał, do wiosny stać będzie; a pan Sędzia, to nie jest Żydek na arendzie: nie uciecze, można znaleźć wiosną”. Każe się rozejść, a kogo łaska, zaprasza do siebie: „Moja Siora powiła małego Jankielka: ja dziś traktuję wszystkich, a muzyka wielka!” — kozice, basetla, dwie skrzypiec, „stary lipiec” dla Maćka i „nowe mazurki” wyuczone „fein moje bachurki”.

Wymowa Jankiela przyniosła „krzyk, okłask wesela”. W tej chwili Gerwazy mierzy Scyzorykiem w Żyda; Jankiel skacze i wpada w tłum. „Precz stąd, Żydzio! Nie tkaj palców między drzwi, nie o ciebie idzie!”. A Prusakowi Klucznik zarzuca interes osobisty: „że waszeć Sędziowską

handlujesz parą wicin mizernych: to już zań gardłujesz? Zapomniałeś, że ojciec waszecin spławiał do Prus dwadzieścia Horeszkowskich wicin? Stąd się zbogacił i on, i jego rodzina". Wygłasza poruszającą laudację Stolnika jako patrona całego Dobrzyna: „kogoż on komisarzem słał do swych dóbr pińskich? Dobrzyńskiego! Rachmistrzów — Dobrzyńskich! Marszałkostwa, kredensu — pełno Dobrzyńskich miał w domu! On forytował wasze w trybunałach sprawy, on wyrabiał u króla dla was chleb łaskawy, dzieci wasze kopami pomieszczał w konwikcie pijarskim, na swym koszcie, odzieży i wikcie". A Soplica „kopcami tyka waszych granic". Wdzięczność jako broń.

Każdy z zaścianku dorzuca swoją prywatną pretensję. Konewka: na weselu córki Sędziego nie chciał z nimi pić: „nie piję tak wiele jak wy szlachta; wy szlachta ciągniecie jak bąki" — „magnat! delikacik z marymonckiej mąki!". Chrzciciel skarga osobista: syn jego, niegdyś „dziecko roztropne, teraz tak zgłupiał, że go nazywają *Sakiem*", a winien temu Sędziemu. „Mój syn dybie przez konopie do Zosi", on go ucisza: „beczy i beczy: »Ojcze, choć zabij, muszę tam iść«, mówi, że tę Zosię kocha!". Sędziemu proponował: „daj Zosię dla Saka!", a tamten: „jeszcze mała, czekaj ze trzy lata, jak sama zechce"; „łotr! łże, już ją komuś swata: ja im łożę małżeńskie kropidłem poświęcę". Tu szlachecka miłosna komedia łączy się z polityczną podagrą.

Klucznik domyka: „Bracia! chcecie bój z ruskim imperatorem wieść, a boicie się wojny z Soplicowskim dworem? Strach wam turmy! Hrabia wygrał, zyskał dekretów niemało: tylko je egzekwować! Tak dawniej bywało!". Wspomina zajazd myski: Dobrzyńscy bili się tam z generałem Wojniłowiczem i „łotrem, panem Wołkiem z Łogomowicz", którego wzięli w niewolę „chcieliśmy go wieszać na belce w stodole, iż był tyran dla chłopstwa a sługa Moskali; ale się chłopci głupi nad nim zlitowali (upiec go muszę kiedyś na tym Scyzoryku)". Hrabia, „dziedzic Stolnika tego, który żywił krocie, dziś nie ma przyjaciela, oprócz mnie, Klucznika, i ot tego wiernego mego Scyzoryka!".

Chrzciciel: „I Kropidła — gdzie ty Gerwazeńku, tam i ja; póki ręka, póki plusk plask w ręku. Co dwaj to dwaj!". Brzytwa: „już co wy namydlicie, to ja wszystko zgolę". Konewka wyciąga z kieszeni garść kul: „Ot gąłki! W Sędzię gąłkami wszystkimi!". Skołuba przyłącza się; szlachta: „Niech żyją Horeszkowie! Wiwat Półkozice! Wiwat Klucznik Rębajło! Hejże na Soplicę!". Narrator dorzuca rzetelne wyjaśnienie: każdy „ku Sędziemu miał swe urazy" — szkody, wyręby, granice; „jednych gniew, drugich tylko podburzała zawieść bogactw Sędziego — wszystkich zgodziła nienawiść".

Cisną się do Klucznika z szablami i pałkami — gdy nagle wstaje Maciek, dotychczas „ponury, nieruchomy", wychodzi „na środek izby, podparł się w boki" i wybucha brutalnie: „A głupi! a głupi! a głupi wy! Na kim się mleło, na was skrupi!... Póki o wskrzeszeniu Polski była rada, o dobru pospolitym, głupi, u was zwada? A niech no kto podda osobiste urazy, głupi, u was zgoda! Precz stąd! Bo jakom Maciek, was, do milionów kroćset kroci tysięcy fur, beczek,

furgonów, diabłów!!!!". To być może najbardziej dosadny moralny komentarz całej epopei do polskiego sejmikowania.

Cisza „jak rażeni gromem” — i natychmiast z dworu krzyk: „Wiwat Hrabia!”. Hrabia „wjeżdżał na folwark Maciejów, sam zbrojny, za nim zbrojnych dziesięciu dżokejów”; „w czarnym stroju, na sukni orzechowy płaszcz włoskiego kroju, szeroki, bez rękawów, jak wielka opona, spięty klamrą u szyi, spadał przez ramiona; kapelusz miał okrągły z piórem, w ręku szpadę”. Szpadą wita gromadę. „Wiwat Hrabia! z nim żyć i umierać!”. Szlachta wybiega z chaty oknami i drzwiami. Maciek resztę „wypędził, drzwi zamknął, zasunął i przez okno wyrzawszy, raz jeszcze rzekł: »Głupi!«”.

Gerwazy w karczmie wspomina dawne czasy: „kazał sobie trzy podać od kontuszów pasy” i na nich „ze sklepu karczmy beczki wydobywa trzy: jedną miodu, drugą wódki, trzecią piwa. Wyjął goździe, wnet z szumem trysnęły trzy strugi, jeden biały jak srebro, krwawnikowy drugi, trzeci żółty; troistą grają w górze tęczą, a spadając w sto kubków, we sto szklanek brzęczą”. „Hejże na Soplicę!”.

Jankiel „wymknął się milczkiem, oklep”. Prusaka, „choć jeszcze rozprawiał wymownie”, goni szlachta z okrzykami zdrady; na uboczu „stał Mickiewicz”, nie krzyczał, lecz „z miny poznano, że coś złego knuje” (Mickiewicz wpisuje siebie w komiczne tło) — „więc do kordów”. Bartek się odcina, „już ranny”, przyparty do płotów, „gdy mu skoczył na odsiecz Zan i trzech Czeczotów” — autorska szpila do filomatów wileńskich. Bartek ocalony, dwóch ciętych w ręce, „ktoś dostał po uchu”. Reszta na koń. Hrabia z Gerwazym rozdają oręż i rozkazy; cwałem „przez długą zaścianku ulicę puścili się w cwał krzycząc: »Hejże na Soplicę!«”.

Księga VIII — Zajazd

Nagłówek zapowiada: „Astronomia Wojskiego — Uwaga Podkomorzego nad kometami — Tajemnicza scena w pokoju Sędziego — Tadeusz, chcąc zręcznie wypłatać się, wpada w wielkie kłopoty — Nowa Dydo — Zajazd — Ostatnia woźnieńska protestacja — Hrabia zdobywa Soplicowo — Szturm i rzeź — Gerwazy piwniczym — Uczta zajazdowa”. Otwiera ją obraz „cichej i ponurej chwili przed burzą” — chmura nad głowami „grożąc twarzą, dech wiatrów zatrzyma, milczy, obiega ziemię błyskawic oczyma, znacząc te miejsca, gdzie wnet ciśnie grom po gromie”. Po wieczery Sędzia z gośćmi siedzi na przyzbach „wysłanych murawą”, patrząc w niebo, które „skrywszy się pod zasłonę ciemną jak kochankowie, wszczęli rozmowę tajemną”.

Wieczorny „koncert” rozkłada się w katalogowo. Najpierw muzyka domu: puszczyk jęczy na poddaszu, nietoperze szepczą skrzydłem, ćmy „przykrzą się Zosi, bijąc w lice i w jasne oczki, które biorą za dwie świece”; w powietrzu „akord muszek i półton fałszywy komarów”. Potem pole: „trzykroć wrzasnął derkacz, pierwszy skrzypak łąki”, bąki „z bagien basem” wtórują,

bekasy „bekając jak w bębenki biją”. Na finał odzywają się „chórem podwójnym dwa stawy” — jeden „z toń jasną i brzeg piaszczysty” jękiem cichym, drugi „z dnem błotnistym, gardzielem mętym” odpowiada żałośnie namiętym krzykiem, „jak grające na przemian dwie arfy Eola”. Mrok gęstnieje, w łożach „błyskają wilcze oczy jako świeczki”, pastusze ogniska na widnokręgu; nareszcie księżyc „srebrną pochodnię zanecił”, niebo i ziemia „drzemały obok siebie jako małżonkowie szczęśliwi”.

Wojski wypowiada wieczorny katalog gwiazd — szlachecką astronomię ludowo-mityczną. Kastor i Polluks „zwani niegdyś u Sławian Lele i Polele; teraz ich w zodyjaku gminnym znów przechrzczono: jeden zowie się *Litwą*, a drugi *Koroną*”. *Waga* przypomina szale, na których „Bóg w dniu stworzenia ważył z kolei wszystkie planety i ziemię”. *Sito* na północy to siatka, „przez którą Bóg przesiał ziarnka żyta, kiedy je z nieba zrzucał dla Adama ojca, wygnanego za grzechy z rozkoszy ogrojca”. *Wóz Dawida* (długi dyszel od polarnej gwiazdy) to według Litwinów *wóz Anielski*: „na nim to przed czasy jechał Lucyper, Boga gdy wyzwał w zapasy, Mlecznym gościńcem pędząc cwał w niebieskie progi, aż go Michał zbił z wozu, a wóz zrzucił z drogi”; „teraz, popsuty, między gwiazdami się wala”. Zodiakalny *Smok* — „mylnie wężem chrzczą astronomowie” — to *Lewiatan* z mórz potopowych: „zdechł z niedostatku wody; więc na niebios stropie, anieli zawiesili jego martwe szczątki” — podobnie jak pleban Mirski „zawiesił w kościele wykopane olbrzymów żebra i piszczele”. Stary Wojski „choć wieczerem słaby miał wzrok”, „na pamięć znał imię i kształt każdej gwiazdy: wskazywał palcem miejsca i drogę ich jazdy”.

Dziś jednak „mało go słuchano”. Wszystkie oczy ku nowemu gościowi: „był to kometa pierwszej wielkości i mocy. Zjawił się na zachodzie, leciał ku północy; krwawym okiem z ukosa na rydwan spoziera, jakby chciał zająć puste miejsce Lucypera, warkocz długi w tył rzucił i część nieba trzecią obwinął nim, gwiazd krocie zagarnął jak siecią”. Lud litewski „z niewymownym przecuciem” odbiera złą wróżbę — „krzyk złowieszczych ptaków” gromadzących się „jakby czekając na trupy”, psy „ziemię ryły i przeraźliwie wyły”, przez cmentarz „szła dziewica moru, która wznosi się czołem nad najwyższe drzewa, a w lewym rękę chustką skrwawioną powiewa”. Ciwun z pisarzem prowentowym i Ekonomem szepczą po kątach.

Podkomorzy bierze głos. Otwiera złotą tabakierę z brylantami i portretem Stanisława Augusta i koryguje uczone gadanie Wojskiego: „ja o cudzie prostaków poradzić się wolę”. Sam słuchał w Wilnie astronomii dwa lata (gdy Puzynina „oddala dochód z wioski dwiestu chłopów na zakupienie szkieł i teleskopów”, a ksiądz Poczobut był rektorem, „w końcu katedrę i teleskop rzucił, do klasztoru... powrócił”). Astronomowie traktują kometa „jak mieszczanie karete: wiedzą, czyli zajeżdża przed króla stolicę, czyli z rogatek miejskich rusza za granicę; lecz kto w niej jechał? po co?... o to ani pytają”. Pamięta inną kometa: gdy „Braniecki kareta swą ruszył do Jassów i za tą niepocziwą pociągnął kareta ogon Targowiczaków, jak za tą kometa; lud prosty

zgadnął zaraz, że ogon ów jest wróżbą zdrady. Słysząc, że lud dał imię miotły tej komecie i powiada, że ona milion wymiecie".

Wojski potakuje innym przykładem. Nieboszczyk Sapieha, „kanclerz litewski, miawszy lat sto i dziesięć", był pod Wiedniem w chorągwi Jabłonowskiego: w chwili gdy „król Jan Trzeci na koń siadał, gdy nuncyusz papieski żegnał go na drogę, a poseł austrijacki całował mu nogę... król krzyknął: »Patrzcie, co się na niebie wyrabia!«". Suwał się kometa „drogą, jaką ciągnęły wojska Mahometa, z wschodu na zachód". Ksiądz Bartochowski opisał go w panegiryku pod godłem „Orientis Fulmen"; widnieje też w księdze *Janina*. Sędzia podchwytuje: „ja wróżbę waszeci przyjmuję, oby z gwiazdą zjawił się Jan Trzeci! Jest na zachodzie wielki dziś bohater; może kometa go przywiedzie do nas, co daj Boże!". Wojski jednak chmurnie: „Kometa czasem wojny, czasem wróży kłótnie! Niedobrze, iż się zjawił tuż nad Soplicowem, może nam grozi jakim nieszczęściem domowem". Wspomina wczorajsze swary: rana Asesor z Rejentem, wieczorem Tadeusz wyzwał Hrabiego — „pono spór ten ze skóry niedźwiedziej pochodził; gdyby mnie Dobrodziej Sędzia nie przeszkodził, ja bym u stołu obu przeciwników zgodził". Bo chciał opowiedzieć „wypadek ciekawy" — i tu wraca do dawno zapowiadanej historii Rejtana i księcia Denassowa.

Streszcza zwięźle: „Jenerał Podolskich Ziem" (Czartoryski) przejeżdżał z Wołynia, wstąpił do Tadeusza Rejtana, „posła nowogrodzkiego", w którego domu Wojski wzrósł od dzieciństwa. Rejtan zaprosił szlachtę, urządził teatr (książę kochał teatry), fajerwerk dawał Kaszyc, tancerzy przysłał Tyzenhauz, kapele Ogiński i Sołtan; w lasach obławy. Czartoryscy „choć z Jagiellonów krwi, do myślistwa nie są pochopni, z gustów cudzoziemskich"; jenerał „częściej do ksiązek niż do psiarni zazierał i do alkówek damskich częściej niż do lasów". W jego świetle był „książę niemiecki Denassów", o którym powiadano, że w libijskiej ziemi „polował niegdyś z królmi murzyńskimi i tam tygrysa spisą w ręcznym boju zwałił". U Rejtana strzelono dziki — gospodarz „zabił ze sztućca ogromną maciorę, z wielkim niebezpieczeństwem, bo z bliska wypalił". Denassów „obojętnie słuchał pochwał": „trafny strzał dowodzi tylko śmiałe oko, biała broń śmiałą rękę" — i znowu o Libii. Rejtan uderzył w szablę: „kto patrzy śmieie, walczy śmieie, warte dziki tygrysów, a spis karabele". Ksiązę jenerał „godził ich po francusku" — „popiół nad zarzewiem"; Rejtan obiecywał Niemcowi „sztukę spletać" nazajutrz, „której ledwie własnym nie przypłacił zdrowiem". Tu znowu Wojski przerywa, zażywa tabakę „jak gdyby chciał zaostrzyć ciekawość słuchaczy" — i właśnie wtedy do Sędziego „nagle ktoś przysłał człowieka, donosząc, że z niezwłocznym interesem czeka". Sędzia żegna grono.

Inni już śpią. Tadeusz „po sieniach się zwija, chodząc jako wartownik około drzwi stryja". Musi koniecznie poradzić się jeszcze dziś (chodzi o jutrzejszy pojedynek i Zosię), ale „nie śmie do drzwi stukać; Sędzia drzwi na klucz zamknął, z kimś tajnie rozmawia". Słyszy szlochanie. „Ostrożnie dziurką klucza zagląda przez zamek" — i widzi „rzecz dziwną": Sędzia i Robak na ziemi, klęczący, obejmujący się i płaczący „łzami rzewnemi"; „Robak ręce Sędziego całował,

Sędzia księdza za szyję płacząc obejmował". Po „ćwierćgodzinnym przerwaniu rozmowy" Robak zaczyna mówić — w drugiej osobie, do brata: „Bracie! Bóg wie, żem dotąd tajemnic dochował, którem z żalu za grzechy w spowiedzi ślubowałem: że Bogu i Ojczyźnie poświęcony cały, nie służąc pysze, ziemskiej nie szukając chwały, żyłem dotąd i chciałem umrzeć bernardynem, nie wydając nazwiska, nie tylko przed gminem..." — „nawet przed tobą i przed własnym synem!". Ksiądz prowincjał pozwolił mu „*in articulo mortis* zrobić objawienie"; w Dobrzynie „wielkie zamieszanie", Maciek go poznał, Klucznik „wszystko splątał", Hrabia ruszył w zaścianek. „Mniejsza o mą głowę, lecz tym odkryciem spisku zerwałbym oświatę"; musi być w Dobrzynie sam, „beze mnie szlachta oszaleje". Żegna brata: „jeśli zginę, ty jeden westchniesz za mą duszę; w przypadku wojny, tobie cała tajemnica wiadoma: kończ, com zaczął, pomnij, żeś Soplica!". Robak ociera łzy, „habit zapiał, kaptur włożył" — i tylną okienicą skacze do ogrodu. Sędzia, sam w izbie, „siadł w krześle i płakał".

Po chwili wchodzi Tadeusz, „nisko się skłonił" i deklaruje: musi jechać jutro, najdalej pojutrze, za granicę Warszawskiego Księstwa — pojedynkować się z Hrabią („w Litwie zakazane pojedynkowanie") — a potem „za Łososny brzegi przepłynę, gdzie mnie bratnie czekają szeregi"; przypomina, że ojciec w testamencie kazał mu „służyć w wojsku polskim". Sędzia śmieje się: „mój Tadeuszu, czy waszeć kąpany w gorącej wodzie, czy też kręcisz jak lis szczwany, co indziej kitą wije, a sam indziej bieży?" Pojedynek można odłożyć — „przed pojedynkiem zwyczaj posłać przyjaciół, układać się; Hrabia może nas przeprosić, deprekować". Domyśla się: „chyba inny giez jaki waści stąd wygania" — głaszcząc go pod brodę: „już w ucho szepnął mi mój palec mały, że waszeć masz tu jakieś z damami kabały".

Tadeusz, „rumieniąc się", całuje stryja w rękę i wyznaje całą prawdę: „Tę panienkę, Zosię, wychowanicę stryja, podobałem bardzo, choć tylko parę razy ją widziałem"; teraz, gdy stryj swata mu Podkomorzanekę, „nie mógłbym z panną Różą się ożenić, kiedy kocham tę Zosię; trudno serce zmienić!". Sędzia rozwesela się jak ktoś, kto wreszcie usłyszał, czego chciał: „dobrze, żeś szczery; a co waść powiesz, gdybym swatał sam waści Zosię?". Lecz Tadeusz: „Pani Telimena nie odda mi Zosi!". Sędzia: „Będziem prosić" — Tadeusz uparcie: nie czeka, musi jechać. Sędzia traci cierpliwość: „to waść tak szczery? takeś mi serce otwierał? Naprzód ów pojedynek, potem miłość i ten wyjazd; oj, jest tu w tym jakaś zawilość... A gdzież to asan chodził onegdaj wieczorem, czego asan jak wyżeł tropił pode dworem?". Pada zarzut ciężki: „Jeśli może asan Zosię zbałamucił i teraz uciekasz, młokosie, to się waści nie uda! Lubisz czy nie lubisz, zapowiadam asanu, że Zosię poślubisz; a nie, to bizun — jutro staniesz na kobiercu!". Stryj wyrzuca go: „Idź mi waść spać!" i woła Woźnego do rozbierania. Tadeusz wychodzi z opuszczoną głową, „pierwszy raz połajany tak ostro", „sam się przed sobą rumienił".

Ledwie zrobił parę kroków, „drogę zaszła mu mara" — Telimena „w białiznie, długa, wysmukła i cienka", „od której odbijał się drżący blask miesięczny". Cichym jękiem rzuca pierwszą salwę: „Niewdzięczny! Szukałeś wzroku mego, teraz go unikasz; tryumf nad miękkim sercem serce twoje

zatwardził; żeś je zdobył zbyt łatwo, zbyt prędkoś nim wzgardził!". Tadeusz tłumaczy się płochliwie: „wszak nas widzą, śledzą; to nieprzyzwoicie, to grzechem". Telimena z gorzkim uśmiechem: „Niewiniątko! baranek! Ja, będąc kobietą, jeśli z miłości nie dbam, choćby mnie odkryto... a ty, ty mężczyzna? Cóż szkodzi z was któremu, chociaż się i przyzna, że ma romans z dziesięciu razem kochankami?". I wprost: „chcesz mnie rzucić?".

Tadeusz odwraca rzecz w stronę honoru wojkowego: „cóż by świat mówił o człowieku, który by teraz, w moim wieku, zdrowy, żył na wsi, kochał się: kiedy tyle młodzi... za granicę, pod znaki narodowe bieży?". Ojciec, stryj — kazali. Telimena cofa się w gest tragiczny: „nie chcę ci zagradzać drogi do sławy! Tylko dla mej pociechy, niech wiem przed rozstaniem, że twoja skłonność była prawdziwym kochaniem... niech słowo »kocham« jeszcze raz z ust twych usłyszę". Tadeusz, „przejęty szczerym żalem i litością", deklaruje zręcznie połowicznie: „bogdaj mnie jasny piorun ubił, jeśli nie prawda, że cię, dalbóg, bardzo lubił, czy kochał". Zdanie z luką, w którą Mickiewicz wkłada własne pytanie: „jeżeliby badał serca swego skrytość, może by się w tej chwili i sam nie dowiedział, czyli ją kochał, czy nie".

Telimena pada mu na szyję: „Tegom się spodziewała! Kochasz mnie, więc żyję! Tobie oddałam serce, oddam ci majątek, pójdę za tobą wszędzie; z najdzikszej pustyni miłość ogród rozkoszy uczyni". Tadeusz „wydziera się z objęcia przemocą": „Jechać za mną? Ja, będąc sam prostym żołnierzem, włóczyć, czy markietankę?". „To my się pobierzem" — „Nie, nigdy! Ja żenić się nie mam teraz zgoła zamiaru... Kochajmy się, ale tak — z osobna". Telimena na to staje jak Meduzy głowa: blada, bez tchu, z palcem zmierzonym w jego oczy: „Tego chciałam! ha, języku smoczy! Serce jaszczurcze! To nic, że cię tobą zajęta wzgardziła Asesora, Hrabie i Rejenta... Lecz nie wiedziałam, że tak podle umiesz kłamać! Słuchałam pode drzwiami stryja! Więc to dziecko, Zosia, wpadła ci w oko i na nią zdradziecko dybiesz?". I groźba: „Uciekaj, lub wydam światu twoje bezeceństwa; twe sztuki już nie zwiodą innych, jak mnie zwiodły! Precz! gardzę tobą! Jesteś kłamca, człowiek podły!".

„Na obelgę śmiertelną dla uszu szlachcica, i której żaden nigdy nie słyszał Soplica", Tadeusz „zadrżał... twarz mu pobladła jak trupia", tupnął nogą, ścisnął usta i odgryzł się jednym słowem: „Głupia!". Odchodzi, lecz „wyraz »podłość« echem się powtórzył w sercu". Uznaje, że na skargę Telimeny zasłużył — i tym mocniej ją zbrzydził. „O Zosi, ach! pomyśleć nie ważył się, wstydził. Przecież ta Zosia, taka piękna, taka miła! Stryj swatał ją! może by jego żoną była, gdyby nie szatan, co go płacząc w grzech za grzechem, w kłamstwo za kłamstwem, wreszcie odstąpił z uśmiechem!".

Z tej burzy nagle wyłania się myśl jak „kotwica spoczynku": pojedynek. „Zamordować Hrabiego! krzyknął w gniewie, Zginać albo zemścić się!" — „a za co? sam nie wie"; i gniew „w mgnieniu oka wywietrzył". Drugi nawrót: a może Hrabia kocha Zosię szczerze, „za męża wybierze? Jakimże prawem chciałbym zerwać to zameście, i, sam nieszczęśnik, wszystkich mam zaburzać szczęście?". Wpada w rozpacz; jedyna ucieczka — „do grobu". Biegnie ku łąkom,

staje nad błotnistym stawem, „w zielonawe tonie łakomy wzrok utopił i błotniste wonie z rozkoszą ciągnął piersią” — narrator dorzuca cierpką diagnozę: „samobójstwo jak każda rozpusta jest wymyślną; on w głowy szalonym zawrocie czuł niewymowny pociąg utopić się w błocie”. Telimena „z dzikiej młodzieńca postawy” zgadła rozpacz; choć „takim słusznym gniewem pała, przeleżała się; w istocie dobre serce miała”. Biegnie za nim, krzycząc: „Stój! głupstwo! kochaj czy nie! żeń się sobie czy jedź! tylko stój!”. Tadeusz jednak już stoi nad brzegiem.

Tu wprowadza się trzeci wątek: po tym samym brzegu wjeżdża Hrabia na czele dżokejów. „Zachwycony wdziękiem nocy” zatrzymał konia i słucha podwodnej orkiestry — narrator dorzuca aforystyczne nawiasy: „żadne żaby nie grają tak pięknie jak polskie”. Następuje słynny opis dwóch stawów „pochylonych ku sobie obliczem, jako para kochanków”: prawy z wodą „gładką i czystą jako dziewicze jagody”, złocistym piaskiem „jakby włosiem jasnym”; lewy „ciemniejszy, jako twarz młodziana smagła i już męskim puchem osypana”, „czoło najeżone łozami”. Z nich dwa strugi „jak ręce związane pospołu” upadają w rów; warstami rozsypują księżycową pozłotę, „myślałbyś, że u stawu siedzi Świtezianka, jedną ręką zdroj leje z bezdenne dzbanka, a drugą w wodę dla zabawki miota brane z fartuszką garście zakłętego złota”. Strumień, „jak piękny wąż żmudzki, zwany giwojtosem”, srebrzy się i złoci między mchem, niknie w olszynach „jak duchy na wpół widne”. Między stawami młyn „jako stary opiekun” — „palczystą swą pięścią” zatrząsł mchem obrosłe czoło i „szczęki zębówate ruszył”, zagłuszając „miłośną stawów rozmowę”.

Hrabia, zbudzony przez młyn, widzi Tadeusza tuż obok swojego stanowiska. „Do broni! łapaj!” — dżokeje chwytają chłopca, biegną do dworu. Wyskakuje wpół ubrany Sędzia, „myśli, że zbójcy”, aż poznaje Hrabiego. „Soplico — odwieczny wrogu mej rodziny, dziś zdasz mi sprawę z mojej fortuny zaboru, nim pomszczę się obelgi mojego honoru!”. Sędzia żegna się: „W Imię Ojca i Syna! tfu! mospanie Hrabia, czy waść zbojca? Czy się to zgadza z pana urodzeniem, wychowaniem?”. Słudzy biegną z kijami i strzelbami; Wojski stoi z daleka „a nóż miał w rękawie”.

Już mieli ruszyć do bitwy, lecz w olszynach „postrzeżono blask, wystrzał rusznicy”; tysiąc głosów wrzasło: „Hejże na Soplicę!”. Sędzia rozpoznaje hasło Gerwazego. Hrabia spokojnie: „nic to — będzie tu nas więcej, poddaj się Sędzio, to są moi sprzymierzeńcy”. Nadbiega Asesor z formalnym zarzutem: „Areszt kładę w imię Imperatorskiej Mości; oddaj szpadę, panie Hrabio... wiesz pan, że kto zbrojnie śmie napadać w nocy, zastrzeżono tysiącnym dwóchsetnym ukazem...” — Hrabia „w twarz uderzył płazem”. Asesor pada „zgluszony”, chowa się w pokrzywy. Wybuchą lament: Zosia obejmuje Sędziego rękami, „jako dziecko od Żydów klute igielkami”; Telimena „wpadła między konie”, z głową w tył wychyloną, włos rozpuszczony: „Na twój honor! Hrabio, śmiesz odmówić? proszą ciebie damy; okrutniku, nas pierwszej musisz zamordować!” — i pada zemdlona.

Hrabia, lekko zmieszany, skacze ją cucić i ogłasza formułę: „Soplicowie! jesteście moimi więźniami. Tak zrobiłem we Włoszech, kiedy pod opoką, którą Sycylianianie zwą Birbante-rokką, zdobyłem tabor zbójców: zbrojnych mordowałem, rozbrojonych zabrałem... potem ich powieszono u podnóża Etny” — Sycylia wraca jako wzorzec własnego heroizmu. Narrator dorzuca trzeźwy komentarz: „było to osobliwsze szczęście dla Sopliców, że Hrabia, mając lepsze konie”, dotarł na milę przed resztą szlachty, „która była zwyczajem powstania burzliwa i niezmiernie skora do wieszania”. Karne dżokejstwo dało Hrabiemu czas „ostygnąć z zapалу i gniewu”. Zamyka rodzinę Sopliców „jako więźniów wojennych; u drzwi stawia straż”.

Tymczasem nadbiega szlachta z okrzykiem „Hejże na Sopliców!”. Wódz wzięty, załoga pierzchła, ale „zdobywcy chcą bić się, wyszukują wroga”. Do domu nie wpuszczeni biegną do folwarków i kuchni; widok ognia, garków, „chrupanie psów gryzących ostatki wieczerzy, chwytą wszystkich za serca, myśl wszystkich odmienia, studzi gniewy, zapala potrzebę jedzenia”. „Jeść! jeść!” — odpowiedź: „Pić! pić!”. „Armija na furażowanie”.

Gerwazy, „odparty od pokojów Sędziego” przez wartę Hrabiego, kieruje swój pęd na drugi cel: chce zalegalizować zdobycie zamku. Łapie Protazego za kołnierz, wlecze na dziedziniec i mierzy Scyzorykiem: „Panie Woźny, pan Hrabia śmie waćpana prosić, abyś raczył przed szlachtą bracią wnet ogłosić intromisyją Hrabi do zamku, do dworu Sopliców, do wsi, gruntów... *cum gais, boris et graniciebus, kmetonibus, scultetis, et omnibus rebus et quibusdam aliis*. Jak tam wiesz, tak szczekaj, nic nie opuszczaj!”. Protazy ostrzega z palestrancką precyzją: „akt nie będzie miał mocy, wymuszony przez gwałty, ogłoszony w nocy”. Gerwazy: „Scyzorykiem skrzesam ognia, że waszeci zaraz w ślepiach jak w siedmiu kościołach zaświeci”. Woźny, zręczny: „Woźny jest posłem prawa, a posłów nie karzą”, obiecuje akt — wchodzi na „stos wielki belek... wlaź na nie i zarazem jakby go wiatr zdmuchnął, zniknął z oczu. Słyszano, jak w kapustę buchnął”; po konopiach „jego biała konfederatka niby gołąb przeleciała”. Konewka strzelił w czapkę, ale chybił; Protazy z chmielu jeszcze zawołał: „Protestuję!” — „ostatni strzał działa” zdobytych wałów. Komiczna ostatnia obrona urzędu pisanego, którego nie da się zmusić.

Po protestacji rozpoczyna się grabież. Kropiciel w oborze „jednego wołu i dwa cielce w łby zakropił”, Brzytewka „szable w gardzielach utopił”, Szydełko „kabany i prosięta koląc pod łopatki”. Czujne gęsi, „które niegdyś ocaliło Rzym przed Galów zdradą”, „darmo gęga o pomoc; zamiast Manlijusza, wpada w kotuch Konewka, jedno ptaki zdusza, a drugie żywcem wiąże do pasa kontusza”; biegnie „osypany iskrzącym się puchem... skrzydlatym złym duchem”. W kurniku „rzeź najstraszniejsza, chociaż najmniej krzyku”: młody Sak ze stryczkami „dusi i składa do kupy” piękne kury „karmione perłowymi krupy”. Narrator komentuje gorzko: „niebaczny Saku, jakież zapal cię unosi! Nigdy już odtąd gniewnej nie przebłagasz Zosi” — to ten sam Sak, który po Zosi szlochał w Dobrzynie.

Gerwazy „przypomina starodawne czasy”: „od kontuszów pasy” dobywa z piwnicy beczki siwuchy, dębniaku i piwa. Tłum przenosi je do zamku — „założona główna Hrabiego kwatera”. „Nakładają sto ognisk”, gnie się stoły, „trunek płynie rzeką”; szlachta chce „noc tę przepić, przejeść i prześpiewać”, lecz oko za okiem gaśnie i „każdy, gdzie siedział, tam pada: ten z misą, ten nad kotłem, ten przy wołu ćwierci. Tak zwycięzców zwyciężył w końcu sen, brat śmierci”.

Księga IX — Bitwa

Sen tak twardy, że nie budzi pijanych „blask latarek i wniście kilkudziesięciu ludzi, którzy wpadli na szlachtę jak pająki ściennie, nazwane *kosarzami*, na muchy wpółsenne”. W Soplicowie zjawili się — niezauważeni — Moskale. „Sen szlachecki był jeszcze twardszy niż sen muszy; żaden nie bżyka, leżą wszyscy jak bez duszy”, choć ich „silnymi rękoma” przewracają „jak na przewiąsłach słoma”.

Tylko Konewka, „któremu w powiecie nie znajdziesz równie mocnej głowy”, „przemknął jedno oko” — i „widzi... istne zmory! Dwie okropne twarze tuż nad sobą, a każda ma wąsów po parze, dyszą nad nim, ust jego tykają wąsami”. Chce się przeżegnać, lecz prawa ręka „jak gdyby do boku przybita”; lewą czuje, że „duchy spowiły go ciasno jako niemowlę w pieluchy”. „Złakł się jeszcze okropniej, oko zawiera, leży nie dysząc, stygnie, ledwie nie umiera!”. Dopiero Kropiciel zerwał się — „już był skrępowany we swym własnym pasie” — i „padł na piersi sennych, po głowach się toczył, miotał się jako szczupak, gdy się w piasku rzuca, a ryczał jako niedźwiedź”. Ryczał „Zdrada!”; cała zbudzona gromada chórem: „Zdrada! gwałtu! zdrada!”. W sali zwierciadlanej, gdzie spali Hrabia, Gerwazy i dżokeje, Klucznik budzi się „związany w kij do swego własnego rapiera”; widzi przy oknie „ludzi uzbrojonych, w czarnych krótkich kaszkietach, w mundurach zielonych” — Moskale pod wodzą oficera „opasanego szarfą, trzymającego szpadę”. Szepczą „Wiąż! wiąż!”. Dżokeje leżą „w pętach”; Hrabia siedzi „bezbронny” pod bagnetami. „Moskale!!!”. Klucznik próbuje uwolnić się starą sztuką — wciąga dech, „brzuch i piersi ścisnął co najwężej”, potem „kurczy, wydyma się, pręży”: z długiego „stał się krótki, gruby” jak wąż. Powrozy „rozciągnęły się, nawet skrzypnęły, ale nie pękły!”; „w ziemię schowawszy twarz gniewną, zamknąwszy oczy, leżał nieczuły jak drewno”.

Bębny apelowe; oficer każe Hrabiego z dżokejami zamknąć pod strażą w sali, szlachtę wieść na dwór. Sztab we dworze; przy nim „zbrojnej szlachty wiele: Podhajscy, Birbaszowie, Hreczechy, Biergele, wszyscy Sędziego krewni albo przyjaciele; na odsiecz mu przybiegli słysząc o napadzie, zwłaszcza, że z Dobrzyńskimi byli z dawna w zwadzie”. Narrator zostawia bez odpowiedzi zasadnicze pytanie: „Kto z wiosek batalijon Moskalów sprowadził? Kto tak prędko sąsiedztwo z zaścianków zgromadził? Asesor li, czy Jankiel? Różnie słyhać o tem, lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas, ni potem”.

Słońce wschodzi „krwawo się czerwieni” — „jak rozżarzona w węglach kowalskich podkowa”; wiatr i deszcz na przemiany. Major każe wlec belki spod dworu, „w każdej belce wysiekać toporem półokrągłe otwory” i wsadzać w nie nogi więźniów: „oba drewna, gwoździami przebite po rogach, ścisnęły się jako psie paszczęki na nogach”. Ręce sznurowane na plecach, „pierwej pozdzierano z głów konfederatki, z pleców płaszcze, kontusze, nawet taratutki, nawet żupany”. Szlachta „skuta w kłodzie siedziała rzędem, dzwoniąc zębami na chłodzie”. „Nadaremnie Kropiciel dąsa się i miota”.

Sędzia, Telimena, Zosia wnoszą instancję. Rotny oficer, „kapitan Nikita Ryków, Moskal, lecz dobry człowiek”, da się ułagodzić; ale dowodzi nim major Płut. Następuje portret kapitalny: „Major, Polak rodem z miasteczka Dzierowicz, nazywał się (jak słyhać) po polsku Płutowicz, lecz przechrzcił się; łotr wielki, jak się zwykle dzieje z Polakiem, który w carskiej służbie zmoskwicieje”. Stoi z fajką, „w boki się podpierał i gdy mu kłaniano się, nos w górę zadzierał, a za odpowiedź, na znak gniewnego humoru, wypuścił z ust kłęb dymu”. Ryków proponuje rozsądny układ: „pan Sędzia Majorowi musi trud nagrodzić, my powiemy że my tu przyszli dla wizyty, a tak i kozy całe i wilk będzie syty”. Sypie ruskimi przysłowiami: „wszystko można, lecz ostrożnie; sobie piecz na carskim rożnie; lepsza zgoda od niezgody, zaplątaj dobrze węzeł, końce wsadź do wody. Bóg dał ręce żeby brać”.

Płut wybucha: „Czy ty oszalał, Ryków? To służba cesarska: a służba nie jest drużba!”. Wspomina osobistą krzywdę: „ten sam Dobrzyński, co siedzi w surducie, w roku przeszłym na reducie zaczął ze mną tę kłótnię”; gdy on tańczył mazura, Dobrzyński „krzyknął: »Precz za drzwi złodzieja!«” — bo Płut „za pułkowej okradzenie kasy” siedział pod śledztwem. „Mówilem: »Ej, Dobrzyński! przyjdzie do woza koza« — a co, Dobrzyński? widzisz: będzie łoża!”. Sędziemu szepcze do ucha: „za każdą głowę tysiąc rubelków gotówką: tysiąc rubelków Sędzio, to ostatnie słówko”. Sędzia targuje, Płut nie słucha, „biegał po izbie, dymem gęsto buchał, podobny do szmermelu albo do rakiety”. Sędzia argumentuje statutem: „nie zaszła żadna bitwa krwawa... za to wedle statutu zapłacą nawiązki”. Płut zbywa: „Księga lepsza niż wasze statuty, a w niej pisze co słowo: stryczek, Sybir, knuty; księga ustaw wojennych, teraz w Litwie całej ogłoszonych: już pod stół wasze trybunały!”. Sędzia: „apeluję do gubernatora!” — „choćby do Imperatora: gdy zatwierdza ukazy, z łaski swej często karę powiększa dwa razy”. Płut dodaje, że gotów wziąć i samego Sędziego, bo „Jankiel, szpieg, jest twoim domownikiem”.

Spór się zaostrza, gdy na dziedziniec wjeżdża dziwna procesja. Przodem „niby laufer, bieży ogromny czarny baran” z czterema rogami, z których dwa „kręcą się koło uszu, ubrane we dzwonki”, a dwa „wstrząsają kulki krągłe, mosiężne, brzęczące”. Za nim woły, owce, kozy, cztery „ciężko pakowane wozy”. Wjazd kwestarski. Sędzia staje w progu. Na pierwszej bryce ksiądz z kapturem na pół zasłaniającym lice; mijając więźniów, zwrócił się i „palcem na znak skinął”: to Robak. Drugą bryką jedzie „za chłopą przebrany” Maciek-Rózczecka. Szlachta zaczęła krzyczeć — on tylko rzekł: „Głupi!” i ręką zalecił milczenie. Trzecia bryka: Prusak; czwarta:

„pan Zan z Mickiewiczem" (autorska sygnatura wśród spiskowców). Pozostali Podhajscy, Isajewicze, Birbaszowie, Wilbikowie, Biergiele, Kotwicze, widząc szlachtę „Dobrzyńskich w tej ciężkiej niewoli, zaczęli z dawnych gniewów ostygąć powoli: bo szlachta polska, chociaż niezmiernie kłótniwa i porywcza do bitew, przecież nie jest mściwa". Biegną do Maćka; on ustawia gromadę przy wozach: „czekać".

Robak wchodzi do pokoju całkowicie odmieniony — „głowę wzniosł do góry, z miną rozjaśnioną, jak kwestarz rubacha". Wybuchą śmiechem: „Cha, cha, cha, kłaniam! Wyśmienicie, przednie! Panowie oficerzy, kto poluje we dnie, wy w nocy! Dobry połów: widziałem zwierzynę; oj skubać, skubać szlachtę, oj drzeć z nich łupinę! Winszuję ci Majorze, żeś złowił Hrabika: to bogacz; nie wypuszczaj go z klatki bez trzysta dukatów. A jak weźmiesz, na klasztor daj jakie trzy grosze". Improwizuje moralizatorską parodię Baki: „dobrze napisał Baka, że śmierć dźga za katy w szkarłaty, i po suknie nieraz dobrze stuknie, i po płótnie tak utnie jak i po kapturze, i po fryzurze równie jak i po mundurze. Śmierć matula, powiada Baka, jak cebula, łyzy wyciska, gdy ściska, a równie przytula i dziecko co się lula, i zucha co hula! Ach, Majorze, dzisiaj żyjem, jutro gnijem, to tylko nasze, co dziś zjemy i wypijem!". I prosi Sędziego o śniadanie: „gdyby zrazów? gdyby wazę dobrego ponczyku?".

Plut i Ryków „tak czynnie zaczęli się zwijać, tak łakomie połykać i gęsto zapijać, że w pół godziny zjedli dwadzieścia trzy zrazy i wychylili ponczu ogromne pół wazy". Major „syty i wesół w krzesle się rozwalął, dobył fajkę, biletem bankowym zapalił" (gest pijackiej rozrzutności) i obraca się do kobiet: „lubię was jak wety! Gdy człek zjadł śniadanie, najlepszą jest po zrazach zakąską gadanie z paniami. Grajmy w karty? Albo pójdźmy mazurka? Wszak ja w jegerskim pułku pierwszy mazurzysta!". Robak podsuwa szept: „daj Sędzio beczkę spirytusu" — by „jegry zmarzli" zaczęli pić na dworze. „Tak, kiedy we dworze sztab wesoły łyka, za domem zaczęła się w wojsku pijatyka". Wszystko, łącznie z entuzjazmem Robaka, jest kalkulacją.

Plut chwyta Telimenę za rękę; ucieka — więc Zosię. Każe Rykowowi ująć gitarę („precz fajka, wszak ty dobrze grasz na bałabajce") i ogłasza siebie „pierwszym mazurzystą drugiej armii, korpusu dziewiątego, drugiej pieszej dywizji, pułku pięćdziesiątego jegerskiego". „Póddże panienko! nie bądź taka narowista! Bo ja po oficersku ukarzę panienkę..." — chwyta Telimenę i „szerokim całusem w blade ramię klasnął".

W tej chwili „Tadeusz, przypadłszy z boku, w twarz mu trzasnął. I całus, i policzek ozwały się razem, jeden za drugim, jako wyraz za wyrazem". Z gestu Robaka, który dobywa „z rękawa krócić", widać teraz, jak misternie ułożona była cała kwestarska kapitulacja: kapitalna scena tańca była tylko zapalonym lontem. „Pal, Tadeuszu! pal jak w jasną świecę!" — Tadeusz wyrwał krócić i wypalił: „chybił, ale Majora zgłuszył i osmalił". Ryków z gitarą: „Bunt!" — Wojski „nóż na odlew" puszcza w powietrze, „uderzył w dno gitary, na wylot ją wierci"; Ryków schyla się i ucieka. „Z drugiej strony izby wpada szlachty wiele przez okna, z rapierami,

Rózcza na czele" — Maciek z Dobrzyńskimi wpada do walki, a księgi IX bitwy wybucha na dobre w następnym chunku.

Bitwa rozgorzała w pełnej skali. W sieni Maciek z Rózczą wyczekał, aż przez drzwi wsunie się trójka kaszkietów z bagnetami; ciął tak okropnie, że zdarł je z głów, a żelazne ramki spadły z brękiem na bagnety — Moskale cofnęli się na dziedziniec. Tam sierżant bagnetem przebił Podhajskiego, ranił dwóch innych szlachciców i strzelił do trzeciego — przy kłodzie Chrzciciela. Ten miał już ręce wolne; uniósł zwiniętą w kłęb pięść i z góry uderzył Rosjanina tak, że wbił mu twarz w zamek karabina; trzasł kurek, lecz proch zalany krwią nie spalił. Chrzyciel chwycił karabin za rurę i, wijąc nim „jak kropidłem”, młynkiem powalił dwóch szeregowych po ramionach i kaprała w głowę — szlachtę u kłody nakrył „ruchomym dachem”. Rozbito kłodę, rozcięto powrozy; uwolnieni wpadli na kwestarskie wozy i rozchwycili rapiery, pałasze, kosy, strzelby. Konewka znalazł dwa szturmaki i worek kul — jeden naładował dla siebie, drugi ustąpił Sakowi.

Walka wręcz mieszała szyki: szlachta nie mogła ciąć krzyżową sztuką, jegry nie mogły strzelać — łamały się bagnety o szable, kosy o gwery, pięść spotykała pięść. Ryków z częścią piechoty cofnął się pod stodołę, daremnie krzycząc „Stroj się!"; komendy nie słychać było w zgiełku.

Maciek, niezdolny do ręcznych zapasów, „rejterował się”, utrzymując wokół siebie wolny plac: końcem szabli ścierał bagnety z rur „jako knot ze świecy” lub ścinał na odlew. Najuparciej naparł na niego stary Gifrejter, instruktor pułku i mistrz na bagnety — kurczył się, podskakiwał, suwał bronią „jak żądło z węzowej paszczęki”. Maciek udał chwiejnego, jakby pijanego, włożył lewą ręką okulary na nos, prawą trzymał rękojeść Rózgi tuż przy piersiach. Gifrejter, pewny wygranej, wyciągnął się do pchnięcia tak gwałtownie, że stracił równowagę; Maciek podbił bagnet w górę, ciął Moskała w rękę, a na odlew przeciął szczękę. Padł „fechmistrz najpierwszy z Moskalów, kawaler trzech krzyżyków i czterech medalów”.

Na lewym skrzydle Chrzyciel i Brzytwa kosili razem „jako machina, którą niemieccy majstrowie wymyślili” — młockarnia i sieczkarnia w jednym, jeden tnie z góry, drugi z dołu. Lecz Chrzyciel porzucił pewne zwycięstwo i pobiegł na prawe skrzydło, gdy zobaczył, że Proporszczyk z szpontonem (dzidą-siekierą) ranił Maćka i już składa się do drugiego cięcia. Nie zdążył dobiec — z odległości okręcił karabin i cisnął wrogowi pod nogi; skruszył kość, Proporszczyk osunął się, szlachta wpadła na niego. Sam Chrzyciel zapłacił za pomoc niemal życiem: dwóch silnych Moskali chwyciło go z tyłu za włosy i ciągnęło „jako liny sprężyste, uwiązane do masztu wiciny”. Krzyknął: „Jezus Maryja! Scyzoryku!”. Gerwazy odwrócił się i spuścił płytkie ostrze między głowę Chrzciciela a ręce Moskali. Cofnęli się z przeraźliwym krzykiem; jedna ręka, „mocniej wpłątana we włosy, została się wisząca i krwią buchająca”. Narrator porównuje to do orlika, który jedną szponę wbił w zająca, a drugą zaczepił o drzewo: zając, targnąwszy się, „orła wpół rozszepi” — prawa szpona zostaje w lesie, lewą zakrwawioną zwierz wyciąga na pola. Sak przyniósł ojcu jego ulubione Kropidło — „sążniowate drzewo

uzbrojone w krzemienie i guzy", którego nikt nie podźwignął prócz Chrzciciela. Ten je „chwycił, ucałował, z radości podskoczył, zakręcił nad głową i zaraz ubroczył”.

Co dalej dokazał, narrator zostawia bez opisu — porównuje do wileńskiej kobiety stojącej na szczycie Ostrej Bramy, która widziała, jak mieszczanin Czarnobacki zabił moskiewskiego generała Dejowa i zniósł cały pułk kozacki, a nikt jej nie wierzył. Bilans starcia w tłumie: dwudziestu trzech jęgrów zabitych, ponad trzydziestu rannych, wielu uciekło w sad, w chmiele, nad rzekę albo pod opiekę kobiet we dworze.

Zwycięska szlachta rzuciła się do beczek i łupów; jeden Robak triumfu nie podzielał. Sam, jako ksiądz, nie walczył („bronią kanony Księdzu bić się”), lecz obchodził plac, zachęcał, doradzał. Wezwał teraz, by dokończyć Rykowa, i posłał propozycję: jeśli złoży broń, zachowa życie. Ryków nie prosił pardonu — zebrał pół batalionu pod parkanem ogrodu, krzyknął „Za broń! Cel! Ognia kolejną!” i odpalił salwę za salwą; cały szereg „zdaje się być ruchomym płazem, który tysiąc błyszczących nóg wywija razem”. Pijani jegry chybiali, ale dwóch Maciejów zranili, jeden z Bartłomiejów padł. Szlachta z rzadkich rusznic odpowiadała słabo; gdy chciała ruszyć z szablami, starsi wstrzymywali — kule już dzwoniły o szyby dworu.

Tadeusz, dotąd pilnujący z rozkazu stryja kobiet, wybiegł z domu; za nim Podkomorzy z karabelą, którą wreszcie przyniósł Tomasz. Stanął na czele i poprowadził szlachtę naprzód. Jegry przepuścili ich i sygneli gradem kul: padł Isajewicz, padł Wilbik, raniony Brzytewka. Robak i Maciej wstrzymali rozpęd — szlachta cofnęła się. Ryków zarządził atak na sztyki: szereg z rurami wytkniętymi „jak tyki” ruszył przez pół dziedzińca, kapitan szpada wskazał drzwi i krzyknął: „Sędzio! poddaj się, bo dwór spalić każę!”. Sędzia odpowiedział: „Pal — ja cię w tym ogniu usmażę”.

Narrator wzdycha do dworu Soplicowskiego: „Pewnie tam piją często za Konewki zdrowie; bez niego już by było dziś po Soplicowie”. Konewka dał dotąd małe dowody męstwa — uwolniony z kłody, znalazł swój szturmak, lecz „nie chciał bić się na czezo”: poszedł do kufy spirytusu i pił „ręką jak łyżką”. Rozgrzany i nasypyany prochem, „nurkując pomiędzy trawami gęstemi”, podpełzł do pokrzyw na środku dziedzińca i gestem przywołał Saka. Sak, broniący dworu z szturmakiem u proga, „bo w tym dworze mieszkała jego Zosia droga” (od której choć w zalotach był pogardzony, kochał ją zawsze i gotów był zginąć dla jej obrony), podbiegł do ojca. Gdy szereg jęgrów wkraczał w pokrzywę, Konewka palnął z garłacza „tuzin kul rozsiekanych”, Sak drugi tuzin — szereg zwinął się w kłęb, cofnął, zostawił rannych; Chrzciel ich dobił.

Ryków, bojąc się długiego odwrotu, skoczył pod parkan ogrodu i zmienił szyk: z jednego szeregu uformował trójkąt z ostrym klinem do przodu i bokami opartymi o parkan. Dobrze zrobił, bo właśnie spod zamku natarła jazda Hrabiego. Hrabia, gdy strażnicy uciekli, wsadził dworzan na konie i poprowadził ich w ogień „sam na czele z żelazem nad głowę wzniesionem”. Ryków krzyknął: „Ognia pół batalijonem!”. Z trzystu rur świsnęły kule. Padł koń Hrabiego, sam

Hrabia leżał na ziemi; jegry brali na cel „ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli”. Klucznik biegł na ratunek, lecz pierwszy dopadł Robak — zakrył Hrabiego własnym ciałem, dostał za niego postrzał, wydobył spod konia i wyprowadził z linii ognia. To scena domykająca koło winy: człowiek, który całe życie pokutuje za zabicie Stolnika, własnym ciałem zasłania jego prawnuka — strzał wymierzony w ostatniego Horeszkę trafia w Jacka Soplicę. Robak nakazał szlachcie rozproszyć się, kryć za płotami, studniami i ścianami obory, mierzyć dokładnie i nie tracić strzałów; Hrabia z jazdą ma czekać sposobniejszej pory.

Plan podjął Tadeusz. Stał za drewnianą studnią — trzeźwy, dobry strzelec, „mógł trafić do rzuconej w powietrze złotówki” — i zaczął wybijać starszyznę. Pierwszym strzałem zwał feldfebra, kolejnymi dwóch sierżantów; mierzył w galony i w środek trójkąta, gdzie stał sztab. Ryków wpadł w gniew, tupał, gryzł rękojeść szpady i krzyczał do Płuta: „Wkrótce tu nie zostanie nikt z nas przy komendzie!”. Płut wezwał Tadeusza wielkim głosem: „Panie Polak, wstydź się pan, chować się za drzewem; nie bądź tchórz, wyjdź na środek, bij się honorowie, po żołniersku” — wyzwanie na pojedynek, na które Tadeusz właśnie zaczyna odpowiadać, gdy chunk się urywa.

Tadeusz odrzekł wyzwaniem krzykiem: „A czegoż ty się chowasz za jegrów kołnierzem? Nie tchórzę ja przed tobą: wynidź no zza płotów; dostałeś w twarz, jam przecie bić się z tobą gotów!”. Zaproponował broń od działa do szpilki — pistolet albo szpadę — albo zagroził: „wystrzelam was jako w jamie wilki”. Mówiąc, wystrzelił i tak celnie, że tuż obok Rykova położył porucznika. Ryków szepnął wtedy do Majora, by sam wyszedł i pomścił hańbę, bo jeśli kto inny zabije szlachcica, Płut „hańby swej nie zmyje”; przypomniał Suworowowskie „co puka, to nie sztuka, to wolę co kole”. Płut się wykręcił: „Ty jesteś zuch na szpady, wyjdź ty bracie Ryków” — major, dowódca batalionu, nie może opuścić żołnierzy. Tchórzostwo majora ujawnia się w pełni; cały rosyjski kodeks honoru zostaje u niego rozmieniony na strzał z zasadzki za cztery srebrne ruble. Ryków podniósł szpadę, wyszedł sam, kazał wstrzymać ogień i machnął białą chustką. Po krótkich układach zgodzono się na szpady. Tadeusz nie miał broni — kiedy szukano szpady, wpadł Hrabia w pełnym uzbrojeniu i zerwał układy: zgłosił dawniejszą urazę do kapitana, który wpadł „na czele złodziejów” do zamku „naszego” (Protazy poprawił: nie „mego” lecz „naszego”) i wiązał jego dżokejów; ukarze go tak, jak ukarał był rozbójników pod skałą zwaną przez Sycyljan Birbante-rokko. Wojska po obu stronach uciszyły się, ciekawe widoku. Hrabia i Ryków stanęli bokiem, z prawą ręką i prawym okiem grożąc sobie, a lewymi rękami uchylili kapeluszy i pokłonili się grzecznie — obyczaj honorowy, by przed zabójstwem najpierw się przywitać. Szpady zgrzytnęły, obaj skakali na przemian w przód i w tył, przyklękając na prawe kolano.

Tymczasem Płut naradzał się po cichu z gifrejterem Gontem, najlepszym strzelcem w rocie: „Jeśli mu wsadzisz kulę tam pod piątym żebrzem, dostaniesz ode mnie cztery ruble srebrem”. Gont, zasłonięty płaszczami towarzyszy, wymierzył nie w żebro, ale w głowę Tadeusza — i trafił

„blisko, w środek kapelusza”. Tadeusz okrzyknął się; Kropiciel z krzykiem „zdrada!” rzucił się na Rykova, lecz Tadeusz osłonił przeciwnika własnym ciałem i Ryków zdołał rejterować w środek swoich szyków. Pojedynek honorowy załamał się przez podstęp majora, ale Tadeusz, nawet ranniony w kapelusz, ocalił rycerski układ i nie pozwolił zabić bezbronnego przeciwnika.

Z nowym impetem ruszyli Dobrzyńscy razem z Litwą; pomimo wcześniejszej niezgody dwóch stronnictw, dziś walczyli „jak bracia”, jeden drugiego zachęcając. Gdy Podhajski wykręcał się przed szeregiem jegrów i kosą ich krajał, Dobrzyńscy krzyknęli: „Niech żyją Podhaje! Naprzód bracia Litwini, górą, górą Litwa!”. Skołubowie, widząc rannego Brzytwę lecącego z szablą w górze, odpowiedzieli: „Górą Maćki, niech żyją Mazury!”. Stary spór mazursko-litewski, który dotąd kładł cień na sąsiedzkich biesiadach, w boju z Moskałem zostaje wreszcie zatarty — wzajemna zachęta dwóch szlacheckich rodów to drugi cud zgody tego dnia.

Gdy szlachta nacierała na jegrów od czoła, Wojski opuścił plac i wraz z ostrożnym Protazym ruszył przez ogród. Tam, pod samym parkanem, o który Ryków oparł swój trójkąt, stała wielka stara sernica — drewniana kratownica z belek wiązanych na krzyż, podobna do klatki, na trzy i pół sążnia szerokości, wsparta u dołu na jednym wielkim dębowym słupie „niby gniazdo bocianie”. W jej wnętrzu świeciły kopy białych serów i wahały się suszone snopy szalwii, benedyktów, kardów i macierzanki — cała zielna apteka Wojszczanki. Słup, do połowy wygniły, pochylał się od dawna; Sędzia, namawiany do rozebrania budowli, odpowiadał, że woli poprawiać niż rozrzucać, i kazał postawić dwie podpory, odkładając naprawę „do sposobnej pory”. Pochylona kratka wystawała teraz dokładnie nad trójkątem rosyjskiej rotmistrzówki. Wojski wparł długi drąg w spróchniały wierzch słupa, drugi Woźny; za nimi ochmistrzynie z konopi i mały, lecz silny kuchcik. Wisząc u końców drągów, pchali z całej siły — „jako flisy uwięzłą na rapach wicinę długimi drągami z brzegu pędzą na głębiny”. Słup trzasnął i sernica runęła z brzemieniem drzew i serów na trójkąt Moskali: „Leżą drwa, trupy, sery białe jako śniegi, krwią i mózgiem splamione”. Trójkąt prysł na sztuki — grzmi Kropidło, błyska Brzytwa, sieje Różga, od bram puszcza jazdę Hrabia. Cała ekonomia gospodarska Soplicowa, którą Sędzia kazał podpierać zamiast rozbierać, zostaje obrócona w broń: zaniedbany słup, ser, suszone zioła, drąg flisaka — to rekwizyty rolniczej codzienności, którymi szlachta dobija regularne wojsko. Mickiewicz nadaje sernicy wartość metafory: cały dwór, lekko spróchniały i wsparty na podpórkach, w ostatniej godzinie ujawnia, że jego wnętrzności mogą jeszcze raz zabić.

Ośmiu jegrów z sierżantem broniło się jeszcze do końca. Klucznik runął na nich z wzniesionym Syczorykiem; dziewięć rur wymierzyło wprost w jego głowę. Robak zabiegł mu drogę i sam padł, podbijając Gerwazemu nogę — obaj upadli akurat w chwili, gdy pluton dał ognia. Ołów prześwisnął nad nimi; Gerwazy wstał, wskoczył w dym, dwóm jegrom zaraz ściał głowy, resztę zagnał do otwartego gumna, wpadł na ich karkach do środka i zniknął w ciemności. Słychać było jeszcze jęk, wrzask i gęste razy, potem cisza. Klucznik wyszedł sam, „z mieczem

krwawym". Książd Robak, padając w samą porę, drugi już raz tego dnia odwrócił los Klucznika — najpierw wstrzymał jego rękę nad związanym Hrabią w karczmie, teraz zbił go z linii salwy plutonu.

Ryków sam jeden krzyczał, że broni nie złoży, i bił się dalej. Podkomorzy podszedł doń, wzniosł karabelę i przemówił poważnie: „Kapitanie! nie splamisz czci twojej pardonem. Dałeś próby, rycerzu nieszczęsny lecz mężny, twojej odwagi: porzuć opór niedołączny, złóż broń, nim cię naszymi szablami rozbroim; zachowasz życie i cześć, jesteś więźniem moim!”. Ryków, zwalczony powagą Podkomorzego, uklonił się i oddał szpadę „skrwawioną po rękojeść”. Rzekł: „Lachy braty! Oj biada mnie, żem nie miał choć jednej armaty! Dobrze mówił Suworów: pomnij Ryków kamrat, żebyś nigdy na Lachów nie chodził bez armat! Cóż! jegry byli pijani, Major pić pozwolił! Och major Płut, on dzisiaj bardzo poswywolił! On odpowie przed carem, bo on miał komendę. Ja, panie Podkomorzy, wasz przyjaciel będę”. Przytoczył ruskie przysłowie: kto się mocno lubi, ten mocno się czubi — „Wy dobrzy do wypitki, dobrzy do wybitki, ale przestańcie robić nad jegrami zbytki”. Mickiewicz wprowadza w ten sposób postać Moskala-rycerza odwzorowaną wedle suworowskiego kodeksu honoru: Ryków przegrał, ale zachował twarz, a winę wałą oba stronnictwa na pijanego Płuta. Podkomorzy ogłosił przez Woźnego pardon powszechny, kazał opatrzyć rannych, oczyścić plac z trupów, jegrów rozbrojonych odprowadzić w niewolę. Płuta szukano długo — leżał głęboko zaryty w pokrzywach jak nieżywy, wyszedł sam dopiero po bitwie.

Narrator zamyka tu cały wątek bitewny jednym z najczęściej cytowanych zdań poematu: „Taki miał koniec zajazd ostatni na Litwie”. Sąsiedzki najazd zbrojny, instytucja staropolskiego prawa zwyczajowego (jeden ze szlachty wprasza się siłą na cudzy grunt i przejmuje go), w zwrocie klęski Hrabiego pod zamkiem i kontrataku jegrów przekształcił się — niemal mimo woli uczestników — w pierwszy akt powstańczy: szlachta litewska, którą Robak miał właśnie pobudzić do regularnej wojny u boku Napoleona, zamiast tego rozprawiła się z rosyjską rotą stojącą na jej własnym dziedzińcu. Dla Mickiewicza to ostatni — w sensie ostatniego w łańcuchu dziejowym, koniec epoki — i zarazem nieostateczny: zajazd kończy się, ale wojna dopiero teraz może się otwarcie zacząć.

Księga X — Emigracja. Jacek

Owe poranne obłoki, zrazu rozpierzchnięte jak czarne ptaki w wysoką stronę nieba, coraz się zgromadzały. Ledwie słońce zbiegło z południa, stado obłoków obieгло już pół nieba ogromną chmurą. Wiatr ją pędził chyżej, chmura gęstniała i zwieszała się niżej, aż jedną stroną oddarta od nieba, wychylona ku ziemi i wszecz rozpostarta, jak wielki żagiel biorący w siebie wszystkie wiatry, popłynęła od południa na zachód. Powietrze zatrzymało się głuche, jakby z trwogi oniemiało. Łany zbóż, które dotąd kładły się na ziemię i znów trzęsły kłosami złotymi „jak fale”,

teraz stały nieruchomo, najeżywszy słomę i patrząc w niebo. Zielone wierzby i topole, które przedtem były czołem jak płaczki przy grobie, rozpuszczając na wiatry „warkocz posrebrzony”, stały teraz „z niemej wyrazem żałoby, na kształt posągów sypilskiej Nijoby”. Jedna osina drżąca trzęsła siwymi liśćmi.

Bydło, zwykle leniwe do powrotu, samo tłumnie zbiegało się do domu i opuszczało paszę. Buhaj orał racicą ziemię, kopał rogiem, straszył trzodę „ryczeniem złowrogim”; krowa wznosiła wielkie oko ku niebu, rozdziawiała usta z dziwu i głęboko wzdychała; a wieprz w tyle marudził i kradł snopki na zapas. Ptastwo skryło się w lasy, w strzechy, w głąb traw; tylko wrony obstały stadami stawy, przechadzały się poważnym krokiem, wytknąwszy z gardzieli języki, rozłożywszy skrzydła — czekały kąpieli; ale i one w końcu ciągnęły w las, „podobne wznoszącej się chmurze”. Ostatnia, najuzuchwalsza, jaskółka przeszła czarny obłok jak strzała i spadła „jak kula”. Mickiewicz dla każdego stworzenia osobno notuje, co robi przed burzą — buduje z bydła i ptactwa wielką, kosmiczną wróżbę chwili, w której świat ludzki, akurat skończywszy ostatnią bitwę, milknie wraz z całym swoim zwierzęcym dworem.

Właśnie wtedy szlachta z Moskwą okropną walkę zakończyła i chroniła się gromadnie do domów i stodół, zostawiając plac na zmaganie żywiołów. Na zachodzie ziemia jeszcze świeciła „żółtawo-czerwono”, lecz chmura roztaczała cienie na kształt sieci i gonila słońce, „jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem”. Kilka wichrów świsnęło spodem, miecąc krople „wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste”. Nagle wichry zwarły się w poły, jak zapaśnicy, świszczącymi kołami krążyły po stawach, mąciły wodę do dna, wpadały w łąki, świszczały po łozach. Z roli wydarł się trzeci wichor „jak słup czarnoziem”, wzniósł się i toczył jak ruchoma piramida, „łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy” — ogromną trąbą obtrąbił burzę i z całym chaosem słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy uderzył w las, gdzie wichry „ryknęły jak niedźwiedzie”. Deszcz lunął jak z sita, krople zlały się w „proste struny”, którymi niebiosy wiązały się do ziemi, to znów chlustały warstami „jak z wiader”. Niebo i ziemia zakryły się; noc z burzą czarniejszą od nocy zaciemniała wszystko. Widnokrąg pękał od końca do końca, „anioł burzy, na kształt niezmiernego słońca”, rozświecił twarz i znów, okryty całunem, uciekał w niebo, zatraskując piorunem drzwi chmur. Burza wzbierała i cichła trzy razy, aż uspokoiło się wszystko — tylko drzewa szumiały i szemrała ulewa.

Tym razem nawałnica była błogosławieństwem. „Pożądany był czas najburzliwszy” — burza zalała drogi, zerwała mosty na rzece i ze Soplicowa zrobiła niedostępną fortecę. Wieść o starciu z rosyjską rotą nie mogła rozejść się po okolicy, a właśnie od tej tajemnicy zależał los uczestników zajazdu. Burza jest tu czymś więcej niż romantycznym tłem: jest osłoną Opatrzności rozpiętą nad konspiracją, zamykającą plac boju przed światem, a zarazem znakiem rzezi dziejowej, która ma dopiero nadejść — wielka chmura ze wschodu na zachód to ten sam ruch, którym za kilka miesięcy ruszy wojsko Napoleona przez Niemen.

W izbie Sędziego toczyły się ważne narady. Bernardyn, blady, zmordowany i skrwawiony, leżał w łóżku, lecz całkiem przytomny na umyśle: dawał rozkazy, Sędzia ściśle je wypełniał. Robak prosił Podkomorzego, przywołał Klucznika, kazał przyprowadzić Rykova i zamknął drzwi. Godzinę całą trwały tajemne rozmowy. Przerwał je sam Ryków, rzuciwszy na stół ciężką dukatami kiesę: „Państwo Lachy, już jest ta gadka między wami, że każdy Moskal złodziej: powiedźcież, kto spyta, że znaliście Moskala, który zwan Nikita Nikitycz Ryków,rotny kapitan”. Wymienił całą swoją kartę — osiem medalów i trzy krzyże: za Oczaków, za Izmań, za Nowi, za Prejsiż-Ilów, za „sławną rejteradę” Korsakowa spod Zurychu — szpadę za męstwo, trzy zadowolenia od feldmarszałka, dwie pochwały cesarskie, cztery wspomnienia, „wszystko na piśmie”. Robak przerwał: „Co tedy się z nami stanie, jeśli nie chcesz zgodzić się? Wszakże dałeś słowo załatwić tę rzecz”. Ryków: „Prawda, słowo dam na nowo. Co po waszej zgubie? Ja człek pocziwy, ja was państwo Lachy lubię, że wy ludzie weseli, dobrzy do wypitki, i także ludzie śmiali, dobrzy do wybitki”. Przytaczał ruskie przysłowie: kto na wozie jedzie, bywa pod wozem; dziś bijesz, jutro ciebie biją — „tak u nas po żołniersku żyją”. Raz puściwszy się w opowieść żołnierską, Ryków sam sobie tłumaczy, dlaczego nie ma się gniewać o przegraną: pod Oczakowem walka była krwawa, pod Zurychem zbili rosyjską piechotę, pod Austerlitzem stracił całą rotę, a wcześniej „wasz Kościuszko” pod Racławicami wysiekl kosami jego pluton, kiedy on sam służył jeszcze sierżantem — „i cóż stąd?”, odgryza się; „to ja znowu u Maciejowic zabiłem własnym sztykiem dwóch dzielnych szlachciców”, w tym Mokronowskiego, idącego z kosą przed frontem, który chwilę przedtem uciął kanonierowi rękę z lontem. Pointą tego rachunku zysków i strat jest formuła brzmiąca w ustach prostodusznego kapitana niemal programowo: „Co nam do Lachów? Niechaj Moskwa dla Moskala, Polska dla Lacha; ale cóż? car nie pozwala!”. Sędzia, dziękując mu za pocziwość, próbuje wcisnąć kapitanowi kiesę z dukatami „wiedząc, żeś człek niebogaty”; Ryków odpycha pieniądze, zrzuca winę za bitwę na Płuta („On komendant, on za to przed carem odpowie”) i obiecuje wziąć śledztwo na siebie: zezna, że Moskałe przyszli z wizytą, pili, tańczyli, „trochę sobie podchmielili”, a Płut przypadkiem zakomenderował ognia. Jeden warunek — „trzeba mu głowę zatkać bankowym papierem” — sprowadza rozmowę do Gerwazego. Klucznik poglądził łysinę, niedbale machnął ręką „jak gdyby przecinał dalszą rozmowę” i klnąc się Scyzorykiem oznajmił: „Płut nie wyda! gadać już nie będzie z nikim!”; potem palcami chrząsnął, „jak gdyby tajemnicę całą z rąk wytrząsnął”. Ten ciemny gest pojęli wszyscy — przez parę minut trwało posępne milczenie, aż Ryków zwięźle podsumował staropolskim przysłowiem: „Nosił wilk, ponieśli i wilka!”, a Podkomorzy dorzucił: „Requiescat in pace!”. Sędzia tłumaczył się: „Lecz ja tej krwi nie winien, jam o tym nie wiedział”, lecz Ksiądz Robak porwał się z poduszek i bystro patrząc na Klucznika gromko upomniął: „Wielki grzech bezbronnego zabić niewolnika! Chrystus zabrania mścić się nawet i nad wrogiem! Oj Kluczniku! odpowiesz ty ciężko przed Bogiem”. Po chwili dorzucił jednak swoiście jezuicką restrykcję — kto zabija nie z prywatnej zemsty, ale „pro publico bono”, ten może liczyć na pewną pobłażliwość niebios. Gerwazy łapczywie uchwycił się tej formuły: „Pro publico bono!” — mrugał i powtarzał, jak gdyby właśnie otrzymał odpust. Mickiewicz znalazł tu

zarazem niski humor i poważny niepokój moralny: stary horeszkowski sługa wykonał wyrok prywatny na bezbronnym jeńcu, ale tłumaczy go interesem wspólnym — i ksiądz, sam ranny śmiertelnie, jednym i tym samym oddechem potępia i częściowo rozgrzesza. Płut tymczasem znika — „nazajutrz daremnie go szukano we dworze, daremnie wyznaczano za trupa nagrodę”; Klucznik, milczący Wojski (związany słowem honorowym) i nikt inny nie wyjawia już tej historii.

Następnym punktem narady jest los samych powstańców. Podkomorzy, wybrany na sędziwego rzecznika, mówi szlachcie „bez ogródki”, że z tych „niewczesnych bojów” wyjdą złe skutki: zbłądził Robak, „że zbyt czynnie rozszerzał nowiny”, zbłądzili Klucznik i szlachta, „że je pojęła opacznie”, a wojna z Rosją „jeszcze nieprędko się zacznie”. Konkluzja jest praktyczna — kto miał największy udział w bitwie, musi uciekać do Księstwa Warszawskiego: Maciej-Chrzciciel, Tadeusz, Konewka i Brzytwa „niech unoszą głowy za Niemen, gdzie ich czeka zastęp narodowy”; resztę szlachty da się ocalić, zwalając winę na nieobecnych i na zabitego Płuta. Sędzia ma im zgotować drogę, Robak dołoży, ile zdoła, pieniędzy. Mickiewicz zatrzymuje tu na chwilę narrację i wpisuje w usta narratora jedną ze swoich najsłynniejszych formuł o polskim losie: „Polak, chociaż stąd między narodami słynny, / Że bardziej niżli życie kocha kraj rodzinny, / Gotów zawždy rzucić go, puścić się w kraj świata, / W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata”, póki w tej tułaczce świeci mu nadzieja, „że Ojczyźnie służy” — jest to wpisana wprost w fabułę autobiograficzna formuła paryskiego emigranta. Szlachta godzi się natychmiast i z westchnieniem; jedyną zwłokę próbuje wprowadzić pan Buchman, „człowiek rozsądny”, który „w bitwę się nie wmieszał, ale słysząc, że radzą, głosować pośpieszał”: uznał projekt za dobry, ale chciał najpierw „legalnie wyznaczyć komisję”, która rozważyłaby „emigracji cele, środki, sposoby, tudzież innych względów wiele”. Krótkość czasu nie pozwala Buchmanowskiej proceduralności wziąć góry nad praktyczną decyzją — szlachta śpiesznie żegna się i rusza w drogę.

Sędzia zatrzymuje jednak Tadeusza i odwołuje na bok Robaka, żeby poruszyć drugą sprawę, której „z pewnością wczoraj się dowiedział” — że bratanek „szczerze zakochany w Zosi”. Telimena już nie przeszkadza, Zosia „także się z wolą opiekunów zgadza”; jeśli nie da się dziś zawrzeć ślubu, to przynajmniej należałoby parę zaręczyć „przed odjazdem; bo serce młode i podrózne (...) miewa tentacyje różne”. „Wielką siłę ma ślubna obrączka” — mówi Sędzia i, dla wagi, opowiada własną historię: trzydzieści lat temu kochał pannę Martę Hreczeszanę, córkę Wojskiego, byli zaręczeni, lecz „Bóg nie błogosławił związkowi temu” i zabrał ją „do chwały swojej”; jemu została „pamiątka jej cnoty (...) i ten oto ślubny pierścień złoty”, przez który nieboga „stawała przed oczyma”, tak że Sędzia „dotąd mej narzeczonej dochowałem wiary, i nie bywszy małżonkiem, jestem wdowiec stary” — choć Wojski ma drugą córkę, „do mojej kochanej Marty dość podobną!”. Spojrzał z czułością na pierścionek i „odwróconą ręką łyzy z oczu ocierał”. W tej dyskretniej, prawie komicznej scenie Mickiewicz każe staremu kawalerowi tłumaczyć potrzebę zaręczynowej obrączki własnym, niezrealizowanym narzeczeństwem — to

zarazem chwila prywatnej, nigdy dotąd niewyznanej boleści Sędziego i moralny argument za małżeństwem Tadeusza.

Tadeusz odpowiada jednak ze wzruszeniem i odmawia. Byłby „najszczęśliwszy z ludzi”, gdyby Zosia „była dzisiaj zaręczona”, ale „dziś, te zaręczyny do skutku przyjść nie mogą; są różne przyczyny...” — przyczyny, których nie chce wyłożyć. Prosi tylko, by Zosia raczyła poczekać: „może mnie wkrótce lepszym, godniejszym obaczy, może stałością na jej wzajemność zarobię, może troszeczką sławy me imię ozdobię”; nie chce więc jej woli ani prosić o wzajemność, „na którą nie zasłużył”. „Zaświeciły mu, jako dwie wielkie jagody pereł, dwie łzy na wielkich błękitnych źrenicach”. Niedopowiedzianą „różną przyczyną” jest oczywiście dopiero co objawiona historia jego ojca: chłopiec, który właśnie dowiedział się, że jest synem mordercy Stolnika, nie chce wchodzić w rodzinę Horeszków przez prostą realizację planu Jacka; honor każe mu najpierw zarobić sobie własnym czynem na to nazwisko, a dopiero potem wrócić po Zosię. Tę scenę z ukrycia, „przez szczelinę”, słyszy sama Zosia w głębi alkowy: po raz pierwszy w życiu posłyszała „z ust młodziana dziwną i wielką nowość: że była kochana”. Nie rozumie, „dlaczego ją pokochał? dlaczego porzuca? gdzie odjeżdża?”, ale wybiega po małym domowym ołtarzyku obrazek św. Genowefy i relikwiarz „z suknią świętego Józefa, oblubieńca, patrona zaręczonej młodzi”, po czym wręcza je Tadeuszowi: „Niechaj pan zawsze z sobą relikwiej nosi i ten obrazek, a niech pamięta o Zosi”. Przy całej dziecięcej formie tego pożegnania — oczki spuszczone, łzy „jako brylantami” — jest to faktyczne, sakralizowane zaręczenie: dziewczyna podaje narzeczonemu patrona zaręczonych, a chłopiec, całując jej rękę, nie może już nic więcej powiedzieć poza samym imieniem: „Zofijo!...”.

W tym właśnie momencie wchodzi Hrabia z Telimeną i niespodziewanie scenę pożegnania Tadeusza i Zosi obracają w równoległą rezygnację Hrabiego z miłości. Hrabia, zawsze sentymentalny i operowy, dostrzega w niej własny temat — „jak łódź z okrętem w burzy”, „czas (...) tylko małą świecę zdmuchnie, / Wielki pożar od wiatru tym mocniej wybuchnie” — i z tych rozważań wyciąga przeciwny wniosek: nie zostanie kochankiem, „będę bohaterem”. Oświadcza Telimienie, że chciał już dziś „u ołtarzów Hymena zapalić płomienie”, lecz „zbyt piękny przykład” dał mu Tadeusz, „sam dobrowolnie ślubny swój zrywając wieniec”; „dziś otwiera się nowa i dla mnie epoka! Brzmiała odgłosem broni mej Birbante-rokka: oby ten odgłos równie w Polsce się rozszerzył!”. Sędzia próbuje go zatrzymać — „szlachtę biedną rząd mógłby odrzeć i przechłostać, ale ty Hrabio pewien jesteś cały zostać”, wystarczy ci wykupić się „połową intraty” — lecz Hrabia odpowiada wzniośle: „to niezgodna z moim charakterem!”. Robak ucina sentymenty żołnierskim rachunkiem: jedź, „weź pieniądze, możesz usztyftować rotę / Jak Włodzimierz Potocki, co Francuzów zdziwił dając na skarb milijon, / Jak księżę Radziwiłł Dominik, co zastawił dobra swe i sprzęty / I dwa uzbroił nowe konne regimenty”. Telimena, „smutnymi rzuciwszy oczyma”, godzi się z *fait accompli*, lecz dba o symbol: odrywa od sukni wstążkę, robi z niej kokardę i przypina Hrabiemu na piersi — „Niech cię ten kolor wiedzie na działa ogniste, na kopije błyszczące i deszcze siarczyste”, a po zwycięstwie, „i wtenczas jeszcze

oko zwróć do tej kokardy". Hrabia przykłęka i całuje jej rękę — tym samym gestem, którym Tadeusz przed chwilą pożegnał Zosię. Mickiewicz każe więc dwóm parom w jednej izbie odegrać tę samą scenę rozstania, ale w dwóch zupełnie różnych tonacjach: u Tadeusza jest to milczenie, niedopowiedzenie i naprawdę przeżyte zaręczenie sakralne, u Hrabiego — sentymentalny, operowy popis na wojnę, którą widzi jeszcze przede wszystkim jako oprawę dla swojej legendy.

Tadeusz wraca po raz ostatni do izby chorego: ze łzami obejmuje stryja i całuje Robaka w rękę. Bernardyn przyciska skroń chłopca do swojej piersi, krzyżem kładzie mu dłonie na głowie, spogląda ku niebu i wyszeptuje tylko: „Synu! z Panem Bogiem!” — i sam zapłakał. Kiedy Tadeusz przekracza próg, oszołomiony Sędzia dziwi się, że Robak nawet teraz „nic mu (...) nie powie i (...) nie dowie o niczym przed odjazdem”. Robak, kryjąc twarz w dłoniach, odpowiada zdaniem, w którym zaciska się całe sterowanie jego życiem od trzydziestu lat: „I po cóż by miał wiedzieć biedny, że ma ojca, który się skrył przed światem jak łotr, jak zaboja? Bóg widzi, jak pragnąłbym: ale z tej pociechy zrobię Bogu ofiarę za me dawne grzechy”. Tadeusz odjeżdża, nie wiedząc, kim jest pożegnany przez niego mnich; ojcostwo Jacka pozostaje aktem zaparcia się ojca przed synem, świadomie złożonym Bogu jako ostatnia pokuta.

Gdy chłopiec znika za progiem, Sędzia próbuje wziąć się za sprawy praktyczne: w wieku i chorobie Robaka emigracja jest niemożliwa, więc trzeba go gdzieś ukryć — może najlepiej w puszczy, w chacie leśnika? Robak ucina te plany i daje cichy znak, że do jutra rana ma jeszcze inną pracę: prosi posłać po plebana z wiatykiem, oddalić wszystkich i zostać sam — tylko z Sędzią i z Klucznikiem. Drzwi zamknięto. Sędzia siada na łóżku, Gerwazy staje obok, łokieć oparłszy na głowni rapiera, czoło pochyliwszy na dłoniach. Robak długo milczy, wzrok utkwivszy w twarzy Klucznika; narrator porównuje go do chirurga, który „naprzód miękką rękę składa na ciele chorującym, nim ostrzem raz zada” — łagodzi przedtem ostry błysk własnych oczu, jak gdyby chciał ślepym ciosem uderzyć. Wreszcie zasłania oczy ręką i mocnym głosem oznajmia: „Jam jest Jacek Soplica...”.

Na to słowo Klucznik błędnie, pochyla się, „ciała połową wygięty naprzód”, zwisa na jednej nodze „jak głaz lecący z góry zatrzymany w drodze”, oczy roztwierając, usta szeroko rozszerzając, „grożąc białymi zębami, a wąsy najeżał”; upuszczony rapier zatrzymuje kolanami, prawą ręką chwyta za głownię i ciska nią, tak że długi czarny koniec chwieje się za nim. Mickiewicz oddaje całą sylwetkę starego mściciela jednym porównaniem: Klucznik jest jak „rys ranny”, który ma skoczyć z drzewa w oczy myśliwemu — kłębi się, mruczy, „krwawe ślepie wyiskrza, wąsy rusza i ogonem trzepie”. Robak nie próbuje uciekać i nie tłumaczy się powagą stanu duchownego: „Panie Rębajło — rzekł ksiądz — już mię nie zatrwożą gniewy ludzkie, bo jestem już pod ręką Bożą”. Zaklina go „na imię Tego, co świat zbawił i na krzyżu zabójcom swoim błogosławił”, aby się udobruchał i wysłuchał cierpliwie spowiedzi: „Sam przyznałem się: muszę dla ulgi sumienia pozyskać, a przynajmniej prosić przebaczenia: posłuchaj mej

spowiedzi; potem zrobisz sobie ze mną, co zechcesz" — i składa ręce „jak do pacierza". Klucznik cofa się zdumiony, bije się ręką w czoło, ruszając ramionami; nie wybacz, ale pozwala mówić. Wcześniej, w opowieści Gerwazego z Księgi II i w późniejszej narracji, Jacek był tylko „onym Soplicą" — postacią widzianą z zewnątrz, mordercą Stolnika. Tu, naprzeciw najbardziej zawziętego ze swoich wrogów, na łożu śmierci, sam podejmuje opowiedzenie tej samej historii ze środka — i to staje się główną substancją Księgi X.

Spowiedź zaczyna od dawnej zażyłości z Horeszką, miłości do jego córki i wynikających stąd zatargów. Mówi nieporządnie, „często mieszał skargi i żale we swą spowiedź", urywając rzecz, jak gdyby już ją kończył, i znowu zaczynając; Klucznik, znając dzieje Horeszków dokładnie, w pamięci porządkuje wszystko i dopełnia, czego Jacek nie domawia — Sędzia natomiast wielu rzeczy „zgoła nie rozumiał". Najpierw obraz tego, jak Stolnik go wabił: zapraszał na biesiady, wnaszał zdrowie, krzyczał ze szklanicą w górze, „że nie miał przyjaciela nad Jacka Soplicę", ścisnął go publicznie, „wszyscy, którzy to widzieli, myśleli, że on ze mną duszą się podzieli". Tymczasem szeptano po okolicy: „daremnie konkurujesz: dygnitarskie progi za wysokie na Jacka podczaszyca nogi". Jacek dla pozorów wzruszał ramionami i drwił z arystokratów, mówiąc, że bywa u nich z przyjaźni, a za żonę „pojmę, tylko równą sobie" — ale „bodły mi duszę do żywca te żarty". Tu wybucha дума rodowa: w kraju, gdzie „szlachcic urodzony jest zarówno z panami kandydat korony", Tęczyński „niegdyś z królewskiego domu żądał córy, a król mu oddał ją bez sromu" — i zaszczyty Sopliców, „krwią, herbem, wierną służbą Rzeczypospolitej", w niczym nie są pośledniejsze. Z tej dumy bierze się gorzkie, retoryczne pytanie, w którym streszcza się cała tragedia: „Jak łatwo może człowiek popsuć szczęście drugim w jednej chwili, a życiem nie naprawi długim! Jedno słowo Stolnika: jakże byśmy byli szczęśliwi!" — może i on żyłby do dziś przy córce, zięciu i wnukach, a tymczasem „nas zgubił oboje i sam... i to zabójstwo... i wszystkie następstwa tej zbrodni". I od razu drugie, równoległe wyznanie sumienia: „Ja skarżyć nie mam prawa: ja jego morderca, ja skarżyć nie mam prawa: przebaczam mu z serca, ale i on...".

„Ale i on..." — i tu zaczyna się oskarżenie Stolnika, które jest sercem całej spowiedzi i wytrąca z rąk Gerwazego prostą wersję wydarzeń, jakiej Klucznik bronił przez trzydzieści lat. Gdyby Stolnik raz otwarcie zrekuizował Jacka, „to kto wie? może bym odjechał, pogniewał się, połajał, w końcu go zaniechał"; ale starzec, „chytrze dumny, wpadł na concept nowy" — udawał, że konkurom Jacka „nie przyszło (...) nawet do głowy", i przyjmował go dalej jak dawniej. A robił to, bo był mu potrzebny: Jacek miał „zachowanie u szlachty", więc Stolnik niby nic nie widział, a nawet nalegał, by częściej przyjeżdżał; gdy zaś samotrzeć widział oczy Jacka „przyćmione łzami i pierś zbyt pełną i już wybuchnąć gotową", „chytry starzec, wnet wrzucił obojętne słowo o procesach, sejmikach, łowach". Ileż razy przy kieliszkach, „gdy mię tak ścisnął i o przyjaźni zapewniał, potrzebując mej szabli lub kreski na sejmie", Jacek musiał odpowiadać na uściski uściskiem, a w środku „złość wrzała, że ja obracałem ślinę w gębie, a dłonią rękojeść ścisnąłem, chcąc plunąć na tę przyjaźń i wnet szabli dostać". Mickiewicz każe więc zauważyć rzecz, której

prosty hagiograf Horeszków, czyli Gerwazy, nigdy nie powiedział: zażyłość Stolnika z Jackiem była instrumentalna, opierała się na świadomym wykorzystywaniu jego stronnictwa szlacheckiego — i to instrumentalizacja tego przyjaciela, ostatecznie odmówiona po cichu, jest pierwszym ogniwem łańcucha winy. Hamulcem był jedynie wzrok Ewy: „taki anielski”, „taki uprzejmy”, „tak pogodny” — był to „gołąbek łagodny”, który spojrzeniem błagającym i bladnącym licem zgadywał, co dzieje się w Jacku, i sprawiał, że „zawadyjaka sławny w Litwie całej” milczał „jak owieczka, jak gdybym Sanktissimum ujrzał”. Jacek nieraz chciał otworzyć serce, prosić Stolnika o rękę Ewy, ale „spojrzawszy mu w oczy, spotkawszy wejrzenia zimne jak lód, wstyd mi było mojego wzruszenia”; uciekał wtedy „jak najzimniej dyskurować o sprawach, o sejmikach, a nawet żartować” — z pychy, „żeby nie ubliżyć imieniowi Sopliców, żeby się nie zniżyć przed panem prośbą prózną, nie dostać odmowy”, bo „jakież by to były między szlachtą mowy, gdyby wiedziano, że ja Jacek... Soplicy Horeszkowie odmówili dziewczkę! Że mnie, Jackowi, czarną podano polewkę!”. W końcu — i tu Mickiewicz pokazuje, jak dumna paranoja zaczyna sterować życiem Jacka — postanowił zebrać ze szlachty mały pułk i zaciągnąć się na Moskwę albo na Tatarszczyznę, a jadąc — pożegnać Stolnika z nadzieją, że „starzec się poruszy i pokaże mi przecież trochę ludzkiej duszy jak ślimak rogów”. Ewa, słysząc o odjeździe, „pobladła, bez przytomności, ledwie że trupem nie padła”, aż „rzuciły się jej strumieniem łzy — poznałem, jak byłem jej miły!”. Jacek pierwszy raz w życiu zalał się łzami „z radości i z rozpacz”, już zamierzał paść Stolnikowi do nóg, „wić się jak wąż u kolan, wołać: »Ojcie drogi, weź za syna lub zabij!«” — ale „posepny, zimny jako słup soli, grzeczny, obojętny” Stolnik dokładnie w tej chwili wszczął rozmowę, której Jacek nigdy nie zapomniał: „Panie Soplica, właśnie przyjechał do mnie swat kasztelanica; ty jesteś mój przyjaciel, cóż ty mówisz na to? (...) A kasztelan — witebski! Wszakże to w senacie niskie, drążkowe krzesło. Cóż mi radzisz, bracie?”. Pytanie o opinię w sprawie kasztelanica witebskiego jako konkurenta do ręki Ewy — zadane samemu konkurentowi, którego się sekretnie odprawia — jest dla Jacka ostatecznym świadomym upokorzeniem. „Nie pamiętam już zgola co mu na to rzekłem, podobno nic — na konia wsiadłem i uciekłem”.

Klucznik nie daje się jednak rozbroić tłumaczeniem: „Jacku! mądre ty przyczyny wynajdujesz: cóż? one nie zmniejszą twej winy!” — bo zdarzało się, że ktoś z miłości do pańskiego dziecka „starał się gwałtem zdobyć, przemyślał wykradać, mścił się otwarcie — ale tak chytrze śmierć zadać, panu polskiemu, w Polszcze — i w zмовie z Moskałem!”. Tu Jacek pierwszy raz w spowiedzi wprost zaprzecza utrwalonej legendzie i robi to z żalem: „Nie byłem w zмовie”. Mickiewicz każe mu też po kolei wytrącić Klucznikowi z ręki dwie alternatywy, których ten domagał się przez trzydzieści lat. Porwanie gwałtem — owszem, byłoby możliwe: „mógłbym: zza krat i zza klamek wydarłbym ją, rozbiłbym w puch ten jego zamek! Miałem za sobą Dobrzyn i cztery zaścianki!"; ale Ewa nie była, jak nasze szlachcianki, „silna i zdrowa”, nie zniosłaby ucieczki i pogoni — „był to robaczek motyli, wiosenna gąsiennica! i tak ją zagrabić, dotknąć ją zbrojną ręką, byłoby ją zabić; nie mogłem, nie”. I drugie: zemsta otwarta, zwalenie zamku

szturmem? „Wstyd!... bo by powiedziano, że mścił się rekuzy!”. To zdanie zawiera klucz do całej Księgi: Jacka nie tyle złamała sama odmowa, ile świadomość, jak będzie ona widziana publicznie — duma rodowa, którą Klucznik bagatelizuje, „nie umie uczuć, ile jest piekła w obrażonej dumie”. Pozostał trzeci pomysł, który nazywa wprost „lepszym planem szatana dumy”: zemścić się krwawo, ale powód zemsty taić, „nie bywać w zamku, miłość z serca wykorzeń, puścić w niepamięć Ewę, z inną się ożenić, a potem, potem jaką wynaleźć zaczepkę, pomścić się...”. I tu pojawia się jedno z najbardziej dramatycznych wyznań poematu, nigdy dotąd otwarcie wypowiedziane — geneza małżeństwa Jacka. Wmówiwszy sobie, że serce już zmienione, ożenił się „z pierwszą, którą napotkał, dziewczyną ubogą”. Mickiewicz każe Jackowi natychmiast dodać moralną etykietę temu posunięciu: „Żłem zrobił — jakże byłem ukarany srogo! Nie kochałem jej. Biedna matka Tadeusza najprzywiązańsza do mnie, najpocziwsza dusza — ale jam dawną miłość i złość w sercu dusił”. Z tej decyzji wynika cała degradacja: „byłem jako szalony, darmo siebie musiał zająć się gospodarstwem albo interesem”; „zemsty opętany biesem”, znalazł pociechę tylko w wódce — „zacząłem pić”. Niedługo „żona ma z żalu umarła, zostawiwszy to dziecię” — Tadeusza — „a mnie rozpacz żarła”. Wyznanie wraca do Ewy: „Jakże mocno musiałem kochać tę niebogę, tyle lat! (...) zawsze jej postać kochana stoi mi przed oczyma jakby malowana; piłem, nie mogłem zapisać pamięci na chwilę, ani pozbyć się, chociaż przebiegłem ziem tyle!”. Mickiewicz pozwala mu się zatrzymać i sam siebie zganić: „w tej chwili, o tych rzeczach mówić? Bóg wybaczy” — bo ważniejsze jest to, „w jakim żalu i rozpacz popełniłem...”, i tu Jacek znów urywa, podsuwając czytelnikowi resztę zdania.

Reszta — czyli sama zbrodnia, której Klucznik był świadkiem z drugiej strony — ma jeszcze tylko punkt zapalny i kontekst społeczny. Zaręczyny Ewy z Wojewodą stały się publicznym wydarzeniem: gadano, że „gdy brała obrączkę z rąk Wojewody, mdlała, że wpadła w gorączkę, że ma początki suchot, że ustawnie szlocha; zgadywano, że kogoś potajemnie kocha”. Stolnik tymczasem „jak zawsze spokojny, wesoły, dawał na zamku bale, zbierał przyjaciół”; Jacka już nie zapraszał — „na cóż byłem mu potrzebny?”. Nowy obraz, na którym Jacek się zatrzymuje, jest portretem własnego społecznego upadku: „mój bezład w domu, bieda, mój nałóg haniebny, podały mnie na wzgardę i na śmiech przed światem! Mnie, com niegdyś, rzecz mogę, trząsał całym powiatem! Mnie, którego Radziwiłł nazywał: kochanku! Mnie, com kiedy wyjeżdżał z mojego zaścianku, to liczniejszy dwór miałem niżeli książęcy, kiedy szablę dostawał, to kilka tysięcy szabel błyszczało wkoło, strasząc zamki pańskie! A potem ze mnie śmiały się dzieci włościańskie! Tak zrobiłem się nagle w oczach ludzkich lichy! Jacek Soplica! — Kto zna co jest czucie pychy...”. Mickiewicz urywa rzecz w samym środku tego retorycznego pytania, zostawiając Klucznikowi i czytelnikowi dopisanie kolejnego ogniwa — ale do tej pory cała wewnętrzna mechanika wybuchu jest już rozłożona: chytrze odmówiona ręka córki, wstyd publicznej rekuzy, fałszywy ślub bez miłości, alkohol, samotność, plotki o suchotach Ewy i wreszcie towarzyski upadek dawnego „kochanku” Radziwiłła. Spowiedź zatrzymuje się tu — na

poziomie napięcia, z którego, jak wiadomo z opowieści Gerwazego w Księdze II, padnie strzał pod bramą oblężonego zamku.

Pytanie retoryczne, na którym się urywało — „Kto zna co jest czucie pychy...” — kończy się rozpoznaniem Jacka przez Klucznika. Gerwazy, słuchając, nagle składa fragmenty: „Prawda! prawda! Więc to ty? i tyżes to Jacku Soplico? pod kapturem? żyłeś po żebracku!”. Pamięta wąsała „zdrowego, rumianego, pięknego szlachcica”, przed którym „kobiety szalały”, strzelca „nad którego nie miała Litwa naszych” i szablistę „po Maćku pierwszego do pałasza”; przywołuje nawet popularną pieśń zaścianków — „Oto Jacek wąs kręci, trzęsą się zaścianki, a komu na swym wąsie węzełek zawiąże, ten zadrży, choćby to był sam Radziwiłł książę”. Domyśla się, dlaczego strzał do niedźwiedzia w mateczniku był tak doskonały: poznał strzelca po samej kuli. Rozpoznanie nie kasuje jednak przysięgi — Klucznik natychmiast dodaje, że „kto Horeszków krwi kroplę wysączył” bezkarnie ujść nie może, i że dotrzyma słowa.

Jacek na łożu kończy spowiedź — opowiadając SAMĄ ZBRODNIĘ z perspektywy sprawcy, czego do tej pory poemat nie pokazywał (znaliśmy ją tylko z wersji Gerwazego z Księgi II). Jeździł wokół zamku, gdy „ile biesów w głowie i w sercu” miał, „kto ich imiona wypowie”. Stolnik tymczasem hulał: „co dzień w zamku pijatyka, ile świec w oknach, jaka brzmi w salach muzyka!” — z tego obrazu rodzi się szatańska myśl: „I ten zamek na łysą głowę mu nie runie?”. Mickiewicz każe Jackowi powtórzyć formułę: „Pomyśl o zemście, to wnet szatan broń podsunie. Ledwie pomyślił: szatan nasyła Moskali”. Tu, in articulo mortis, Jacek po raz pierwszy WPROST oczyszcza się z najcięższego oskarżenia: „Bo fałsz, żebym był w jakiej z Moskalami zмовie” — nie sprowadził ich, zastał już oblegających. Stał z boku i patrzył; „zrazu z uśmiechem głupim, jak na pożar dziecko”, potem z „radością zbójceją”, że zamek zaraz spłonie, raz nawet przeszło mu przez głowę „skoczyć, ją ocalić, nawet Stolnika”. Gdy obrońcy zaczęli celnie strzelać i Moskale padali, „złość znowu porwała” go: „I także mu na świecie wszystko się powodzi? I z tej strasznej napaści z tryumfem wychodzi?”. Odjeżdżał już ze wstydem, gdy o świecie Stolnik wystąpił na ganek, „brylantową szpinką ku słońcu migotał, i wąs pokręcał dumnie, i wzrok dumny miotał” — Jackowi wydało się, że pan szczególnie jemu urąga, „że mnie poznał i ku mnie rękę tak wyciągał, szydząc i grożąc”. Chwycił karabin leżącego Moskala, „ledwie przyłożył, prawie nie mierzył — wypala!”. Następne zdanie ma wagę całego rachunku sumień Jacka: „Przeklęta broń ognista!... Kto mieczem zabija, musi składać się, natrzeć, odbija, wywija, może rozbroić wroga, miecz wpół drogi wstrzymać; ale ta broń ognista... dosyć zamek imać, chwila, jedna iskierka...” — broń palna jest narzędziem, które nie zostawia czasu na cofnięcie się z drogi pychy. Po strzale Jacek nie uciekał: stał, gdy Gerwazy mierzył w niego z góry, „rozpacz jakaś, żal dziwny do ziemi mnie przybił” — i z gorzką wyrzutą pyta dawnego pamiętnika: „czemuż? ach mój Gerwazy, czemuś wtenczas chybił? Łaskę byś zrobił!”.

Reakcja Klucznika jest punktem zwrotnym całej spowiedzi i — w skali poematu — punktem zwrotnym sporu Soplica/Horeszko. Bóg widzi, że trafić chciał: „ileż ty krwi wylałeś twoim

jednym strzałem, ileż klęsk spadło na nas i na twą rodzinę, a wszystko to przez waszą, panie Jacku, winę". Ale dziś, po nocnym zajeździe, sam widział co innego: gdy jegrzy mierzyli do Hrabiego, „ostatniego z Horeszków chociaż po kądzieli”, Jacek-Robak zasłonił go własną piersią, a gdy Moskal palił do Klucznika, „tyś mnie rzucił o ziemię: tak nas dwóch ocalił”. Gerwazy ogłasza decyzję, którą Mickiewicz przygotowywał już od matecznika: „bądź zdrów, więcej na waszym nie postanę progu — z nami kwita, — zostawmy resztę Panu Bogu”. Wyciągniętej ręki konającego jednak NIE PRZYJMUJE; cofa się, bo nie wolno mu „bez mego szlachestwa obraży dotykać ręki takim morderstwem skrwawionej z prywatnej zemsty, nie zaś pro publico bono”. To wąska furtka honoru: można darować, można nie mścić się dalej, ale dotknąć ręki zabójcy pana — tego stanowi honor szlachcica-sługi zabrania. Jacek na razie nie tłumaczy całej powikłanej drogi, na której ta „prywatna zemsta” stała się ofiarą publiczną — prosi tylko, by Klucznik został, bo „ja umrę tej nocy”.

Sędzia próbuje to bagatelizować — wszak rana niewielka — ale Robak, znający się na ranach, demaskuje sprawę: postrzał z dawnej bitwy „dostałem pod Jena”, źle zgojony; teraz „draśniono”, a w środku „gangrena”. „Patrz, jaka krew czarna, jak sadza. Co tu doktor? [...] Jutro czy dziś oddać duszę”. Świadomy, że spowiedź to ostatnia szansa rachunku, kończy bilans dwóch zdrad — politycznej i moralnej. Politycznej: nie był zdrajcą kraju, „przecież nie byłem zdrajcą”, lecz „imię zdrajcy przyłgnęło do mnie jako dzuma”: obywatele odwracali twarz, dawni przyjaciele uciekali, „nawet lada chłop, lada Żyd, choć się pokłonił, to mię zboku szyderskim przebijał uśmiechem”, a słowo „zdrajca” brzmiało w uszach „jako plama w chorym oku”. Moskwa „uważała gwałtem za stronnika”: dano Soplicom część dóbr nieboszczyka, a targowiczanie chcieli go „zaszczycić urzędem”. To miejsce jest dla biografii Jacka kluczowe — gdyby „chciał się przemoskwicić”, już byłby możny i bogaty, magnaty szukałyby jego względów, „nawet gmin, który swoim tak łącznie uwłacza, tym którzy Moskwie służą, szczęśliwszym — przebacza”. „Wiedziałem to, a przecież — nie mogłem”. Stąd ucieczka z kraju i decyzja moralna: „poprawić się potrzeba było i naprawić ile możliwości”. Trzy konkretne posunięcia tej naprawy Mickiewicz wylicza po kolei. Po pierwsze: dowiedziawszy się, że córka Stolnika („gdzieś w Sybir wywieziona, tam umarła młodo”) zostawiła w kraju córkę Zosię — „kazałem ją hodować” (a więc cała opieka nad Zosią to ukryta pokuta Jacka, nie dobroczynność Sopliców). Po drugie: pokora — „bardziej niżli z miłości, może z głupiej pychy, zabiłem; więc pokora... wszedłem między mnichy. Ja, niegdyś dumny z rodu, ja, com był junakiem, spuściłem głowę, kwestarz, zwałem się Robakiem, że jako robak w prochu” — tu dopiero, w spowiedzi, dostajemy etymologię zakonnego imienia, którą poemat przez dziesięć ksiąg zachowywał jako zagadkę. Po trzecie: „zły przykład dla ojczyzny, zachętę do zdrady trzeba było okupić dobrymi przykłady, krwią, poświęceniem się”. Spowiedź szyfruje resztę: „biłem się za kraj; gdzie? jak? zmilczę; nie dla chwały ziemskiej biegłem tylekroć na miecze, na strzały. Milej sobie wspominam nie dzieła waleczne i głośne, ale czyny ciche, użyteczne, i cierpienia, których nikt...”. Z tego niedopowiedzenia wyłania się cała druga biografia Robaka jako emisariusza: „udało mi się

nieraz do kraju przedzierać, rozkazy wodzów nosić, wiadomości zbierać, układać zmywy — znają i Galicyjanie ten kaptur mnisi — znają i Wielkopolanie!". Konkrety mówią same za siebie: „pracowałem przy taczkach rok w pruskiej fortecy; trzy razy Moskwa kijmi zraniła me plecy, raz już wiedli na Sybir; potem Austrijacy, w Szpilbergu zakopali mnie w lochach do pracy, w carcer durum... a Pan Bóg wybawił mnie cudem, i pozwolił umierać między swoim ludem z sakramentami". Cała ta sekwencja zamienia plotkę z początku poematu („nie zawsze w kapturze chodził", blizny, wojskowe gesty przy mszy) w pełną, ukrytą służbę publiczną — drugą stronę życia, którą Jacek mógł teraz, na łożu śmierci, w końcu nazwać.

Z tej kalkulacji wynika nawet rachunek samokrytyczny dotyczący ostatnich tygodni: „może i teraz, kto wie? mozem znowu zgrzeszył! Mozem nad rozkaz wodzów powstanie przyśpieszył! Ta myśl, że dom Sopliców pierwszy się uzbroi, że pierwszą Pogoń w Litwie zatkną krewni moi! Ta myśl... zdaje się czysta..." — Robak sam dopuszcza, że pycha rodowa, którą próbował zabić w sobie, może raz jeszcze poprowadziła go zbyt szybko (zajazd wybuchł przed czasem narady). Klucznikowi rzuca w tym świetle drugie, niemal liturgiczne uznanie winy i przebaczenia jednocześnie: „Chciałeś zemsty? masz! Boś ty był narzędziem kary Bożej, twoim Bóg mieczem rozciął me zamiary: tyś wątek spisku tyle lat snowany spletał! Cel wielki, który całe życie me zaprzętał, ostatnie moje ziemskie uczucie na świecie, którem tulił, hodował jak najmilsze dziecko, tyś zabił w oczach ojca — a jam ci przebaczył!". Powstanie miało być testamentem Jacka, Gerwazy je rozbił zajazdem — i Jacek nie tylko nie ma do niego pretensji, ale uznaje to za karę Bożą za własną pychę.

Klucznik nie zostawia tego bez odpowiedzi: „oby tylko równie Bóg przebaczyć raczył!" — i wreszcie, mając przed sobą spowiadającego się umierającego, wyjawia rzecz, której zataił przez trzydzieści lat. Gdy konał Stolnik, „klęcząc nad jego piersią pochylony i miecz maczając w ranę, zemstę zaprzysiągnął, Pan głowę wstrząsnął, rękę ku bramie wyciągnął w stronę, gdzie stałeś, i krzyż w powietrzu naznaczył; mówić nie mógł, lecz dał znak, że zbójcy przebaczył". Gerwazy zrozumiał ten gest natychmiast — „ale tak się z gniewu wściekłem, że o tym krzyżu nigdy i słowa nie rzekłem". KRZYŻ STOLNIKA jest sceną-kluczem dla całej fabuły zemsty: domyka spór trzech pokoleń, bo okazuje się, że ofiara już w chwili konania darowała mordercy. Trzy dekady fanatycznej zemsty Klucznika opierały się na zatajeniu tego jednego gestu; teraz, ujawniony, pozwala obu stronom umrzeć (lub żyć dalej) w pojednaniu.

Cierpienia urywają rozmowę; nastaje „długa godzina milczenia". Wjeżdża arendarz z listem od FISZERA, szefa sztabu armii polskiej pod księciem Józefem. Jacek brata prosi, by czytał głośno. List jest historyczną cezurą: „w cesarskim tajnym gabinecie stanęła wojna; cesarz już po całym świecie ogłasza ją, sejm walny w Warszawie zwołany, i skonfederowane mazowieckie stany wyrzekną uroczyste przyłączenie Litwy". Wojna Napoleona z Rosją 1812 jest faktem; przyłączenie Litwy do odradzającej się Rzeczypospolitej ogłosi sejm. Jacek odmawia cicho modlitwy, przyciska do piersi gromnicę, podnosi w niebo „zatłone nadzieją źrenice" i

wypowiada NUNC DIMITTIS — modlitwę Symeona: „Teraz, Panie, służę twego puść z pokojem!”. Cała pokuta — wychowanie Zosi, wstąpienie do zakonu, służba kurierska, kara fizyczna w pruskich i austriackich więzieniach — znajduje swój sens dokładnie w tej chwili: Jacek dożywa wieści, że Polska powstaje, więc może odejść. Pod progiem dzwoni dzwonek plebana z Najświętszym Sakramentem; wszyscy klękają. Mickiewicz domyka scenę obrazem hagiograficznym: „właśnie już noc schodziła i przez niebo mleczne, różowe, biegą pierwsze promyki słoneczne. Wpadły przez szyby jako strzały brylantowe, odbiły się na łożu o chorego głowę i ubrały mu złotem oblicze i skronie, że błyszczał jako święty w ognistej koronie”.

Księga XI — Rok 1812

Otwiera ją wielka apostrofa do roku 1812 — „o roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!”. Lud nazywa go „rokiem urodzaju”, żołnierz „rokiem wojny”; „dotąd lubią starzy o tobie bając, dotąd pieśń o tobie marzy”. Mickiewicz zbiera oznaki wróżbiarskie poprzedzające wkroczenie wojsk — Litwa od wiosny żyje przecuciem „dziwnym, jak przed świata końcem, jakimś oczekiwaniem tęsknem i radosnem”. Konkrety wzięte z gospodarskiego rytmu: bydło wygnane pierwszy raz na wiosnę nie biegnie na ruń, lecz kładzie się na rolę i, „schyliwszy głowy, ryczało albo żuło swój pokarm zimowy”; wieśniacy „ciągnący na jarzynę pługi” nie cieszą się z końca zimy, „pracują leniwo, jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo”, co krok wstrzymują woły i poglądają „z trwogą ku zachodniej stronie”, skąd ma „się objawić cud jaki”. Wracają ptaki, ale szybciej i tłumniej niż zwykle: bocian rozpina skrzydła na sośnie jako „wczesny sztandar wiosny”, jaskółki gromadzą się nad wodami, słysząc szept ciągnącej słomki, stada dzikich gęsi szumią nad lasem, żurawie jęczą w głębi nieba. Nocni stróże pytają, „jaka burza te ptaki tak wcześniej wygania”.

Następna metafora jest finezyjna: po stadach ptaków przychodzą stada żołnierzy, opisane tym samym językiem. „Oto nowe stada: jakby gilów, siewek i szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie: Konnica! Dziwne stroje, niewidziane bronie!”. Pułk za pułkiem; piechota „kute żelazem szeregi” płynie środkiem dróg „jak stopione śniegi”, z lasów czernią się czapki, „rzęd bagnetów błyska”, piechota roi się „jak mrowiska”. Wszyscy na północ. „Rzekłbyś, że w on czas z wyraju za ptastwem i lud ruszył do naszego kraju, pędzony niepojętą, instynktową mocą” — Wielka Armia Napoleona porównana z migracją z wyraju (rajskiej krainy zimowania ptaków) idącą do swojej północy. „Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą płyną; na niebie gorą tu i ówdzie łuny, ziemia drży, słysząc, biją stronami pioruny”.

„Wojna! wojna!” — nie było na Litwie takiego kąta puszczy, gdzie by jej huk nie doszedł. Mickiewicz pokazuje wojnę w skali kosmicznej: chłop z najgłębszych ostępów, który „innych na niebie nie rozumiał krzyków prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków, gości innych nie

widział oprócz spółleśników", teraz widzi „dziwną lunę" i słyszy łoskot — to zbłąkana z pola bitwy kula armatnia, „rwąc pnie, siekąc gałęzie", szuka dróg w lesie. Żubr, „brodacz sędziwy", zadrżał we mchu, najeżył grzywę, wstaje na przednich nogach i potrząsając brodą spogląda na „błyskające między łomem zgliszcze" — zbłąkany granat, który „kręci się, wre, świszcz" i pęka „jakby piorun"; żubr „pierwszy raz w życiu zląkł się i uciekł". Obraz puszczy, w której najstarsze i najpotężniejsze zwierzę Litwy ucieka po raz pierwszy, jest emblematyczny — wojna 1812 wkracza w sam głąb mateczników poematu. Młodzieńcy chwytają broń, kobiety wznoszą ręce do nieba, „wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami: »Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!«".

Apostrofa zamyka się prywatnym wyznaniem narratora — jednym z najbardziej znanych dystychów poematu: „urodzony w niewoli, okuty w powiciu, ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu". Soplicowo leży „tuż przy wielkiej drodze, którą od strony Niemna ciągnęli dwaj wodze" — i tu chunk się urywa, w samym progu nadejścia wojsk na Soplicowo.

Drogą od Niemna ciągną wojska: książe Józef i król westfalski Hieronim zajęli już część Litwy od Grodna po Słonim, gdy król każe dać żołnierzom trzy dni wytchnienia — a ci, mimo utrudzenia, skarżą się, że marszu im nie pozwala, tak radzi by co prędzej doścignąć Moskale. Główny sztab książęcy staje w pobliskim mieście, a w Soplicowie rozkłada się obóz czterdziestu tysięcy; przybywają z nim generałowie legionów: Dąbrowski, Kniaziewicz, Małachowski, Giedroń i Grabowski. Weszli późno, więc każdy zabiera kwaterę w zamku i we dworze, rozstawiono czaty i z nocą wszystko ucichło — widać już tylko błędzące patrole i ogniska obozowe, słyszeć kolejne hasła stanowisk.

Sen nie bierze jednego Wojskiego: nazajutrz ma wyprawić biesiadę, którą chce dom Sopliców „na wiek wieków wslawić", godną gości miłych sercom polskim i wielkiej uroczystości dnia, bo generał Dąbrowski zażyczył sobie „obiadu polskiego". Wojski zwołuje pięciu kucharzy z sąsiedztwa, sam gospodaruje w białym fartuchu i szlafmocy, z placką na muchy w jednej ręce, a w drugiej z otwartą księgą *Kucharz doskonały* — tą samą, podług której hrabia na Tęczyńie wydawał we Włoszech biesiady, którym dziwił się papież Urban VIII, a Karol „Panie Kochanku" Radziwiłł sprawił w Nieświeżu sławną ucztę dla króla Stanisława. Wre robota: pięćdziesiąt nożów tętni, kuchciki czarne jak szatany dmuchają w miechy, Wojski każe nawet lać stopione masło na drwa („zbytek dozwolony w dostatnim domu"), na rożnach pieką się combry dzicze, sarnie i jelenie, skubią się stosy ptactwa. Kur jednak niewiele — od czasu krwawej wyprawy Saka Dobrzyńskiego na kurnik Zosi Soplicowo nie zdążyło jeszcze odrodzić się w drobiu; zresztą mięs wszelakich dostatek, „rzekłbyś, ptasiego tylko nie dostaje mleka". W Soplicowie łączą się dwie rzeczy, których szuka hojny pan: dostatek i sztuka.

Wschodzi uroczysty dzień **Najświętszej Panny Kwietnej**, a Mickiewicz daje mu jeden z najśłynniejszych w poemacie obrazów wschodu słońca: niebo jako morze wiszące, gasnące perły gwiazd, niknące pióra Anioła Stróża spóźnionego nocną modlitwą, a wreszcie okrąg nieba

rozsuwający się jak szeroka powieka — z tęczą, żrenicą i promieniem, co wytryska jak złoty grot. Na to hasło dnia tysiąc rac krzyżuje się po niebie i wschodzi „oko słońca”, jeszcze senne, mrużące się i mieniające siedmią barw — szafir, rubin, topaz — aż rozlśniewa się jak kryształ, brylant, na koniec ogniste; „tak po nieźmiernym niebie szło samotne słońce”. Tego ranka mają się odbyć troje zaręczyn — święto zarazem kościelne i rodzinne.

Pospólstwo litewskie z całej okolicy zbiera się przed wschodem wokół kaplicy, „jak gdyby na ogłoszenie nowego cudu” — częścią z pobożności, częścią z ciekawości, bo na nabożeństwie mają być generałowie, owi sławni dowódcy legionów, których lud znał z imienia i czcił jak patronów, a których wyprawy i bitwy „były ewangeliją narodową Litwy”. Świątynia maleńka nie obejmie tłumu, więc lud klęka na trawie; włosy litewskie, białe i płowe, złocą się jak łan dojrzałego żyta, a kraśne główki dziewcząt w wiankach i pawich oczach wykwitają między nimi jak bławat i kąkol w zbożu. Na głos dzwonka wszystkie głowy chylą się jak kłosy na łanie; wieśniaczki niosą na ołtarz pierwszy dar wiosny, świeże snopki ziela, a poranny wietrzyk zrywa wianki i rozlewa wonie „jak z mszalnej kadzielnicy”.

Po mszy i kazaniu występuje przewodniczący zebraniu **Podkomorzy**, niedawno zgodnie obrany marszałkiem konfederackim powiatu, w mundurze województwa — złotem szytym żupanie, litym pasie, karabeli z głównią jaszczurową, brylantowej szpince i białej konfederatce z czaplim czubem, którego każde pióro kosztuje dukata. Wstąpiwszy na wzgórek przed kościołem, ogłasza ludowi wolność, którą cesarz-król przywraca Koronie, Księstwu Litewskiemu i całej Polsce, i zwołanie walnego sejmku — po czym przechodzi do sprawy rodziny Sopliców. Oto wielka rehabilitacja **Jacka Soplicy**: cała okolica pamięta, co zbroił nieboszczyk, lecz teraz czas ogłosić światu jego zasługi. Jacek nie umarł, jak głoszono, w Rzymie — odmienił dawne życie, stan i imię, a winy „przeciw Bogu i Ojczyźnie” zgładził żywotem świętym i wielkimi czynami. To on, zwany odtąd Robakiem, pod **Hohenlinden** wśród grotów i mieczy przeniósł od Kniaziewicza listy do generała Ryszpansa (Richepanse), gdy ten, nie wiedząc o nadciągającej odsieczy, zbierał się do odwrotu; to on w Hiszpanii, gdy ułani zdobywali oszańcowany grzbiet **Samosierry**, był obok Koziatulskiego dwukrotnie ranny; to on jako tajny wysłaniec biegał po kraju, „ducha ludzi badać” i wiązać towarzystwa tajemne; aż wreszcie, gotując powstanie w ojczystym Soplicowie, zginął na zajeździe. Wiadomość o jego śmierci nadeszła do Warszawy właśnie wtedy, gdy cesarz raczył nadać mu za bohaterskie czyny **kawalerski krzyż Legii Honorowej**.

Mocą władzy województwa i laski konfederackiej Podkomorzy ogłasza, że Jacek wierną służbą i cesarską łaską „zniósł infamiji plamę, powraca do cześci” i znów mieści się w rzędzie prawych patriotów; kto by śmiał wspomnieć jego zmarłej rodzinie o dawnej, już zgładzonej winie, podpadnie karze za rzucanie infamii — *gravis notæ maculæ* wedle Statutu — a że teraz jest równość, obowiązuje to równo szlachtę, mieszczan i kmieci. Wyrok pisarz wpisze w akta jeneralności, a Woźny obwieści. Co do spóźnionego krzyża Legii — „nic to sławie nie ubliża”:

jeśli nie mógł służyć Jackowi ku ozdobie, niech służy ku pamiątce. Podkomorzy wydobywa order z pokrowca i zawiesza na skromnym krzyżyku grobowca czerwoną kokardę i biały gwiazdzisty krzyż ze złotą koroną; promienie gwiazdy zajaśniały „jako ostatni odbłysek ziemskiej Jacka chwały”, a lud na klęczkach odmawia *Anioł Pański*, prosząc o wieczny pokój dla grzesznika. Sędzia obchodzi gości i gromadę, zapraszając wszystkich do Soplicowa na biesiadę.

Na przyzbie domu siadają dwaj pogodzeni starcy — Klucznik **Gerwazy** i Woźny **Protazy** — z dwoma półgarcami miodu u kolan, patrząc w sad, gdzie ułan stoi „jak słonecznik” przy dziewczynie „w sukience jak ruta”, a panny umyślnie odwracają głowy, by kochankom nie mieszać rozmowy. Częstując się tabaką z brzoźowej kory i powtarzając zgodnie „tak, tak, mój Protazeńku”, „tak, tak, mój Gerwazeńku”, toczą rozhowory o tym, że ich własny proces dziwnie się skończy — bo, jak wywodzi Protazy, najtrudniejsze spory kończy *intercyza*, gdy strony mają na wydaniu panny albo wdowy: tak godzili się Łopot z Borzdobohatymi czy Mackiewicz z Odyńcami, tak nawet zatargi Polski z Litwą rozwiązał rozum królowej Jadwigi, a najdłuższe procesy bywają z duchowieństwem i bliskim pokrewieństwem, „bo wtenczas sprawy skończyć nie można małżeństwem” — stąd wieczne spory Lachów z Rusami (idących z dwu braci, Lecha i Rusa) i głośny proces Rymszów z dominikanami, z którego poszło przysłowie „większy Pan Bóg niż pan Rymsza” (Protazy dodaje: „lepszy miód od Scyzoryka”). Wzruszony Gerwazy przyznaje, że losy Korony i Litwy były „jak małżonków dwoje”: Bóg złączył, czart dzielił; cieszy się, że Koroniarze znów zawitali — pamięta, dzielne były z nich konfederaty — i wzdycha do nieboszczyka Stolnika oraz do Jacka, lecz konkluduje, że skoro Litwa znów łączy się z Koroną, „tym samym już wszystko zgadzono, zgładzono”.

Protazy przypomina jeszcze proroczy znak sprzed roku dotyczący Zosi — którą Gerwazy każe odtąd zwać **panną Zofiją**, bo dorosła i jest „z krwi dygnitarskiej, Stolnika wnuczką”. Oto omen, który Woźny widział na własne oczy: rok temu z poddasza spadły dwa stare wróble samce i dalej tłuc się po podwórzu, aż zaryły się w kurzu; jeden miał podgardle szare, drugi czarne — czeladź ochrzciła czarnego Horeszką, drugiego Soplicą, i kibicowała, wołając „Wiwat Soplica, pfe Horeszki tchórze!”. Wtem Zosiénka, wzruszona litością, podbiegła i nakryła rączką walczące „rycerze”, które jeszcze były się w jej dłoni, aż leciało pierze. Baby uznały wówczas, że tej dziewczynie przeznaczeniem jest „pogodzić dwie od dawna zwaśnione rodziny” — i właśnie dziś, gdy Tadeusz prosi o jej rękę, ziścił się ów babi omen (choć naonczas, dodaje Protazy, myślano raczej o Hrabim...).

Gerwazy dorzuca własną historię — „nie tak cudną jak omen, a przecież trudną do pojęcia”: dawniej rad by był „Sopliców rodzinę w łyżce wody utopić”, a przecież Tadeusza polubił od dziecka. Widząc, że chłopiec, czubiąc się z rówieśnikami, zawsze ich zbijał, podżegał go do trudnych imprez — wydrzeć gołębie z wieży, oberwać jemiołę z dębu, złupić wronie gniazdo z najwyższej sosny — a wszystko mu się udawało; myślał wówczas „pod szczęśliwą gwiazdą urodził się ten chłopiec, szkoda że Soplica!”. Któż by zgadł, dziwi się Klucznik, że w nim powita

dziedzica zamku i męża panny Zofiji. Starcy znów piją zadumani, przerywając milczenie tylko zgodnym „Tak, tak, panie Gerwazy” — „Tak, panie Protazy”.

Z okien kuchni dym bucha jak z pożaru; ponad głowami starców wytyka głowę Wojski w świecącej szlafmicy, milczkiem podsłuchawszy rozmowę, podaje im spodek biszkoptów i zaczyna opowiadać ciekawą historię sporu, który omal nie skończył się krwawo — gdy na polowaniu w nalibockich lasach Rejtan wypłatał figła księciu de Nassau i sam omal nie przypłacił tego zdrowiem, a on, Wojski, kłótnię panów pogodził — lecz powieść przerywają kucharze, pytając, komu każe ustawiać serwis.

W głębi ogrodu **Tadeusz** (ów ranny ułan z ręką na temblaku) prosi **Zosię**, by nim zamienia pierścionki, koniecznie wyznała mu prawdę. Przypomina, że zeszłej zimy nie przyjął jej wymuszonego słowa — nie chciał łudzić się, że jednym spojrzeniem wzbudził miłość; wołał własną zasługą zyskać jej względy, choćby długo czekać. Pyta, czy bierze go z przywiązania, czy tylko z namowy stryja i ciotki, i zaklina, by radziła się jedynie własnego serca; jeśli czuje dlań tylko dobroć, gotów odwlec zaręczyny — „więzić twej woli nie chcę” — zwłaszcza że dostał rozkaz zostać w Litwie instruktorem w tutejszym pułku, póki nie wyleczy ran. Zosia, patrząc nieśmiało, wyznaje, że dawnych namów nie pamięta dobrze, lecz przełomem była dla niej noc śmierci księdza Robaka: widziała wtedy, jak odjeżdżający Tadeusz miał łzy w oczach, i te łzy „wpadły jej aż do serca”. Przez całą zimę u Podkomorzyny w Wilnie tęskniła do Soplicowa i do owego pokoiku, gdzie go pierwszy raz spotkała przy stoliku; coś jej szeptało, że tam go znów znajdzie — i tak się stało; na zapustach panny mówiły, że jest zakochana, a ona myślała: „jeżeli kocham, to już chyba pana”. Uradowany Tadeusz wyprowadza ją z ogrodu do dawnej swojej komnaty.

Bawi tam już wystrojony Rejent, usługując swojej narzeczonej (podaje sygnety, słoiki, muszki), gdy kuchcik stuka w okno: **spostrzeżono kota** — a właściwie zającą. Rusza polowanie pod oknami: Asesor ciągnie charta Sokoła, Rejent woła Kusego; Wojski z placką wypłasza zwierza, krzyczy „Wyczha!” — i oba charty, „jak dwa skrzydła ptaka”, spadają na szaraka z dwóch stron w jednej chwili. Wojski, obrany przez obu sędzią zakładu, wydaje wyrok kończący ich długi i zażarty spór: „obaście wygrali”, równa była rąchość i praca psów — „godzien jest pałac Paca, godzien Pac pałaca, godni są szczwacze chartów, godne szczwaczów charty”; każe zwrócić fanty i podpisać zgodę, a dawni przeciwnicy złączają wreszcie prawice. Rejent ofiarowuje Asesorowi w darze bogaty rząd zdobyty w boju podhajeckim na znacznym Turku (turecka kulbaczka z drogimi kamieniami, srebrne strzemiona, na napierśniku „księżyc w kształt Leliwy”), z gestem udając galop; Asesor rewanzuje się obrózkami od księcia Sanguszki, jaszczurem wykładanymi, z jedwabną smyczą — „niech zgoda między nami kwitnie”. Niosą wieść do dworu, że skończył się spór Kusego z Sokołem. Krążyła potem pogłoska, że zającą Wojski sam wyhodował i puścił w ogród po kryjomu, „ażeby szczwaczów zgodzić zbyt łatwą zdobyczą” — figła zrobił tak

tajemnie, że oszukał całe Soplicowo; kuchcik wygadał się po latach, chcąc na nowo skłócić Asesora z Rejentem, ale Wojski zaprzeczył i nikt mu nie uwierzył.

Goście zgromadzeni w wielkiej sali zamku czekają na ucztę, gdy wchodzi Sędzia w mundurze wojewódzkim, przywodząc Tadeusza z Zofiją. Tadeusz pozdrawia dowódców wojskowym ukłonem, a zarumieniona Zosia wita gości dygnięciem (pięknie przez Telimenę wyuczona), w wianku narzeczonej i tym samym litewskim, prostaczym stroju, w którym rano składała w kaplicy snop wiosenny — i znów rozdziela gościom kwiaty i trawy z nowego snopka, poprawiając na głowie błyszczący sierp; wodzowie biorą ziółka, całując jej ręce. **Jenerał Kniaziewicz** ujmując dziewczynę za ramiona, składa na jej czole ojcowski całus i podnosi ją na stół, a wszyscy klaszczą: „Brawo!”. Generałów, długo błakających się po obcym świecie, urzeka właśnie narodowa litewska szata Zosi — przypomina im młode lata i dawne miłości; ze łzami niemal proszą, by wzniosła czoło i pokazała oczy albo obróciła się wkoło, a wstydliva dziewczyna obraca się, lecz oczy zakrywa rękami. Tadeusz patrzy wesół, zacierając ręce. Okazuje się, że Zosia pierwszy raz w życiu była tego ranka łajana przez Telimenę za upór — nie chciała modnego stroju i wymogła płaczem, że zostawiono ją w prostaczym ubraniu: białej długiej spódnicy, krótkiej zielonej sukni z różową obwódką, sznurowanym gorsecie, koszuli o rękawach „jako skrzydła motyle”, z wisienkowymi zauszniczkami wyrobionymi przez Saka Dobrzyńskiego (dwa serduszka z grotem i płomykiem, dane gdy był jej zalotnikiem), bursztynami, wiankiem rozmarynu i sierpem na czole „jasnym jak nów miesięczny nad czołem Dyjany”.

Jeden z oficerów dobywa portfel z papierami, przycina ołówek i zaczyna rysować Zosię — Sędzia po tych przyborach poznaje w nim, mimo munduru pułkownika, czarnego wąsika i hiszpańskiej bródki, **Hrabiego**. Młody magnat świeżo został żołnierzem, lecz że własnym kosztem wystawił cały pułk jazdy i w pierwszej bitwie wyborowo się sprawił, cesarz właśnie mianował go pułkownikiem; Sędzia wita go i winszuje rangi, ale Hrabia nie słucha — pilnie rysuje. Wchodzi druga para narzeczonej: **Asesor**, niegdyś sługa cara, dziś Napoleona, dowódca oddziału żandarmów, choć ledwie dwadzieścia godzin w urzędzie, już dzwoni ostrogami w sinym mundurze z polskimi wyłogami; obok kroczy strojnie ubrana **Tekla Hreczeszanka** — Asesor dawno porzucił Telimenę i, by tym mocniej zasmucić kokietkę, zwrócił afekty ku Wojszczance, pannie już niemłodej (pono półwiecznej), lecz statecznej, dobrej gospodyni i posażnej. Na trzecią parę narzeczonych czeka się długo — daremnie.

Niecierpliwego Sędziego dochodzi wreszcie wyjaśnienie zwłoki trzeciej pary: pan Rejent, szczując kota, zgubił na łące swój ślubny pierścioneć i szuka go, a jego dama, choć śpieszy się i pomagają jej służebne, nie może skończyć toalety — będzie gotowa ledwie na godzinę czwartą.

Księga XII — Kochajmy się

Z trzaskiem otwierają się na oścież drzwi sali: wchodzi Wojski w czapce i z zadartą głową, nie wita się i nie siada — występuje teraz w nowym charakterze **marszałka dworu**. Z laską na znak urzędu, jako mistrz obrzędu, wskazuje wszystkim miejsca: na zaszczytnym, aksamitnym krześle ze słoniowym poręczem sadza Podkomorzego-Marszałka, po prawej generała Dąbrowskiego, po lewej Kniaziewiczza, Paca i Małachowskiego, między nimi Podkomorzynę i inne panie, a dalej oficerów, panów i szlachtę — mężczyzn i kobiety na przemian, po parze. Sam Sędzia opuszcza biesiadę: na dziedzińcu traktuje gromadę włościan przy stole „na dwa staje długim”, siedząc na jednym końcu, gdy pleban na drugim. Tadeusz i Zofia także nie siadają do stołu — wedle starożytnego zwyczaju nowi dziedzice na pierwszej uczcie sami służą ludowi, więc oni, częstując włościan, jedzą chodząc.

Goście w sali dziwią się ogromnemu **serwisowi**, drogiemu i kruszczem, i robotą: wedle podania kazał go zrobić w Wenecji książę Radziwiłł „Sierota” i po polsku ozdobić; zabrany czasu wojny szwedzkiej, przeszedł nie wiadomo jak w dom szlachecki, a dziś, dobyty ze skarbcza, zajął środek stołu jak karetne koło. Nalany pianką i białymi cukrami, udaje krajobraz zimowy — czarny bór konfiturowy, domki pod cukrowym śronem, a na krawędziach porcelanowe figurki w polskich strojach jak aktorzy na scenie. Wojski, podnosząc laskę, objaśnia, że persony te przedstawiają **historię polskiego sejmiku**: po prawej grona szlachty sproszonej przed sejmikiem na ucztę, w każdej kupce mówca zalecający swego kandydata; jedni słuchają z uwagą („kreski ich już ma w kieszeni”), w trzecim gronie słuchacz, usłyszawszy pochwałę przeciwnika, grozi mówcy, jeden pochyła czoło „na kształt byka”, inni biorą się do szabel albo idą w nogi; jeden bezstronny szlachcic, nie wiedząc za kim dać kreskę, powierza ją kabale — mierzy paznokieć do paznokcia (trafią się — afirmatywa, chybią — negatywa). Po lewej druga scena: refektarz klasztoru obrócony na salę zboru, marszałek liczy gałki w wazonie, woźni głoszą imię obranego; a pod nią szlachcic, który nie zważa na zgodę, wytknął głowę z kuchni i zawołał „Veto!”, po czym ciżba tłoczy się ku drzwiom po szable. Lecz korytarzem idzie stary przeor w ornacie, niosąc Sanktissimum, chłopiec dzwoni — i szlachta chowa szable, klęka, a ksiądz idzie tam, gdzie jeszcze broń szczeka, by wszystkich zgodzić. Wojski moralizuje: wśród burzliwej, zbrojnej, samowładnej szlachty nie trzeba było żadnej policji — „dopóki wiara kwitła, szanowano prawa, była wolność z porządkiem”; tam zaś, gdzie bezpieczeństwa strzeże tylko miecz żandarmów i konstablów, w wolność nie uwierzy. Głodny Podkomorzy przerywa, każąc odłożyć historie i podać potrawy; Wojski dokańcza jeszcze ostatnią scenę: nowy marszałek wyniesiony na rękach stronników wśród wiwatów, a samotny „przekreskowany” kandydat z czapką wciśniętą na łeb, którego żona mdleje przed domem — miała przybrać tytuł jaśnie wielmożnej, a znów na trzy lata została tylko wielmożną.

Lokaje wnoszą parami potrawy: barszcz „królewski” i staropolski rosół, do którego Wojski z sekretem wrzucił perełki i sztukę monety („krew czyści i pokrzepia zdrowie”); dalej dziś już

nieznane kontuzy, arkasy, blemasy z osobliwymi ingrediencjami, ryby — łososie, weneckie i tureckie kawijary, szczuki, karpie — aż po kucharski sekret: rybę niekrojoną, u głowy przysmażoną, we środku pieczoną, a z potrawką u ogona. Goście, nie pytając o nazwy, jedzą „z żołnierskim apetytem”, lejąc obfity węgryz. Tymczasem serwis sam zmienia porę roku „jak planeta koniecznym obrotem”: rozgrzana ciepłem izby cukrowa piana topnieje, odsłaniając zieloną wiosnę — zboża rosnące „jak na drożdżach”, złocistą pszenicę, srebrne żyto, gryczane pola z czekolady i kwitnące sady; potem zboża żółkną, liście czerwienieją i sypią się, a strojne przedtem drzewa stają nagie — okazują się laskami cynamonu i gałązkami wawrzynu odzianymi w ziarna kminu, które goście zrywają i gryzą dla zakąski. Wojski obchodzi serwis z tryumfującą radością.

Dąbrowski udaje wielkie zdziwienie: „czy to chińskie cienie? czy Pinety dał panu w służbę swe bisy? czy dotąd w Litwie tak uczują?” — bo, dodaje, „życie strawiłem za krajem”. Wojski tłumaczy, że to nie żaden bezbożny kunszt, lecz pamiątka sławnych biesiad „gdy Polska używała szczęścia i potęgi”, a wszystko wyczytał z książki *Kucharz doskonały*. Boleje, że i do Litwy włązi nowa moda: niejedni panicz „je jak Żyd”, skąpi gościom potraw i węgryzna, pije fałszywe modne wino moskiewskie i szampańskie, a w karty przegrywa tyle złota, że stałoby na ucztę dla stu szlachty. Wyznaje szczerze, że gdy dobywał serwis ze skarbca, nawet Podkomorzy go przedrwiwał, a Sędzia mówił, że to gości znudzi — lecz zadziwienie wodzów dowodzi, że „ten kunszt piękny godzien był widzenia”. Ofiarowuje Dąbrowskiemu książkę, by przydała się, gdy będzie dawał ucztę dla zagranicznych monarchów — „ba, nawet dla Napoleona” — i zapowiada opowieść, jakim trafem wpadła w jego ręce.

Wtem za drzwiami szmer i okrzyk: „Niech żyje Kurek na kościele!” — wchodzi **Maciej Dobrzyński**, prowadzony przez ciżbę. Sędzia sadza go wysoko między wodzami, wyrzucając przyjazd „prawie po obiedzie”, lecz Maciek przewraca talerz dnem do góry na znak, że jeść nie będzie: przybył nie dla jadła, tylko z ciekawości, by z bliska obejrzeć „naszą armię narodową — jest to ani to, ni owo!”. Dąbrowski rozpoznaje w nim sławnego rębacza kościuszkowskiego, Macieja zwanego **Rózgą**, dziwi się jego czerstwości i pyta o braci — o Scyzoryki i Brzytwy, „ostatnie egzemplarze starodawnej Litwy”. Sędzia wyjaśnia, że po zwycięstwie większość Dobrzyńskich schroniła się w Księstwie i weszła do legionów; młody szef szwadronu ma w kompanii wachmistrza Dobrzyńskiego „Kropidło”, zwanego przez Mazurów litewskim niedźwiedziem, a porucznik wylicza jeszcze Brzytwę, jednego z tromblonem na flankierach i dwóch grenadierów Dobrzyńskich. Dąbrowski dopytuje wreszcie o ich naczelnika, **Scyzoryka**, o którym Wojski prawił „jak o dawnych wielkoludach”. Wojski objaśnia, że Scyzoryk nie emigrował, lecz bojąc się śledztwa krył się całą zimę po lasach, a teraz dopiero wyszedł — rycerski człek, choć przyciśniony wiekiem. „Lecz owóż on!” — wskazuje w sień, gdzie nad głowami stłoczonej czeladzi i wieśniaków trzykroć błyska i znika łysina „jak pełnia miesiąca”. Klucznik **Gerwazy**, kłaniając się, dobywa się z tłoku i przemawia: „Jaśnie wielmożny koronny

hetmanie, czy jenerale, mniejsza o tytułowanie — jam jest Rębajło, stoję na twe zawołanie z tym moim Scyzorykiem..."

Klucznik kończy pochwałą Scyzoryka, który sławę nabył „nie z napisów, ale z hartu”: rzadko który pisarz prowontowy tak zręcznie temperuje pióra, jak ten rapier — głowy; nosów i uszu ściał bez liku, a żadna szczerba ni zbójcecki uczynek go nie splamiły — „tylko otwarta wojna albo pojedynek”. Raz jeden zgrzeszył, sprzątając bezbronnego, „a i to, Bóg mi świadkiem, pro publico bono”. Dąbrowski, śmiejąc się, ogląda „piękny scyzoryk, istny miecz katowski” i podaje oficerom; ledwie który zdoła go podnieść — wspominają, że siłacz Dembiński by podźwignął, lecz go nie ma — a z obecnych tylko szef szwadronu Dwernicki i porucznik Różycki potrafią obracać żelaznym drągiem. Najślusznniejszy wzrostem generał Kniaziewicz okazuje się najsilniejszy: ujmując rapier lekko jak szpadę, błyska nim nad głowami i, jako wychowanek szkoły kadetów, przypomina polskie fechtarskie wykręty — krzyżową sztukę, młyńca, cios krzywy i cięty, cios kradziony, kontrpunkty.

Rębajło już klęczy, obejmuje kolana generała i ze łzami, przy każdym zwrocie miecza, rozpoznaje cięcia: „to sztych Puławskich, tak się Dzierżanowski składał, to sztych Sawy... chyba Maciej Dobrzyński pana uczył!” — aż poznaje własny wynalazek, „cios mopanku”, znany tylko w zaścianku Rębajłów. Porwawszy wodza w objęcie, woła, że teraz umrze spokojny, bo jest na świecie człowiek, który „przytuli jego drogie dziecię” — od dawna bowiem dniem i nocą bolał, czy po jego śmierci rapier nie zerdzewieje. Składa Scyzoryk u nóg generała jako najdroższe, co posiada: „nie miałem nigdy żony ni dziecięcia, on był żoną i dzieckiem”, sypiał przy jego boku, a na starość wisiał nad łóżkiem „jako nad Żydem Boże przykazanie”; chciał go zakopać z własną ręką w grobie, lecz znalazł dziedzica. Kniaziewicz, wpół rozbawiony, wpół wzruszony, żartuje, że odstępując mu „żonę i dziecko”, Klucznik zostanie na resztę życia wdowcem i sierotą, i pyta, czym wynagrodzić dar; Gerwazy odpowiada, że nie jest Cybulskim, „co żonę przegrał, grając w mariasza z Moskałem” — dość mu, że Scyzoryk zabłyśnie w takim ręku — i prosi tylko, by tasiemkę nosić długą i „od lewego ucha ciąć oburącz, to przetniesz od głowy do brzucha”. Generał wziął miecz, lecz że zbyt długi, słudzy schowali go w furgonie; co się z nim dalej stało, „nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas, ni potem”.

Dąbrowski zwraca się do Maćka, dziwiąc się, że ten kwaśny i nierad z jego przybycia — czyż serce mu nie skacze na widok złotych i srebrnych orłów i na pobudkę Kościuszkowską? Lecz Maciej Dobrzyński studzi zapal: „dwóch orłów razem się nie gnieździ, łaska pańska na pstrym koniu jeździ”. Cesarz to wielki bohater, ale — jak mawiali jego przyjaciele Pułascy, poglądając na Dumouriera — „dla Polski polskiego trzeba bohatera, nie Francuza ani też Włocha, ale Piasta: Jana albo Józefa, lub Maćka — i basta”. Wojsko zwie się polskim, a roi się w nim od niemieckich tytułów (fyzylierów, saperów, grenadierów, kanonijerów); są w nim Turcy, Tatarzy i „syzmatyki, co ni Boga, ani wiary” — sam widział, jak kobiety napastują, przechodniów odzierają, kościoły rabują; cesarz idzie do Moskwy „bez Boga”, podpadłszy już pod klątwy

biskupie. Tu Maciek macza chleb w zupie i nie kończy ostatniego słowa. Mowa nie w smak Podkomorzemu, młodzież zaczyna szemrać; Sędzia przerywa swary, głosząc przybycie trzeciej narzeczonej pary.

Tą parą jest Rejent — lecz nikt go nie poznaje. Dotąd nosił kontusz, ale przyszła żona Telimena warunkiem intercyzy zmusiła go wyrzec się polskiego stroju, więc rad nierad przebrał się po francusku. „Frak duszy połowę mu odebrał”: stąpa „jakby kij połknął”, prosto jak żuraw, nie śmie spojrzeć ni w lewo, ni w prawo, nie wie, gdzie podziać ręce — szuka pasa, którego nie ma, gładzi się po żołądku, wreszcie chowa obie ręce w jedną kieszeń fraka — i idzie „jak przez różgi” wśród szeptów i drwinek, wstydząc się fraka „jak niecnego uczynku”. Aż napotyka oczy Maćka. Dobrzyński, dotąd z nim w wielkiej przyjaźni, obraca nań wzrok tak ostry i dziki, że Rejent blednie i zaczyna zapinać guziki, myśląc, że Maciek wzrokiem chce zedrzyć zeń suknie; ten zaś dwakroć wyrzeka głośno „Głupi!” i tak zgorszony przebraniem przyjaciela, że wstaje od stołu, bez pożegnania wsiada na koń i wraca do zaścianka.

Tymczasem Telimena roztacza blaski urody i stroju najświeższej mody, których — wyznaje narrator — „pióro nie wypowie, chyba pędzel by skreślił te tiule, ptyfeny, blondyny, kaszemiry, perły i kamienie”. Poznaje ją zaraz Hrabia i, blady ze zdumienia, zrywa się, szukając koło siebie szpady: „i tyżeś to! w obecności mojej ściskasz rękę cudzą? o niewierna istoto, o duszo zmiennicza! takeś niepomna twej tak świeżej przysięgi? biada rywalowi — po moim chyba trupie pójdziesz do ołtarza!”. Telimena bierze go jednak na stronę i szepcze, że Rejent jeszcze nie wziął jej za żonę — niech więc, jeśli przeszkadza, odpowie krótko a węzłowato: czy ją kocha, czy gotów ożenić się z nią zaraz, dziś; jeśli zechce, odstąpi Rejenta. Lecz Hrabia rozplywa się w filozofii: dawniej była „poetyczna”, teraz wydaje się „całkiem prozaiczną”; czymże są małżeństwa, „jeśli nie łańcuchy, które wiążą ręce, a nie duchy”? Dwa serca, pałające „na dwóch końcach ziemi”, rozmawiają jak gwiazdy „promieńmi drżącymi” i biegną ku sobie najkrótszą drogą — „ale zbliżyć się nie mogą”. Telimena ucina: „nie jestem planetą, z łaski Bożej, dość; ja jestem kobietą” — i grozi, że jeśli piśnie choć słowo, by zerwać jej ślub, przyskoczy do niego „z tymi paznokciami”. Hrabia, urażony, odpowiada, że szczęścia jej klócić nie będzie, odwraca oczy pełne smutku i wzdargy, a żeby ukarać niewierną, „za przedmiot stałych ogni” obiera Podkomorzankę. Wojski próbuje jeszcze zgodzić poróżnionych młodzieńców mądrym przykładem — historią o dziku z nalibockich lasów i kłótni Rejtana z księciem de Nassau — lecz goście kończą już lody i wychodzą z zamku na dziedziniec dla ochłody.

Na dziedzińcu włość kończy ucztę, krążą dzbany miodu, a muzyka stroi się i wzywa na tany; szukają Tadeusza, który stoi na uboczu, szepcząc coś pilnego przyszłej żonie. Młody dziedzic radzi się Zosi w ważnej sprawie, na którą stryj już przystał: znaczna część wiosek, jakie ma posiadać, wedle prawa winna by spaść na nią — to nie jego, lecz jej poddani, więc nie śmie urządzić ich losu bez woli pani. Skoro mają już „Ojczyznę kochaną”, czyż wieśniacy mają z tej szczęśliwej zmiany zyskać tyle tylko, że „pana innego dostaną”? Byli dotąd rządzeni łaskawie,

lecz po jego śmierci Bóg wie, komu przypadną; jest żołnierzem, oboje śmiertelni, a i własnych kaprysów się boi — bezpieczniej więc wyrzec się władzy i oddać los włościan „pod prawa opiekę”. „Sami wolni, uczynimy i włościan wolnemi” — proponuje oddać im w dziedzictwo ziemię, na której się zrodzili i którą „krwawą pracą zdobyli”. Ostrzega tylko, że nadanie zmniejszy dochód i każe żyć „w miernym stanie”: on, przywykły od młodu do oszczędności, zniesie to łatwo, lecz Zosia, „z wysokiego rodu”, młode lata spędziła w stolicy — czy zgodzi się żyć na wsi jak ziemianka?

Zosia odpowiada skromnie: „jestem kobietą, rządy nie należą do mnie; ty będziesz mężem, co urządzisz, na to całym sercem zgoda” — owszem, jeśli uwalniając włość zubożeje, będzie jej „sercu droższy”. O własnym rodzie mało wie i nie dba: pamięta tylko, że była ubogą sierotą, od Sopliców przybraną za córkę, w ich domu hodowaną i za mąż wydaną. Wsi się nie lęka — choć żyła niegdyś w wielkim mieście, dawno to było i zawsze wieś lubiła; jej „kogutki i kurki” bawiły ją bardziej „niżli owe Peterburki”, a krótki zimowy pobyt w Wilnie przekonał ją, że „na wiejskie urodzona życie”, bo i tam wśród zabaw tęskniła znów do Soplicowa; pracy też się nie boi, młoda i zdrowa, i obiecuje wyuczyć się gospodarstwa, „nosić klucze”.

Gdy Zosia domawia ostatnie wyrazy, podchodzi zdziwiony i kwaśny Gerwazy: słyszał już od Sędziego o owej wolności, lecz nie pojmuje, „co to ściąga się do włości”, i boi się, „żeby to coś nie było z niemiecka” — wszak „wolność nie jest chłopska rzecz, ale szlachecka”. Wywodzi, że choć wszyscy pochodzą od Adama, to chłopci „od Chama, Żydowie od Jafeta, a szlachta od Sema”, która panuje „jako starsi nad obiema”; przyznaje wszakże, że pleban inaczej uczy z ambony — iż Chrystus, choć z królów pochodził, urodził się w chłopskiej stajni i „wszystkie stany porównał i zgodził” — więc „niech i tak będzie, kiedy inaczej nie można”, zwłaszcza że i jaśnie wielmożna Zofija na wszystko przystaje: „jej rozkazać, mnie słuchać”. Ostrzega jednak, by nie dawać chłopom wolności „pustej i słownej tylko, jako za Moskali”, gdy nieboszczyk pan Karp włościan wyswobodził, „a Moskał ich podatkiem potrójnym ogłodził”. Radzi raczej uszlachcić chłopów i ogłosić, że nadaje im się herb — jednym wioskom Półkozica od pani Zofii, drugim Leliwę od pana Soplicy — by i Rębajło uznał chłopą za równego, ujrzawszy go „szlachcicem wielmożnym, herbownym”; sejm zaś rzecz potwierdzi. Uspokaja wreszcie męża pani, by się nie trwożył, iż oddanie ziem tak bardzo państwo zuboży — „nie da Bóg, abym rączki córy dygnitarskiej...” — i tu przechodzi do drugiej części swej oferty.

Gerwazy wyznaje bowiem, że w zamku ukrył przed Moskalami i przed samymi Soplicami „pewną skrzynię” — skarbczyk Stolnika z horeshkowskim naczyniem stołowym, sygnetami, kanakami, manelami, bogatymi kitami, rzędami i cudnymi karabelami — który jako dziedzicze należy się pani Zofii; dokłada do tego własny worek talarów uzbieranych „z wysługi, tudzież z pańskich darów”, przeznaczony niegdyś na reperację zamkowych murów, a dziś przydatny nowemu gospodarstwu. Sam zaś prosi, by mógł dożyć wieku „na łaskawym chlebie” u swej

pani, kołysząc „Horeszków pokolenie trzecie” i wprawiając jej dziecię do Scyzoryka — „jeśli syn, a syn będzie: bo wojny nadchodzą, a w czasie wojny zawsze synowie się rodzą”.

Ledwie skończył, występuje Protazy i dobywa z zanadrza ogromny panegiryk „w półtrzecia arkusza”, skomponowany rymem przez młodego podoficera, który niegdyś w stolicy „sławne pisał ody”; Woźny czyta już trzysta wierszy, aż przy bombastycznym wezwaniu do Zosi, by „zwalczyła Marsa Hymenem” i „srogiej niezgód hydrze z czoła syczące żmije wydarła”, Tadeusz i Zofia zaczynają ustawnie klaskać — niby chwając, w istocie nie chcąc słuchać dalej. Tymczasem z rozkazu Sędziego pleban staje na stole i ogłasza włościanom wolę Tadeusza. Ledwie poddani usłyszeli nowinę, skoczyli do panicza i padli do nóg pani z okrzykiem „Zdrowie państwu naszemu!”; Tadeusz odkrzykuje: „Zdrowie spółobywateli, wolnych, równych — Polaków!”, Dąbrowski wznosi „zdrowie ludu”, a tłum grzmi „Niech żyją wodzowie! Wiwat wojsko, wiwat lud, wiwat wszystkie stany!”. Jeden tylko Buchman radości nie podziela: projekt pochwała, lecz rad by go „przeinaczyć” i wyznaczyć wprzód „komisję legalną” — czemu na szczęście staje na zawadzie krótkość czasu.

Na dziedzińcu stoją już parami oficerowie z damami i żołnierze z wieśniaczkami; wszyscy jednym głosem wołają: „Poloneza!”. Lecz Sędzia szepce generałowi, by wstrzymał wojskową kapelę: dawnym obyczajem rodziny zaręcza się i żeni „przy wiejskiej muzyce”, a oto czekają poczciwi grajkowie — cymbalista, skrzypak i kobeźnik — których biedni włościanie nie zamienią na żadną inną, bo „przy innej muzyce nie potrafią skakać”. Na dany znak skrzypak puszcza smyk „jak konia w zawód”, a kobeźnicy, dmąc w miechy „jak pyzate Boreasza dzieci”, zdają się unosić w powietrze. Brakło tylko cymbałów — bo żaden cymbalista nie śmiał zagrać przy Jankielu, który po całej zimie nieobecności zjawił się nagle z głównym sztabem wojska. Proszony, Żyd wzbrania się, że ręce mu zgrubiały i odwykł od grania, i kłaniając się umyka; lecz Zosia podbiega, na białej dłoni podaje mu drążki, drugą rączką gładzi siwą brodę i dygając prosi: „Jankielu, jeśli łaska! wszak to me zaręczyny, wszak przyrzekałeś grać na mym weselu!”. Stary, który Zosię niezmiernie lubił, kiwa brodą na zgodę; sadzają go, kładą cymbały na kolanach, a on patrzy na instrument „z rozkoszą i z dumą”, jak weteran, gdy wnuki ściągają ze ściany jego ciężki miecz.

Po krótkiej próbie zaczyna się **koncert Jankiela**. Z mocnego uderzenia w struny „buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela ozwała się z dzwonkami” — to skoczny **Polonez Trzeciego Maja**, oddychający radością; starcom myśli ulatują w przeszłość, w szczęśliwe lata, gdy po dniu Trzeciego Maja senat i posły fetowali w ratuszowej sali „zgodzonego z narodem króla”, śpiewając „Wiwat król kochany, wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!”. Lecz mistrz wtrąca nagle fałszywy akord „jak syk węża, jak zgrzyt żelaza po szkłe”, umyślnie mącąc melodię struną „przeciwko zgodzie tonów skonfederowaną” — aż Klucznik, zakrywszy ręką twarz, krzyczy: „Znam! znam głos ten! to jest **Targowica!**”. Struna pęka ze świstem, a muzyk przechodzi w takt marszu: wojna, atak, szturm, wystrzały, „jęk dzieci, płacze matek” —

tak wiernie wydaje okropność szturmu, że wieśniaczki drżą, wspominając ze łzami **rzeź Pragi**, którą znały „z pieśni i z powieści”, póki mistrz wszystkich strun nie zdusi, „jakby wbił je do ziemi”. Po chwili wraca muzyka cicha: z pojedynczych jęczących strunek, „jak kilka much wyrwanych z pajęczej siatki”, wiążą się akordów legijony w żalospną nutę żołnierskiej piosenki „O żołnierzu tułacz, który borem, lasem idzie”, gdzie wierny konik „nogą grzebie mogiłę” dla padłego pana. Poznają ją żołnierze, skupiają się wokół mistrza i wspominają ów okropny czas, gdy „na Ojczyzny grobie” zanucili tę pieśń i poszli „w kraj świata”, oraz długie lata wędrówki po łąkach, morzach i obcych ludach — i smutnie chylą głowy. Lecz mistrz znów natęży tony, a z potężnego uderzenia, że „struny zadzwoniły jak trąby mosiężne”, wzlatuje ku niebu tryumfalny marsz „**Jeszcze Polska nie zginęła! Marsz Dąbrowski do Polski!**” — i wszyscy chórem okrzykują „Marsz Dąbrowski!”. Sam Jankiel, jakby zdumiony własną grą, upuszcza drażki i podnosi ręce; czapka lisia spada mu na ramiona, broda się poważnie podnosi, a we wzroku „błyszczą żar młodzieńca”; gdy obraca oczy na Dąbrowskiego, zalewa się łzami: „Jenerale, ciebie Litwa nasza czekała długo, jak my Żydzi Mesyjasza... żyj i wojuj, o ty nasz!”. Narrator dopowiada: „Żyd pocziwy Ojczyznę jako Polak kochał!”; Dąbrowski podaje mu rękę, którą stary, zdjęawszy czapkę, całuje.

Czas zacząć **poloneza**. Wodzi go Podkomorzy: zarzuciwszy wyloty kontusza i kręcąc węża, prosi w pierwszą parę Zosię. Stąpa powoli, „niby od niechcenia”, lecz z każdego kroku „można tancerza czucia i myśli wyczytać”: to pochyla głowę ku damie, to się jej kłania, zdjęawszy konfederatkę, to zwalnia, to zaśmiany wciska ją na bakier z czaplami piórami i kręci węża; ścigany przez natrętnych rywali, gniewnie kładzie prawicę na rękojeści, a tłum tancerzy „nie śmie dostać mu w kroku” i ustępuje z drogi. Zewsząd brzmią okrzyki: „Ach, to może ostatni, co tak poloneza wodzi!”. Pary płyną „jak wąż olbrzymi w tysiąc łamiący się zwojów”, a cętkowate stroje — damskie, pańskie, żołnierskie — mienia się „jak łuska błyszcząca, wyłożona promieniami zachodniego słońca”. Jeden tylko kapral **Sak Dobrzyński** ani słucha, ani tańczy: z rękami założonymi w tył, ponury, wspomina dawne konkury do Zosi — jak nosił jej kwiaty, plótl koszycki, robił zauszniczki, siadał na parkanie i wkładał się w konopie, by patrzeć, jak pleła ogródki i karmiła kogutki. „Niewdzięczna!” — świsnął mazurka, nacisnął kaszkiet na uszy i poszedł w obóz grać w drużbarta z wiarusami, „kielichem osładzając żal”. Zosia zaś tańczy wesoło, ledwie widna z daleka w zielonej sukience i kwiecistych wieńcach, krążąc wśród traw „niewidzialnym lotem, jak anioł rządzący obrotem nocnych gwiazd”; odbijana kolejno z pierwszej pary — Podkomorzemu, Dąbrowskiemu, kolejnym — aż strudzona spotyka wreszcie Tadeusza i, by przy nim pozostać, kończy tany, idąc nalewać gościom kielichy.

Słońce już gasło w ciepły, cichy wieczór; niebo, „u góry błękitnawe, na zachód różane”, zasnuły lekkie, świecące chmurki wróżące pogodę — jedno „jak trzody owiec na murawie śpiące”, inne jak „stada cyranek”, a na zachodzie obłok „na kształt rąbkowych firanek”, przejrzysty, po wierzchu perłowy, „w głębi purpurowy”, tlił się jeszcze blaskiem zachodu, aż pożółknął, zbladnął i poszarzał — i słońce, „spuściwszy głowę”, obłok zasunęło i „raz ciepłym powietrzem

westchnąwszy, usnęło". A szlachta wciąż pije i wznosi wiwaty: na Napoleona, na wodzów, na Tadeusza i Zosię, wreszcie kolejno na wszystkie trzy pary zaręczone, a w końcu na „wszystkich gości obecnych i zaproszonych, wszystkich przyjaciół, których kto żywy spamięta, i których zmarłych pamięć pozostała święta". Całość zamyka baśniowa formuła narratora, który przyznaje się do roli świadka-uczestnika: „I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem, a com wiedział i słyszał, w księgi umieściłem".

Epilog

Poemat wieńczy liryczna spowiedź poety-emigranta, pisana „na paryskim bruku". Narrator pyta gorzko, jak można dumać o sielskiej Litwie, przynosząc „z miasta uszy pełne stuku, przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów". Maluje nędzę wychodźstwa: „biada nam zbiegi", którzy „w czas morowy lękliwe nieśli za granicę głowy" — wszędzie poprzedzała ich trwoga, „w każdym sąsiedzie znajdowali wroga", aż ujęci „w ciasny krąg łańcucha" mają „oddać co najprędzej ducha". Świat nie ma ucha na ich żale, a co chwila przeraża ich nowina „bijąca z Polski jako dzwon smętarza"; tracąc w długich mękach rozum, emigranci „plwają na siebie i żrą jedni drugich".

Dlatego — wyznaje poeta — jako „ptak małego lotu" chciał ominąć „strefy ulewy i grzmotu" i szukać tylko „cienia i pogody": wieków dzieciństwa, domowych zagród. Jedyne szczęście widzi w chwili, gdy ktoś „z kilką przyjaciół siadłszy przy kominie, drzwi od Europy zamykał hałasów" i myślą wyrывał się „do szczęśliwszych czasów". O świeżo przelanej krwi, o łzach, „którymi płynie Polska cała", nie mieli duszy pomyśleć — bo naród bywa na takiej katuszy, że „kiedy zwróci wzrok ku jego męce, nawet Odwaga załamuje ręce", a myśl nie śmie zwrócić lotu w „sferę okropną nawet ptakom grzmotów". W kulminacyjnej apostrofie poeta woła: „O Matko Polsko! Ty tak świeżo w grobie złożona... Nie masz sił mówić o tobie!" — i wątpi, by czyjeś usta znalazły dziś „to czarowne słowo", które „rozculi rozpacz marmurową", „z serc wieko podejmie kamienne" i sprawi, że „łza przystygła wypłynie"; „nim się te usta znajdą, wiek przeminie".

Pojawia się wszakże nadzieja wybawienia: „kiedyś", gdy „zemsty lwie przehuczą ryki", a polskie orły „lotem błyskawicy spadną u dawnej Chrobrego granicy" i wróg ostatni „obwieści światu swobodę" — wtedy uwieńczeni dębowym liściem, rozbrojeni rycerze „zechcą słuchać o przeszłości" i zapłaczą nad losami ojców, a „łza ta ich lica nie splami". Dziś jednak, „w świecie nieproszonych gości", jedyną krainą, gdzie zostało „trochę szczęścia dla Polaka", jest **kraj lat dziecinnych** — „święty i czysty jak pierwsze kochanie", niezmacony przypomnieniem błędów ani złudzeniem zawiedzionej nadziei. Poeta z czułością wspomina ojczyznę „szczęśliwą, ubogą i ciasną", lecz „własną", gdzie wszystko do nich należało — od lipy użyczającej cienia wszystkim dzieciom wsi „aż do każdego strumienia, kamienia", aż po granice i sąsiadów domy. Tam Moskala znano „tylko po mundurze", „bo węża tylko znaliśmy po skórze", a wierni do końca

pozostali jedynie tamtejsi obywatele — matka, bracia, krewni i dobrzy sąsiedzi — w kraju, „gdzie do pana przywiązańszy sługa niż w innych krajach małżonka do męża”, gdzie „po psie płaczą szczerze i dłużej niż tu lud po bohaterze”.

Na koniec poeta wyznaje, że to przyjaciele „pomogli rozmowie”, rzucając mu „do pieśni słowo po słowie” — jak „bajeczne żurawie” nad zaklętym pałacem rzucają płaczącemu chłopcu po piórze, z których ten „zrobił skrzydła i do swoich wrócił”. Marzy, by jego księgi kiedyś „złądziły pod strzechy”, by wieśniaczki, kręcąc kołowrotki, śpiewały z nich o „dziewczynie, co tak grać lubiła, że przy skrzypeczkach gąski pogubiła”, i o sierocie „pięknej jak zorze” — by te „księgi proste jako ich piosenki” czytano pod lipą na trawie, jak niegdyś „Pieśń o Justynie, powieść o Wiesławie”. Bo droższy poecie „niż laur Kapitolu” jest „wianek rękami wieśniaczki usnuty z modrych bławatków i zielonej ruty”.